

MAY GRETHE LERUM

WYGNAŃCY

CYKL CÓRY ŻYCIA 19

Z norweskiego przełożyła: ANNA MARCINIAKÓWNA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Al i Hallingdalen, maj 1744

Prokurator Whitt chrząkał nerwowo, oczekując, aż ostatni goście zajmą miejsca przy pięknym stole w salonie plebanii. Ubrani na czarno bracia zmarłej już siedzieli, splatali palce, podczas gdy ich żony zerkały zaciekawione spod szerokich kapeluszy. Zapalono światła. W wielkim żyrandolu pod sufitem płonęły dwadzieścia cztery woskowe świece, świece umieszczono również w srebrnych świecznikach, które nieboszczka Karen Lund tak kochała. Zapach topionego wosku i dymu wypełniał obszerny pokój.

Kobiety nie odrywały wzroku od wysokich świeczników, płomienie odbijały się intensywnym blaskiem w pożądlivych oczach, ujawniając, że nie są one ani zaczerwienione, ani zapłakane. To wielki przykład panowania nad sobą, pomyślał miejscowy lensman, który nigdy jeszcze nie słyszał o podobnej rodzinnej tragedii. Najpierw w połogu rozstała się z życiem pastorowa, która w trwających kilka dni i nocy bólach wydała na świat czterech chłopaczków. Wszyscy urodzili się martwi lub

konający. Piąte, nie urodzone dziecko, umarło wraz z matką. Po tej okrutnej stracie owdowiały pastor tak się załamał, że odszedł do Pana ledwie w dziesięć dni po tym, jak jego małżonka wydała ostatnie tchnienie.

Dziwne, że jej rodzeństwo i jego brat siedzą tutaj spokojnie, nikt nawet nie udaje, że podnosi rękę do oczu.

Ale też i z pewnością nie wypada, żeby kobiety o takiej pozycji publicznie okazywały swoje uczucia. Zwłaszcza w chwili, kiedy załatwia się formalności, kiedy testament Nielsa Lunda ma zostać odczytany, a niektórzy z zebranych w tym pokoju otrzymają ziemskie dobra. Prokurator również zaczynał się niecierpliwić. Wysłannik biskupa siedział pogrążony w czymś na kształt drzemki, z przymkniętymi oczyma i wielkimi rękami złożonymi na wyraźnie zarysowanym brzuchu.

- Na kogo my czekamy? - odezwał się cienki głosik i wielu z obecnych drgnęło. Jak bardzo ów głos był podobny do głosu zmarłej siostry! Jakby sama Karen przemówiła w tym ciepłym pokoju, w którym tak często przyjmowała znajome panie na pobożnych spotkaniach. Brakowało tylko chrzęstu filiżanek z cieniutkiej niemieckiej porcelany... ale one pewnie leżą teraz zapakowane w trocinach i wiórkach, gotowe do wyjazdu w dolinę, do tego, komu je przeznaczono w testamencie.

Trzy siostry, dwaj bracia, przyrodnie rodzeństwo i stara niania.

Rodzinę pastora Lunda reprezentował jedynie surowy starszy brat o białej brodzie.

I jeszcze człowiek Kościoła, wysłany przez biskupa, by nadzorować ten bardzo wyjątkowy i smutny podział spadku.

- Czekamy na tych... chłopów. Na komornika... i jego żonę. Prokurator spoglądał na mały trójnogi stoliczek, gdzie płonęły świece we wspaniałych świecznikach. Równie pociągający był też widok pięknej kryształowej karafki otoczonej tuzinem małych, kształtnych kieliszków.

- Jeśli zaraz nie przyjdą, to powinniśmy zaczynać bez nich. Musimy ruszać, już prawie południe. Jeśli mamy dotrzeć do Branes, do domu kuzynki Elisebeth, zanim zapadną ciemności, to trzeba...

Starszy brat Lund nie dokończył, bo na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki, świadczące, że ktoś zbliża się do salonu.

To była Mathilda, poszarzała na twarzy gospodyni stanęła w drzwiach i szukała kogoś, komu mogłaby przekazać wiadomość.

- Chciałam powiedzieć, że teraz... Anna i Knut Plassen przyszli... Czy mają wejść?

Prokurator machnął jakimś papierem, zirytowany, odsyłając starszą kobietę ubraną w najlepszy chłopski strój.

- Niech wejdą, niech wejdą... ci ludzie nie mają odrobiny szacunku dla czasu innych!

Teraz panie w czarnych kapeluszach zwróciły się ku drzwiom. Szepty ucichły. Mężczyźni poprawiali kamizelki i sadowili się wygodniej na wyściełanych krzesłach. Ponad nimi z makatki na ścianie uśmiechała się piękna twarz Najświętszej Pani, poza tym pokój wypełniali ludzie o zaciśniętych białych wargach.

Johanna i Ravi stanęli w progu, jakby się zawahali. Świece dawały więcej światła, niż zwykle bywa za zamkniętymi drzwiami, okna zostały przesłonięte ciężkimi, ciemnymi storami i słoneczne światło z dworu wpadało jedynie przez wąskie szpary za prokuratorem siedzącym na honorowym miejscu przy końcu stołu.

- Anna i Knut Plassen, komornicy plebanii Lindestad, kobieta była wierną służką szanownego pana Lunda i pomocnicą jego biedaczki małżonki. Siadajcie, siadajcie!

Johanna pospiesznie pociągnęła za sobą Ravięgo, jego ręka mocno zacisnęła się na jej ramieniu, zabołało ją to, omal nie jęknęła. Czuła wzrok zebranych na swojej twarzy, a przede wszystkim na wyraźnie już widocznym brzuchu.

Panie wymieniały spojrzenia i gdyby nie to, że prokurator już zaczął odczytywać kolejne dokumenty, z pewnością wdychałyby głośno lub załamywały ręce na widok takiego nieokrzesania i braku wstydu. Żeby kobieta pokazywała się mężczyznom w tak zaawansowanej ciąży, że ledwo może utrzymać się na nogach!

Ale owa Anna Plassen niosła głowę wysoko, nawet uśmiechała się, witając dzwonnika i parobka, którzy siedzieli na niskich stołkach przy piecu w najciemniejszym kącie.

- Zebraliśmy się tutaj w żalu i tęsknocie, w imię Boga, by oddać szacunek naszym drogim Nielsowi Lundowi i jego małżonce, by się pojednać i zaświadczyć o ich ostatniej woli, która została spisana w obecności świadków...

Głos urzędnika był bezbarwny i szorstki niczym skrzypiące koła wozu jadącego po wysypanej żwirem drodze. Słowa toczyły się nieprzerwanie, mówca zatrzymywał się tylko wtedy, kiedy musiał przez swój długi nos zaczerpnąć powietrza.

Prokurator odczytywał prawnicze formułki. Reagował na nie tylko lensman, który przyszedł dopilnować, by królewskie prawo zostało uszanowane przy wypełnianiu testamentu bogobojnego sługi Pana, Nielsa Lunda.

- Dla mojej wiernej parafii i po to, by dać wyraz mojej wiecznej tęsknocie za Bogiem, przekazuję kościołowi w Al największe i najkosztowniejsze z moich włoskich gobelinów przedstawiające motywy ze świętego pisma proroka Izajasza...

- ...chłopskiej córce Mathildzie Jensebu, dobrej opiekunce mego domu i podporze mojego gospodarstwa, sumę pieniędzy w wysokości pięciu talarów oraz kozę lub owcę, którą może sobie wybrać z mojego stada...

- ...moim wiernym i zawsze posłusznym parobkom każdemu po parze skórzanych butów oraz po zwoju wełny z zeszłorocznych zapasów...

Głos prokuratora ledwo było słyhać, szepty między grupkami ubranych na czarno ludzi przypominały szum wiatru w liściach drzew jesienią. Surowy mężczyzna nad stosem dokumentów odsunął lorgnon od oczu i spojrzął na nich z wyrzutem.

- Czy mógłbym prosić o trochę spokoju? Pozostała jeszcze długa lista zapisów... Musimy dopełnić formalności i odczytać wszystko po kolei.

Dostali swoje, i siostry, i bracia, krewni w pierwszym i drugim pokoleniu, dostał też swoje Kościół. Większość gotówki, sreber, pięknych mebli oraz trzy dwory na południe stąd, w miejscowości, z której pochodził pastor, wróciły do rodziny. Posiadłości zarówno w górskiej parafii, jak i w miejscowościach, w których Lund przedtem spełniał swoją posługę, wyposażenie i skrzynie pełne butelek.

Teraz pozostały już tylko nieważne drobiazgi, parobcy i służba, oraz tutejsze niewielkie stada. Drobne rzeczy, mali ludzie. Białowłosy brat pastora wyciągnął z kieszeni jakiś błyszczący przedmiot, to chyba zegarek, połączony zegarek na grubym, ciężkim łańcuszku. Prokurator westchnął, skrzywił się w bolesnym grymasie i włożył znowu okulary na nos.

Zaszeleścił papier. Ludzie niechętnie umilkli.

- Dla mojej drogiej przyjaciółki i służącej, Anny Plassen, i jej męża Knuta: własność zajmowanej przez nich chaty należącej do Lindestad, a także używane przez nich pastwiska pod Leksvolpassen z prawem do wypasu, a także prawo łowienia ryb w wodach położonych w tamtej okolicy... połowę znajdującego się w spichlerzu ziarna, połowę zapasów złożonych na strychu i w piwnicach, włączając w to nasze zapasy wina i wódki.

Prokurator spojrzął przed siebie, pomarszczona skóra wokół oczu rozciągała

się. Gapił się przez chwilę na kobietę, która otrzymała miejsce przy stole. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Niels Lund miał jakiś specjalny zamysł, organizując owo odczytywanie testamentu ze wszystkimi szczegółami, i w tym, że nawet sam określił miejsca obdarowanych podczas tej ceremonii Prokurator czytał dalej, teraz niższym głosem, niechętnie, jakby podejrzewał, że nie do końca rozumie te pełne zakrętasów litery.

- ...cały mój księgozbiór, zarówno podręczniki, jak i studia biblijne, literaturę medyczną, studia biologiczne i kompletną encyklopedię... oraz moje zapiski dotyczące towarów aptecznych zebrane w książkę oprawioną w skórę, opatrzoną moim nazwiskiem i pieczęcią...

Szepty ustały. Nie skrzyknęła ani jedna noga od krzesła, ani jedna kobieca suknia nie zaszeleściła.

- ...oraz sumę pięćdziesięciu talarów z mego prywatnego majątku, do tego obrusy, wyposażenie domu, garnki i pościel oraz wymienione poniżej...

Johanna musiała bardzo się starać, żeby nie otworzyć ust. Głos prokuratora był dostatecznie wyraźny, ale znaczenie wypowiedzianych przez niego słów kompletnie ją zaskoczyło. Kiedy usłyszała, że wzywają ją na odczytywanie testamentu, domyśliła się, że dobry pan Lund chciał jakoś przypieczętować ich przyjaźń. Ale to...

Prokurator czytał dalej.

- ...osiem owiec, krowa imieniem Brzydula, jeden baran, połowa z naszych dwóch tuzinów kur, stary wałach, sanie i wóz zrobiony w zeszłym roku przez Hansa Tommermanna oraz uprzęż, uzda i derki...

Prokurator odchrząknął, po czym sięgnął po kolejny dokument.

- Ja, Karen Lund, z domu Johannsdatter Schott, chciałabym w ten sposób podziękować i oddać szacunek mojej wiernej służącej i przyjaciółce Annie Plassen, formułując moją ostatnią wolę...

Wymieniano kosztowne materiały, całe zwoje jedwabiu i brokatu. Cienką bawełnę, wypraną i wybieloną, gotową do szycia dziecięcych ubranek. Kołdry i poduszki z pierza, narzuty z pięknej wełny oraz pościel z lśniącego płótna i adamaszków. Haftowane brzegi i krajki oraz trzy kapelusze z czarnego jedwabiu. Cała garderoba pani Karen, a także osiem par butów, między innymi cztery pary niemal nieużywanych trzewików z cielęcej skóry. Należące do pastorewej przybory do szycia, skrzynka atramentu, pióra oraz trzy funty najlepszego papieru.

- ...Na koniec moje błogosławieństwo dla jej domu i rodziny oraz dla jej nie

narodzonego dziecka, które ma być dalszym spadkobiercą dwóch pięknych lichtarzy, jakie otrzymałam w prezencie od żony naszego przyjaciela i doradcy, pastora Thomasa Kraven - Fjell, wykonanych ze srebra i zdobionych miedzią, a do tego dwa tuziny woskowych świec najlepszego gatunku...

Teraz jedna z pań nie była już dłużej w stanie zachować spokoju. Najmłodsza siostra Karen osunęła się na swoim krześle z jękiem, jakby miała zemdleć, a najbliższej niej siedzący zaczęli gorączkowo wachlować ją rękami i książeczkami do nabożeństwa.

Johanna odwróciła się sztywno w stronę Ravięgo, popatrzyła na jego twarz, siedział z otwartymi ustami, niczego nie pojmując.

Prokurator odłożył papiery na stół i zanim zdążył wziąć nowy dokument, by kontynuować odczytywanie, w pokoju dosłownie eksplodowała pełna wzburzenia dyskusja.

- Co to ma być? Czy on zupełnie postradał zmysły? Może żal z powodu śmierci pięciorga dzieci rzucił mu się na rozum, nieszczęsnemu człowiekowi, bo przecież nie mógłby zrobić czegoś takiego...

- Skandal! Powiadam wam, to po prostu skandal! Srebrne lichtarze, które są warte setki talarów, najdroższe, co posiadał, rodzinny majątek...

- I książki! Niels zawsze dawał mi do zrozumienia, że na wypadek gdyby sam nie miał dziedzica, to nasz ukochany mały Niels Christian...

- Boże drogi, naprawdę myślę, że naszemu zacnemu bratu musiały się pomieszać zmysły. Powinniśmy byli przyjechać wcześniej, powinniśmy byli...

- Ta nędzna kobieta, ona z pewnością mąciła w głowie nieszczęsnej, chorej Karen...

Johanna słyszała pełne oburzenia głosy, prokurator bez przekonania próbował uciszyć zamieszanie. Niczym we śnie widziała przed sobą bladą twarz pastora Lunda, uśmiechał się do niej, jakby ją przeproszał, jakby się wstydził za swoich krewnych, zachowujących się niczym stado kur.

Spokojnie podniosła się z miejsca, Ravi ujął ją pod ramię. Z pochyloną głową opuściła pokój, chociaż nikt jej o to nie prosił. Lensman widział jej spuszczonego wzrok, skinął jej głową, jakby na pożegnanie.

Już on się zajmie resztą.

Johanna żałowała, że od początku ich tutaj nie reprezentował.

- To naprawdę niewiarygodne! Ona na pewno próbowała na nim swoich

czarodziejskich sztuczek, na pewno wiedziała, jak się to skończy... popchnęła go do śmierci, może nawet otruła nieszczęsną Karen...

Nieduża kobieta siedziała pochylona nad kubkiem rosółu, którym Mathilda częstowała ją w kuchni plebanii. Nowy pastor nie zaraz miał się sprowadzić, więc Mathilda podjęła się pilnowania gospodarstwa. Została tylko ona i stary parobek, wszystkich innych odprawiono z błogosławieństwem i wystarczającymi środkami, by mogli sobie poradzić. Zresztą wkrótce będzie lato i w ogóle!

Siedząca przy stole kobieta uważnie śledziła twarz Mathildy. Zazwyczaj wystarczyło znacznie mniej niż to, co się teraz stało, by rozwiązać język tej pracowitej i solidnie zbudowanej gospodyni. Mathilda przecież wcale nie dawała się prosić o szczegóły, kiedy jeszcze nie tak dawno opowiadała swoim kuzynom i starym sąsiadkom o sytuacji na plebanii. A o tej nowej kobiecie dowiadawali się niewiarygodnych rzeczy. O tym, jak przegoniła Mathilde z kuchni, by mieszać tam swoje tajemnicze mikstury. I o tym, jak w końcu przekonała pastora, by je piła!

Ale teraz, kiedy przybyła wypowiedziała jej własne słowa, Mathilda siedziała z poszarzałą, obojętną twarzą i wpatrywała się gdzieś przed siebie.

- My pewnie też powinniśmy się jej bać, my, chrześcijański naród? Coś mi się zdaje, że ona ma służbę, Mathildo, słyszałaś chyba o czarnych kotach, które karmi jej mąż?

Mathilda westchnęła głęboko i przeciągle.

- Pij ten rosół... i nie gadaj byle czego.

Irytacja w jej głosie sprawiła, że obca kobieta skuliła się jeszcze bardziej, ale siorbała napój z wyraźną przyjemnością. Na koniec otarła usta rękawem.

- Serdecznie ci dziękuję, Mathildo. To z pewnością ostatni poczęstunek, jaki dostałam w tej kuchni. Nadejdą teraz inne czasy, tak, tak, inne czasy dla nas wszystkich. A powiem ci, że znaki w całej parafii wcale nie są dobre, nie...

Mathilda poczuła, że powietrze wpadające przez drzwi jest chłodniejsze, niż można by oczekiwać pod koniec pięknego miesiąca, jakim jest maj. Mimo wszystko w tym roku wiosna przyszła wcześniej do ich doliny. Tylko wokół czapy Sangerfjellet leżały jeszcze pociemniałe płaty śniegu, ale i one powoli topniały, spływając lodowatymi strumykami do rzek.

Stara gospodyni poczłapała w stronę pieca. Zabierała się właśnie do oczyszczania fajerek z sadzy, rdzy i zaschniętego jedzenia. Całą kuchnię należało wyszorować do czysta, musi też wymyć jadalnię, spiżarnię i piwnice, którymi się

opiekowała.

Służyła tutaj prawie pięć lat, od chwili kiedy pastorstwo Lund przybyli do parafii. Może nie odnosiła się do nich specjalnie serdecznie, ale zawsze wykonywała uczciwie swoje obowiązki, nie oszczędzając zmęczonych rąk.

Mogła mieć czyste sumienie, bo nigdy nie żądała wyższej zapłaty i nigdy nie powiedziała złego słowa o żadnym członku rodziny. Ale czuła, że palą ją wargi, kiedy pochylała się teraz, by wziąć w rękę słomiany wiecheć do mycia. Koniuszki palców także ją swędziały, kiedy z wielką gwałtownością zaczęła zdrapywać stary, zaschły tłuszcz, któremu pozwalała się zbierać od czasu wielkich porządków przed Bożym Narodzeniem.

Johanna i Ravi szukali nawzajem u siebie wsparcia, zamknęli się w swojej pociemniałej izbie. Dobrze było zatrzaskać drzwi, umieścić żelazną sztabę na dwóch solidnych hakach i odgrodzić się od całego świata.

Siedzenie sprawiało Johannie ból, dziecko ciążyło, czuła rwanie w krzyżu, a nieustanne bolesne ćmienie też nie dawało jej spokoju. Na dodatek sztywniały jej ramiona, jakby wiecznie nosiła ciężkie wiadra z wodą na drewnianych koromysłach.

Od chwili, kiedy Truge przyniósł im wiadomość, że również pastor Lund podążył niebiańską drogą, Johanna żyła w jakimś nierzeczywistym, niezrozumiałym świecie. Dokładnie tak jak wtedy, gdy w największym pośpiechu uciekali z Lyster, tak i teraz nogi się pod nią uginały. Trzymała się mocno Ravięgo, który był co najmniej tak samo oszołomiony jak ona.

Nieustannie wspominali tamten dziwny wieczór, kiedy pastor Lund nieoczekiwanie pojawił się w ich domu i oznajmił, że przez cały czas domyślał się przynajmniej części ich tajemnicy. O morderstwie jednak nie wiedział nic. Chociaż teraz Johanna, po raz chyba setny powtarzając słowa pastora na temat grzechu i wybaczenia, zaczynała mieć wątpliwości.

Udzielił im ślubu, tutaj pod niskim sufitem komorniczej izby. Bez ołtarza okrytego białym obrusem, bez świadków, bez śpiewu.

Tylko w świetle prostej oliwnej lampki.

Potem wręczył im dokument i pożegnał się w sposób, który już wtedy wydał się Johannie dziwnie smutny.

Widzieli go po raz ostatni.

Zaledwie w trzy dni później udręczony pastor zmarł, powiadano, że zamartwił się na śmierć. Ludzie potrząsali w milczeniu głowami, dzielili jego smutek,

najbardziej jednak ciążył im ten prosty fakt, że nawet taki sprawiedliwy sługa Pana jak Niels Lund nie doczekał się w tym życiu łaski.

Ponownie trzeba było zdejmować deski kościelnej podłogi, nowa trumna została złożona w krypcie. Spoczywała już tam pani Karen i czworo maleństw w trumnie zrobionej zupełnie inaczej niż normalne trumny.

Żadna bowiem trumna nie może pomieścić aż tylu istot niezależnie od tego, jak są maleńkie. Pastorowa została więc pochowana w kufrze podróżnym, który znakomicie nadawał się dla kogoś, kto opuścił ten świat w takich tragicznych okolicznościach.

Johanna Bendiksdatter Karlsgard oparła głowę o wypchany słomą worek, służący jako poduszka i wsparcie dla pleców w łóżku pod ścianą.

- Jak to się skończy, Ravi...? Zastanawiam się, czy pan Lund nie wyświadczył nam niedźwiedziej przysługi. Ludzie długo będą gadać o tym... będą mówić, że zawróciłam mu w głowie lub go zaczarowałam. Tak dużo, tak niewiarygodnie dużo nam zapisała... wcale mnie nie dziwi, że rodzina się buntuje!

- Przecież oni swoje dostali. Dwa razy więcej, z tego co słyszałem - rzekł Ravi cierpko.

Poszedł w kąt izby, gdzie ściana była dziurawa i zimą ciągnęło przez szpary mroźne powietrze. Wisiał tam barani udziec, porządnie nasolony i uwędzony w jałowcowym dymie. Teraz mięso nadawało się już do jedzenia i z pewnością będzie dodawać gospodarzom sił przez wiele tygodni aż do czasu nowego uboju w drugiej połowie lata.

Odkroił spory kawałek, na piecu znalazł w garnku resztę zaschniętej wczorajszej kaszy. Wyłożył szarą masę na talerz, pokroił mięso na cienkie plasterki, wyjął też kilka podpłomyków oraz trochę grochu z garnków ustawionych w chłodnej spiżarni.

- Jedz, Hanno! Jesteś blada i wyczerpana niczym owca po długiej zimie. Ona odwróciła się gwałtownie, na samą myśl o solonym mięsie i grubej kaszy zrobiło jej się niedobrze. Wiedziała jednak, że przygotował jej ten posiłek, ponieważ nie miał pojęcia, co innego mógłby dla niej zrobić. Starła się opanować, twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Chodź raczej do mnie i pogłaszcz mnie trochę - poprosiła cicho. Ciężkie powieki Raviego uniosły się, w czarnych oczach pojawił się błysk.

Natychmiast odstawił jedzenie na stół. Potem ukląkł przy pościeli, a ona

ułożyła się na boku i wsunawszy dłoń pod policzek, skuliła się wokół swojego obrzmiałego brzucha. Dłonie Raviego przesuwają się po biodrze Johanny, ona sama zauważyła, że kości sterczą jej jak nigdy dotychczas. Ale czy rzeczywiście jest wychudzona? Nie, tak chyba nikt by o niej nie powiedział.

Ravi znalazł miejsce, w którym koncentrował się ból, i masował leciutko szczupłe plecy leżącej przez trzy warstwy grubego materiału. Johanna przymknęła oczy i czekała na to niezwykle ciepło, które zawsze wyczuwała, kiedy on dotykał jej swoimi dziwnymi rękami. Tym razem ciepło się nie pojawiło, ale i tak masaż przyniósł wielką ulgę, skupiony mężczyzna z czułością gładził obolałe miejsca.

Pogrążona w mroku za zamkniętymi powiekami, powoli się odprężyła.

W pewnej chwili wyszeptała jednak gorączkowo:

- Tak się boję, Ravi... Tak się boję, że tutaj też nie znajdziemy spokoju. Że będziemy musieli ruszać dalej, zanim się obejrzymy...

- Nie trzeba się martwić wszystkim na zapas - odparł cicho. Jego głos docierał do Johanny jakby z bardzo daleka.

- Może rzeczywiście lękam się niepotrzebnie, ale dzisiaj nie mogę się od tego uwolnić. Widziałam, jak oni się na nas gapili, ci obcy... któregoś dnia spotkamy kogoś, kto zna naszą przeszłość, Ravi. Pewnego dnia odkryją nas i pojną na oczach całego świata...

- Być może tak, a być może nie. Jego słowa zabrzmiały bezbarwnie, nie miały też właściwie znaczenia.

- Oni mnie kiedyś znajdą. Przyjdą, żeby postawić mnie przed sądem za zamordowanie Erlenda. Jest za późno, żaden sąd mi nie uwierzy, kiedy powiem, że działałam w obronie własnej... a poza tym kto to słyszał, żeby żona oskarżała ślubnego męża o gwałt? Przy tym, skoro uważałam, że działałam zgodnie z prawem, to dlaczego uciekałam niczym suka w czasie ciecarki?

Zachichotała histerycznie, bezsens jej własnych argumentów był oczywisty.

- W takim razie wsadzą mnie do więzienia, Ravi. Jeśli będę miała szczęście, zachowam głowę. Jeśli będę miała szczęście, resztę życia spędzę, siedząc przy kołowrotku i przędąc dla króla... a jaki wtedy los czeka nasze dziecko, Ravi?

- Ono samo zadba o swój los - odparł Ravi równie cicho jak ona. Przesunął teraz ręce na barki Johanny, pozostawił je tam na chwilę, prostując nogi i siadając wygodniej na deskach rozłożonych koło łóżka na ubitej z ziemi podłodze. W czarnych oczach nie było już blasku, nie było go nawet wtedy, kiedy miał odwagę spojrzeć na

jej profil.

Johanna uśmiechała się, chociaż z przymkniętych oczu spływały łzy. Ciemne rzęsy spoczywały na policzkach niczym zmoknięte ptaki. Włosy ukryła pod chusteczką, dzięki czemu wyglądała na małą niewinną dziewczynkę. Nie była to w żadnym razie ta czarownica, która często rzucała się na niego z potarganymi włosami, wykrzykując złe słowa.

Uniósł rękę, dotknął palcami jej twarzy. Poczuł wilgoć, gorącą i smutną.

- Nasz chłopiec będzie miał inne życie, Hanno. Nasz chłopiec będzie bogaty, nie zapominaj o tym. Sam prokurator to powiedział i wszyscy słyszeli... nasze dziecko dostało nie tylko błogosławieństwo pastora, odziedziczyło również księżę srebro.

- Na co mu srebro, jeśli zabraknie mu matki? - rzekła Johanna z goryczą. Ravi jęknął. Słowa, które popłynęły z jego ust, były ledwo dosłyszalne.

- Nic złego ci się nie przytrafi, moja Hanno. Dopóki ja oddycham... Teraz w jego głosie brzmiała groźba i dziwny chłód, jakby echo czegoś mrocznego i niebezpiecznego, czego Johanna domyślała się w nim już dawniej. Coś dziwnego tkwi w jego duszy. Może nie całkiem bez racji ludzie gadali, plotkowali i snuli złe opowieści o jej Ravim. Może istotnie nie ma dymu bez ognia, nawet owa trudna do wyjaśnienia niechęć, spotykająca przybyszów w tej okolicy, nie pozostaje bez przyczyny.

- Powinieneś się pilnować, Ravi. Powinieneś bardzo uważać.. zwłaszcza jeśli znajdziesz się w wielkiej potrzebie.

Znowu go ostrzegała, robiła to już tuzin razy przedtem, zawsze prosiła go, by milczał i panował nad sobą, bo jeśli wybuchnie, ujawni przed ludźmi zbyt wiele swoich tajemnic. Zwłaszcza musi milczeć, kiedy Truge tutaj przychodzi, by pędzić bimber...

Johanna umilkła, teraz słysząc było tylko jej głęboki oddech oraz niemal niedosłyszalny szelest, kiedy Ravi wypuszczał powietrze nosem.

Jego ręce leżały, ciężkie, jedną położył jej na policzku, by otrzeć łzy. Druga spoczywała na barku, drząc leciutko. Johanna otworzyła oczy, parę razy zamrużyła.

- Muszę odpocząć, Ravi. Muszę odpoczywać... długo. Czy myślisz, że lensman przyjdzie tu do nas, gdy prokurator zakończy procedurę? Zastanawiam się, o czym oni tam rozmawiają, co się stanie, kiedy wiadomości rozejdą się po wsi. Och, Ravi, dary pana Lunda staną się dla nas przekleństwem! Teraz oni na pewno rzucają się na nas, to będzie woda na ich młyn, zaczną wygadywać jeszcze więcej złych rzeczy...

nie zniosę tego.

- A może się mylisz, Johanno. Może oni nie zapomnieli, co pastor powiedział na pogrzebie swojej małżonki. Jak ich ostrzegał przed plotkami i pomówieniami, przed niechrześcijańskim dawaniem fałszywego świadectwa i w ogóle... Może nie zapomnieli, co pozwolił ci robić...

Spojrzała na niego, próbując powstrzymać wciąż spływające z kącików oczu łzy.

- Nadal nie rozumiem, jak miałam odwagę tam stać, przed całą parafią...

- Podobno wyglądałaś jak królowa. Truge słyszał, jak ludzie to mówią, stałaś wyprostowana, bez cienia wstydu niczym Najświętsza Paniienka. To robiło wrażenie, możesz mi wierzyć. Oni zresztą chyba nigdy nie słyszeli, żeby kobieta przemawiała na pogrzebie... zwłaszcza na pogrzebie tak dostojnej osoby, jak pani Lund.

- Karen była wspaniałą istotą. Tyle z niej promieniowało poczucia bezpieczeństwa i siły... Nigdy tego nie zapomnę.

Ravi stwierdził, że myśli Johanny ustępują teraz przed innym smutkiem, smutkiem, w którym było tak wiele piękna, że twarz jej się rozjaśniła, a łzy zaczęły powoli obsychać.

- Pamiętaj, że ty posiadasz co najmniej tyle samo siły - rzekł cicho. - Nie znam nikogo innego, Hanno, kto miałby tyle siły... i tyle odwagi.

Pochyliła się w przód, ku krawędzi łóżka, oplótła go ramionami i przytuliła twarz do zniszczonej samodziłowej kurtki, przesyconej jego zapachem. I zapachem wódki.

- Musisz mi obiecać, Ravi, że będziesz pamiętał swoje własne słowa. O tym, że jestem silna i dzielna. Bo zdaje mi się, że ukryłeś bardzo wiele, bardzo wiele bólu, który mógłbyś dzielić ze mną. Nigdy nie chciałeś się przed nikim otworzyć...

Był niemal zdumiony tym, jak dużo Johanna rozumie. Zdumiony tym, jak celne są jej słowa, jak potrafiła prosto wytłumaczyć to, nad czym on zastanawiał się od tak dawna.

Zanim pojął, jak wiele racji ma Johanna.

Wiedziała, jak się okazuje, że kiedy upijał się do nieprzytomności i wykrzykiwał o nawiedzających go wizjach... to kopał sam sobie grób.

- Będę się miał na bacności... nie odkryję się przed nimi... tylko przed tobą, moja kochana Hanno, tylko przed tobą...

Z twarzą wciąż ukrytą na jego piersi pociągała nosem, ale zauważył, że z

zadowoleniem kiwa głową.

- Ja ci pomogę, jak długo starczy mi sił, będę ci pomagać... Ravi przyciągnął ją do siebie gwałtownym ruchem, czuł się niczym drzewo szarpane wichrem.

Wytrzymałe, ale nieduże drzewo, które wyrosło obok dębu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Prokurator siadał do powozu ostrożnie, w stawach mu trzeszczało prawie tak samo, jak w starych kołach. Czarny kapelusz przywiązał mocno pod brodą grubym rzemieniem, a okulary, z których był taki dumny, dyndały na piersi przymocowane do tego samego rzemienia. Zakładki na białej koszuli zwisały pogniecione i świetnie pasowały do wyrazu jego twarzy.

Taka awantura, tyle zamieszania!

Uczestniczył już w bardzo wielu podziałach majątku, wielokrotnie odczytywał testamenty, a mimo to zawsze dawał się zaskoczyć tej strasznej ludzkiej chciwości.

On sam należał do ludzi zamożnych, odziedziczył po ojcu handlową firmę i godność prokuratorską. W Branes było więcej takich prokuratorских synów, ale pan Whitt mógł się przekonać, że większość z nich musi zabiegać o pracę, niekiedy prawie błagać, by im pozwolono prowadzić sprawę choćby najuboższych chłopów. Kiedy otrzymał wiadomość z Al, najpierw zmarszczył nos, bo to oznaczało długą i męczącą podróż, a on za bardzo sobie cenił swoje wielkie łóżo z rozkosznie nagrzaną każdego wieczoru pościelą.

Gdy jednak dostał papiery, nie żałował decyzji.

Sprawa dotyczyła jego dalekiego znajomego, pana z Christiansand o nazwisku Lund, którego przypominał sobie z czasów studiów. Spotykali się wielokrotnie, wszyscy studenci, zarówno ci, którzy obrali sobie za główny temat teologię, jak i ci bardziej z tego świata, którzy napełniali głowy wiedzą prawniczą lub medyczną. Pan Lund zawsze siadywał gdzieś z tyłu i obserwował towarzystwo. Whitt pamiętał jego spokojne komentarze oraz zdolność do takiego obniżania głosu, że wszyscy pozostali zaczynali go słuchać. Później sam wielokrotnie próbował takiej sztuczki jako uczestnik tingów i dobrze poznał jej wartość. Lund już wtedy był mądry.

Mądrość zaś to jedyna cecha, którą prokurator Whitt skłonny był cenić.

Mądrzy mężowie nigdy nie podejmują pochopnych decyzji. Mądrzy mężowie są przewidujący, mają porządek zarówno we własnych głowach, jak i w papierach. Prokurator czuł się może trochę zapomniany przez kolegę ze studiów, ale jak się

okazało, nawet na tej zapadłej wsi powściągliwy pan Lund podjął ważną decyzję: złożył swoje ziemskie rachunki w ręce towarzysza z młodych lat. To zaszczyt, a zarazem wielka odpowiedzialność.

W tej sytuacji trzeba znieść fakt, że najwyraźniej skłonność zmarłego pastora do porządku i powagi nie była zaraźliwa, jego brat bowiem i krewni żony zachowywali się niczym hieny. Z drugiej strony jednak można ich zrozumieć, przecież bogactwo warte tyle co duże chłopskie gospodarstwo przypadło jednej jedynej służącej. Chociaż pan Lund i jego małżonka musieli mieć poważne powody, by tak postanowić. Tego prokurator był pewien. W takim razie nie powinien więc pozwolić, by zaskarżyli w sądzie ostatnią wolę wiernego sługi Pana.

Zamierzał to wszystko przedyskutować z wysłannikiem biskupa jeszcze w czasie podróży do domu w ten pełen zapachów majowy wieczór.

Tylko jedno pytanie nie dawało mu spokoju: Dlaczego, na Boga, rozsądny człowiek podarował swoje drogocenne i rzadkie książki niewykształconej wiejskiej babie?

- Gdybym wiedziała więcej... gdybym się odważyła... istnieją sposoby, Ravi, są środki pozwalające uśpić kobietę tak, by można otworzyć jej brzuch i wyjąć dziecko...

Ravi zadrzał, chociaż siedział pod nasłonecznioną ścianą i czuł, jak gorące promienie majowego słońca przenikają przez cienką, szarą koszulę.

Była niedziela, gdy tylko dzwony kościelne umilkły, wieś pogrążyła się w spokoju. Pola wokół małej chaty zmieniły się całkowicie w ciągu ostatnich dni, z pokrytych delikatną zielenią spłachetków stały się falującymi łąkami. W dole przy skrzyżowaniu dróg wielkie świerki stały tak samo ciężkie jak podczas zimy, ale teraz krajobraz złagodniał, bo osiki i brzozy okryły się świeżymi seledynowymi liśćmi. Na skraju świerkowego boru zrobiło się jasno i radośnie.

Widzieli komorników idących do swych obowiązków, widzieli nawet gospodarza z Lindestad, jak chodził i rozgniatał między palcami źdźbła trawy, jak cmokał zadowolony i ostatecznie odważył się uwierzyć, że lata nieurodzaju mają za sobą.

Oni własną chatę ogrodzili wysokim płotem zaraz po tym, jak testament zmarłego pastora w jakiś niezwykle sposób został wpisany do protokołów tak szybko, że nikt nie zdążył wystąpić z protestem.

Wewnątrz też dokonały się wielkie zmiany, izba zmniejszyła się bardzo, kiedy

wniesiono całe wyposażenie, meble oraz czternaście wieszaków z ubraniami pastora. Pościel i inne rzeczy Johanna ułożyła na świeżo przybitych pod sufitem szerokich półkach z nie heblowanego drewna. Z pewnością przesiąkną tam zapachem jedzenia i dymem, ale będą przynajmniej leżały w suchym miejscu. A lichterze... stoją niczym świętość na pięknym drewnianym stoliku, Johanna położyła pod nimi serwetkę zrobioną ze starej narzuty na łóżko, jeszcze z Karlsgard.

Teraz Johanna siedziała obok Raviego przed domem, trzymając na kolanach najbardziej wartościową część spadku po pastora, książkę na temat leczenia ludzi. Plecy oparła o ścianę domu, świeżo oszklone okno za nimi mieniło się w blasku słońca.

- Tutaj o tym piszą, Ravi... wiele stron tylko o tej jednej operacji. Było to prawie sto lat temu, Ravi! Cała wieczność minęła od chwili, kiedy pewien francuski lekarz zdołał przeprowadzić poród w ten sposób. Kobieta przeżyła!

Ravi chętnie kiwał głową, nie był jednak w stanie podzielać jej dziwnego zainteresowania dla śmierci i krwi oraz poszczególnych części ludzkiego ciała. Nigdy nie lubił rozmów na ten temat ani takich obrazków jak w tej książce. Od czasu, kiedy musiał bronić się przed niebezpiecznymi ludźmi, nie znosił widoku krwi spływającej po twarzy, nie cierpiał świadomości, że to jego własne ręce okaleczyły przeciwnika. Dobrze pamiętał mdłości i uczucie obrzydzenia. Przypominał sobie jak przez mgłę małego chłopca, którego własny ojciec biciem zmuszał do tego, by rozciął jego wielką dłoń małym nożem.

- Do cholery, chłopcze, krew nie jest niebezpieczna! Zwłaszcza że to nie twoja krew cieknie. Dźgaj, ty tchórzliwy mały diable. Dźgaj i ucz się wbijać nóż w ludzkie ciało!

Ravi starał się nie dopuszczać do siebie jej głosu, nie chciał słuchać tego, co czytała z niewiarygodnymi szczegółami o tej tak zwanej operacji. To, co usłyszał do tej pory, najbardziej ze wszystkiego przypominało szlachtowanie świni.

Zamiast głosu Johanny docierał teraz do niego szum rzeki. Monotonny, wieczny dźwięk, który zawsze istniał gdzieś w głębi jego duszy. Dopiero jednak tutaj, w tej wsi, zwrócił na to uwagę. Szum był swojski, prawie mu drogi. Wywoływał w jego sercu uczucie spokoju, dźwięki bowiem z jego wnętrza oraz te wszystkie odgłosy, które przychodziły do niego z zewnątrz przez uszy, jak gdyby łączyły się we wspólną melodię.

Jęknął prawie niedosłyszalnie, desperacko pragnął, by jego oczy mogły choć

raz uzyskać ten sam spokój.

Głos Johanny nadal szemrał gdzieś obok niego dokładnie tak samo jak rzeka. Kiedy spostrzegła, że Ravi wygląda, jakby spał, umilkła. W ostrym blasku słońca patrzyła daleko na zielone pola, a każde słowo, które odczytywała z duńskiego podręcznika medycyny, sprawiało jej ból.

Gdyby wiedziała trochę więcej.

Gdyby posiadała lekarstwa, piękne instrumenty, wiedzę.

Gdyby to wszystko miała, to teraz Karen mogłaby siedzieć zadowolona w swoim pięknym salonie, otoczona pięciorgiem darów od Boga. Prokurator zaś nie musiałby odczytywać żadnego testamentu pastora Lunda, i pastor bowiem chodziłby między kościołem a własnym domem tak samo zdrowy i zadowolony, jak niegdyś musiał być.

Ona sama zaś...

Gdyby nie tyle niezrozumienia i brak wiedzy, to świat byłby całkiem innym miejscem również dla takich jak ona i Ravi. Diabły istnieją zawsze. Złe moce również, może nawet czarne koty czarownic i znachorki przy łóżach rodzących kobiet.

Ale nowy czas nadejdzie.

Wiedziała o tym, pojmowała to już jako dziecko, kiedy matka przekazywała jej wiedzę lekarską i własne doświadczenie. A także notatki babki i prababki... wszystkie te stare księgi wypełnione niewprawnym pismem, które z każdą stroną stawało się pewniejsze, w miarę jak kobiety nabierały doświadczenia.

Nie przeczytała tych książek.

Jeszcze nie.

Ponieważ stara Maria oddała swoje notatki córce z zaleceniem, by przeczytała je dopiero, kiedy jej życie stanie się łatwiejsze. Kiedy szczęście zbliży się nieco bardziej, a dzień powszedni nie będzie taki dokuczliwy. Maryjka obiecała, że tak postąpi, ale nigdy nie przeczytała notatek. Teraz wyjechała, ta piękna babka, do której Johanna jest tak bardzo podobna, ta, która aż do śmierci starej Marii była nazywana Maryjką lub małą Marją.

Nie ma jej, wyjechała daleko, bardzo daleko, może już nie żyje. A może zadomowiła się w jakimś obcym kraju. U swego syna Karla Martina, jedynego wuja Johanny?

W ojczyźnie tymczasem nikt nie dba o grób jej ukochanego, mężczyzny, który

teraz zostałby teściem Johanny. Mężczyzny, który był ojcem Raviego. Johanna nadal nie mogła uwierzyć w tę historię, z trudem wyobrażała sobie własną babkę w objęciach ojca Raviego. Ale tak było, tak naprawdę było i właściwie nie jest to nic bardziej zdumiewającego niż jej własne miłosne życie.

Johanna musiała się leciutko uśmiechnąć do tych niewesołych myśli na temat rodziny. Och, jakże tęskniła za tymi ludźmi! Lubiła przymykać oczy i wyobrażać sobie swoich cudownych rodziców. Tatę Bendika, dobrą mamę o mądrych oczach... i pradiadków... których nosiła w sercu jedynie jako odległe wspomnienie. Randar i Maria., jakież los był im pisany! A przecież знаła zaledwie fragmenty tego życia, małe kawałki. Wszystkie ich tajemnice zostały złożone między obciążone jedwabiem okładki książek Marii, książek, które pewnego dnia zostaną przeczytane.

Pochyliła się nad podręcznikiem medycznym i ponownie otworzyła oczy. Litery rozmazywały się, minęła dłuższa chwila, zanim sobie uświadomiła, że to łzy przesłaniają jej widok. Dała za wygraną, znowu opuściła powieki i zobaczyła przed sobą twarz matki. Amelia nie miała żadnych notatek. Może teraz już ma, pełne bólu zapiski o tym, jak jej jedyna córka zburzyła przyszłość rodziny i własne życie, zabijając swego powszechnie szanowanego męża i uciekając później z jakimś czarnowłosym włóczęgą.

Biedna mama, myślała Johanna. Może to lepiej, że nie dostała ode mnie żadnej wiadomości.

Ale jakże chętnie porozmawiałabym z nią o tej sprawie! Pokazałabym jej te nowe książki, przeczytałabym jej, jakie to fantastyczne teorie zaczynają się rozchodzić z uniwersytetów w krajach południowych!

Istnieją ludzie, którzy nie dostrzegają różnicy między ciałami ludzi i zwierząt. Którzy nie chcą wiedzieć, że w ciele człowieka tkwi świętość. Którzy uważają, że Bóg celowo stworzył leczące rośliny oraz lekarstwa, jakich ludzie produkują coraz więcej.

Nawet Kościół musi zaakceptować nowe czasy, myślała Johanna zmęczona, biorąc inną, małą książeczkę.

Ta z kolei zawierała bardzo odważne poglądy wysoko postawionego niemieckiego duchownego i była obroną medycyny. Jeszcze jedna propozycja na temat, jak należałoby dzielić człowieka, myślała Johanna zdziwiona.

Kościółowi przynależy dusza oraz odpowiedzialność za zdrowie moralne. Medycyna natomiast otrzymuje ciało, to cudowne urządzenie zbudowane z jednego

kawałka mięsa, z kości i krwi, ale oddzielone od duszy. Tak samo przemijające i tyleż warte, co zdechły pies. Tak samo pozbawione wszelkiej świętości.

Myśli kłębiły się w głowie Johanny. Książki ciążyły jej na kolanach, a srebrne okucie jednej z nich uwierało w brzuch. Poza tym rozboleły ją oczy, chyba za długo czytała.

Ravi pochrapywał cicho, zasnął naprawdę. Słońce na zachodzie chowało się już za korony drzew.

Od strony wsi słychać było ujadanie psów i beczenie nowo narodzonych jagniąt.

Malarz przyszedł o zmierzchu, akurat wtedy, kiedy niebieskawe światło wyostrzało kontury wszystkiego wokół i sprawiało, że świerkowy las stał się ciemną, pachnącą zielenią ścianą, odgradzającą chatę w Plassen od reszty świata.

- Hej, hej, przyjaciele, oto nadchodzę z dobrymi wieściami i czerwonymi rękami!

Wesoły głos sprawił, że Ravi wyprostował plecy, pozwolił sobie nawet na błady uśmiech, ale rzucił spłoszone spojrzenie w stronę Johanny. Chyba nie wypada się radować, kiedy ona wciąż pogrążona jest w żalu po Karen, pastarze, ich dzieciach i w ogóle. Skoro jednak życie nie szczędzi zmartwień i plag, to człowiek potrzebuje też posłuchać czasem jakiejś zabawnej historii lub śmiesznej opowiadki. A kto potrafi opowiadać w taki niezwykły sposób, jak malarz Truge Gunhildgard?

Dobrze już pod czterdziestkę mężczyzna szedł lekko ścieżką ku chacie, poklepał deski w płocie, a potem zręcznie przeskoczył ponad najeżoną spiczastymi sztchetami furtką.

- Hop, powiedział chłop, kiedy baba skakała przez wzburzoną rzekę! Twarz Trugego była zadowolona i radosna.

- Słyszałem, że stałeś się bogaty, stary draniu? Znowu pacnął otwartą dłonią, tym razem w bark Raviego.

- Do diabła, nie najgorzej dla takiego biedaka jak ty, Kmicie Plassen! Wygląda na to, że złowiłeś złotego ptaka...

Śmiał się i parsknął, potrząsał Ravim, trzymając go mocno za ramię. Czarnowłosy młodszy mężczyzna uśmiechał się tylko blado.

- Miło cię widzieć, Truge. Niezbyt wielu przyjaciół tu przychodzi, żeby łamać nasz nowy, wspaniały płot...

- Och, ludzie są różni. Bez większości można się obejść - powiedział Truge

cierpko i tanecznym krokiem pokonał ostatni kawałek dzielący go od progu chaty. Słoneczne ciepło wciąż jeszcze trwało w wielkim, ciemnym kamieniu ułożonym przy wejściu i mężczyźni usiedli na nim z przyjemnością.

Truge wyjął zieloną szklaną butelkę i poczęstował Ravięgo.

- No, a jak się mają sprawy, towarzyszu? Z twoją żoną, chciałem zapytać... Pociągnął solidny łyk i ruchem głowy wskazał na chatę z tyłu za nimi. Drzwi wciąż jeszcze były otwarte. Nikt się nie pokazał w progu, ale w półmroku słyszeli szum wody wlewanej do metalowego naczynia. Prawdopodobnie Anna myje cynowe kufle. Zawsze taka pracowita. Zawsze uparta i stanowcza ta żona komornika o twarzy królowej.

Truge nie otrzymał zbyt wyczerpującej odpowiedzi. Ravi wymamrotał jakieś nic nie znaczące grzecznościowe formułki, za to pociągnął solidnie z butelki.

- Musisz jej dobrze strzec, Knut. Wiesz, że jeśli spuścisz ją z oka, to jest tylu chłopów, którzy...

- Och, milcz, ty podstępny wężu. Sam byłbyś pierwszy, co? Przecież widzę, jak się gapisz na... Annę. I wcale ci nie wstyd, chociaż z daleka widać, że jest brzemienna!

Truge wydał wargi, słyszał jednak, że słowa Ravięgo pozbawione są złośliwości.

Obaj raczyli się cierpkim trunkiem, mrużąc oczy w ostatnich promieniach gasnącego słońca i rozmawiając o niczym.

W głębi domu zaległa cisza. Słysząc było tylko trzaskanie ognia, który rozpalano nawet w taki piękny wiosenny wieczór, bo kasza musiała zostać porządnie odgrzana.

Truge siorbał mleczną zupę z błogim wyrazem twarzy. Johanna musiała się mimo woli uśmiechać. Malarz siedział, chrząkał i mlaskał, oblizywał się tak, że można by pomyśleć, iż podano mu królewski poczęstunek. Co prawda okrasila potrawę słoniną, dołożyła też wędzonego mięsa, a do tego znalazło się dobre piwo. Zupa jednak była całkiem zwyczajna, szarawa i lepka, pospolita niczym ryba, którą Johanna właśnie czyściła na następny dzień.

Mężczyźni właściwie przy jedzeniu nie rozmawiali, Johanna zaś siedziała koło ognia i starała się usunąć najgrubsze ości z ryby. Lubiła tak oczyścić ryby, żeby nie było kłujących ości w wiosennej zupie z zielonych korzeni dzikiego kminku, liści pokrzyw i szczawiu, którą na niej ugotuje. Dobrze osolona i przyprawiona pieprzem

będzie na pewno miłą odmianą w codziennym pożywieniu.

- Jesteś bardzo pracowitą gospodynią, Anno - pochwalił ją Truge między jednym a drugim kęsem.

Jego ukradkowe spojrzenie ponad plecami Ravięgo sprawiło, że Johanna uśmiechnęła się znowu blado. Ten Truge ma czasami takie skore do żartów oczy. Jest przecież dojrzałym mężczyzną, ale nosi w sobie jakiś rodzaj szaleństwa i naiwność, które Johannę irytowały nawet u całkiem młodych ludzi.

Ryba wypadła jej z rąk, plasnęła o podłogę i potoczyła się w stronę stołka Trugego. Johanna chciała się pochylić, żeby ją podnieść, ale jak wielokrotnie przedtem przeliczyła się, wystający brzuch nie pozwolił na aż taki skłon. Truge podskoczył, żeby pomóc.

- Powinnaś więcej odpoczywać, Anno. Przez cały czas pracujesz... to chyba nie jest już konieczne, dla kobiety z twoją pozycją?

Ravi uśmiechnął się.

- Naprawdę to nie jesteśmy aż tacy bogaci mimo spadku po pastorze! A jeśli dobrze usłyszałem na jarmarku, to może się nawet zdarzyć, że w końcu spadek wymknie nam się z rąk niczym śliska ryba!

- O, nie, Torkjell powiedział, że to mało prawdopodobne. Sam rozmawiał z prokuratorem...

Truge spostrzegł, że małżonkowie wymienili spojrzenia. Imię Torkjella sprawiło, że Anna dziwnie zmrużyła oczy. Czyżby go nie lubiła? Ravi powiedział z wolna:

- Torkjell chyba poradzi sobie z tym, być może...

- Torkjell załatwia trudniejsze sprawy - przerwał mu Truge i znowu rzucił się na jedzenie. Zapał, z jakim napełniał usta zupą i suszonym mięsem, wydał im się zbyt wielki, by można go było tłumaczyć jedynie głodem. Zwłaszcza że pochłonał już znaczną część drugiej porcji.

Johanna ułożyła rybę na zielonych liściach, miały ostry smak, dzięki czemu mięso będzie delikatniejsze. Poza tym liście wchłoną resztki śluzu i krwi, których nie zdołała usunąć.

Podniosła się powoli z miejsca, podeszła do stojącego przy drzwiach wiadra z wodą, żeby umyć ręce. Wycierała je potem długo, przyglądając się twarzom mężczyzn przy stole. Obaj jedzący siedzieli pochyleni nad blatem, zgarbieni, potargane włosy obu lśniły w świetle oliwnej lampki. Widziała spokojne oczy Ravięgo, jego spojrzenie

jakby otwierające się wobec Trugego. Nigdy przedtem nie widziała, żeby Ravi tak się zachowywał, nie robił tego przed nikim z wyjątkiem jej.

Zresztą przed nią też nie zawsze.

Czuła w brzuchu delikatne ukłucia, jakby rybie ości, które tak mozolnie usuwała, leżały tam teraz i drażniły ją. Niepokój w jej sercu wywoływała nie tylko troska o dziecko. Wyczuwała lęk jako coś fizycznego, co zawisło w powietrzu między nią a Trugem, nie byłaby jednak w stanie powiedzieć, skąd się to bierze.

Johanna wyszła na dwór. Powietrze było łagodne, ale chłodny powiew od strony lasu świadczył, że wysoko w górach wciąż jeszcze zima broni swoich pozycji.

Słońce chyliło się ku zachodowi i powoli zapadał zmierzch. Z drzew wokół domu Plassen dochodziły cichutkie popiskiwanie, jakby głosy piskląt w gniazdach. Gdzieś ponad głową Johannę odpowiadał im drozd.

Ruszyła wolno w stronę świerków, weszła między dostojne drzewa. Poczowała się jak w kościele. Potężne pnie wyciągały się ku niebu, gałęzie rosły bardzo wysoko, tworząc coś w rodzaju dachu ponad miękkim, uginającym się leśnym podłożem pokrytym mchem.

Usłyszała, że pod jej stopami chlupie woda. O tej porze roku niemal widziało się, jak trawa rośnie na łąkach, dni były pełne słońca, a nocami często ziemię rosił deszcz.

Wyglądało na to, że lata nieurodzaju minęły.

Chłopi wciąż się jeszcze bali, wprost nie mogli uwierzyć, że w końcu łąki pokryły się soczystą, pożywną trawą. Wielu już teraz zaczynało kosić w obawie, że wszystko może się któregoś dnia odmienić, najlepiej więc uchronić to, co można.

Większość gospodarzy jednak pozwalała trawie rosnąć, tylko każdego wieczoru uważnie przyglądali się niebu, niepewni, czy nie pojawią się jakieś znaki, zapowiadające zmianę na gorsze.

Johanna poczuła, że tutaj, pośród odwiecznych drzew, szum w głowie i ból karku zelżały. Szła wciąż przed siebie, wiedziała bowiem, że tam, gdzie zarośla i mniejsze drzewa liściaste tworzą półkole, znajdzie niedużą polankę. Będzie mogła posiedzieć, pooddychać świeżym zapachem młodych brzoźowych listków i wierzbiny. Poza lasem, w otwartym krajobrazie, drzewa już dawno rozwinęły wielkie liście, teraz pokryły się też kwieciami. Tutaj jednak, w wiecznym półmroku, wiosna dopiero się zaczynała.

Johanna lubiła wiosnę bardziej niż lato.

Usiadła na znajomym kamieniu, był chłodny, ale nie do tego stopnia, by sprawiało jej to przykrość. Pogrążona w myślach bawiła się zieloną witką rosnącą obok łoży. Zdrapała korę paznokciami, czuła, że gałązka jest miękka i gibka, na koniuszkach palców poczuła lepki sok. To czas rozwoju, pomyślała, czas na zabawę i nowe radości.

Dlaczego w takim razie jestem smutna?

Karen umarła. Ale nie tylko to. Ludzie gadają. Podejrzewają nas o czary.

Tak strasznie trudno kochać Raviego. A poza tym od wielu miesięcy nie widziałam rodziców.

Ale mój smutek płynie nie tylko stąd.

Może więc obawa, że któregoś ranka mogą mnie obudzić ludzie lensmana i zamknąć w więzieniu za zabójstwo Erlenda?

Nie, też nie to.

Siedziała przygaszona, serce biło miarowo, a ona próbowała określić, co tak pali ją w piersi i nie daje spokoju. Niejasno przypominała sobie podobne uczucia, różne sytuacje i z dzieciństwa, i z okresu dorastania aż do tamtego oszołomienia w pierwszym okresie narzeczeństwa z Erlendem.

Uświadomiła sobie, że zawsze doznawała tych skurczów serca. Szczerze mówiąc, towarzyszyły jej nawet w najszcześniejszych chwilach.

Skąd się to bierze?

Jak się tego pozbyć?

I jak się uwolnić od przygnębienia?

Objęła ramionami podkulone nogi, obiecując sobie, że będzie się zajmować tylko najbardziej rzeczywistymi problemami, których przecież nie brakuje.

Wkrótce jej czas się dopełni, dziecko przyjdzie na świat. W jakimś sensie już teraz trzymała je w ramionach, chociaż nadal pod sukienką wyczuwała przede wszystkim własny brzuch.

Tyle trzeba wyjaśnić, uładzić, uspokoić. Tak wiele spraw trzeba zorganizować, przygotować, przemyśleć.

Dziecko wkrótce się urodzi, może już za cztery tygodnie. Będzie wtedy lato, ciepło.

Na myśl o dziecku znowu poczuła skurcz w sercu.

Czy dziecko jest Raviego?

A może Erlenda?

Nie chciała teraz o tym myśleć, miała pod dostatkiem innych trosk. Słowa Raviego zaś były jasne i przekonywające. On nie miał wątpliwości. Postanowiła wobec tego mu zaufać.

Mimo wszystko skurcz serca nie ustępował, to pytanie, na które chyba nigdy nie otrzyma odpowiedzi, wciąż się czaiło, wciąż dawało o sobie znać.

Czy to na pewno jest dziecko Raviego?

Odetchnęła głośno, wolno, z cichym jękiem, wypuszczała powietrze. Złożyła rękę na sterczącej pod piersiami kuli.

Ono musi być jego. Świerki pochylały się nad jej głową, z doliny od strony Hardangervidda wciąż nadciągało zimne powietrze, lekki wiatr nieustannie owiewał kościelną wieś. Johanna zmarzła. Cienka spódnica i wełniana kamizelka nie chroniły przed wieczornym chłodem, chociaż miała na sobie robioną na drutach bluzkę i dodatkową ochronę na piersi.

Wstała, las nie dawał jej już spokoju. Wracała niemal niewidoczną teraz ścieżką, śpieszyła się, a kiedy dotarła do progu własnego domu, dyszała z wysiłku. Czuła ostrzegawcze ukłucia w brzuchu, ale to całkiem inny ból, zrozumiały i łatwy do wytłumaczenia, więc nie budzący niepokoju.

Truge ma chyba rację. Powinna spróbować żyć w powolniejszym rytmie. Nie musi przecież ciężko pracować, teraz, kiedy odziedziczyli takie bogactwo, stać ich na wynajęcie ludzi do pracy w polu. A w domu niech wszystko zostanie tak jak jest, chociaż Ravi raz po raz przebąkuje o przybudówce.

Otworzyła drzwi i zobaczyła w półmroku dwie twarze. Obaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie w jej stronę, a w powietrzu zdawały się wciąż trwać słowa, które ucichły w momencie, gdy dotknęła ręką klamki.

Ravi uśmiechnął się pierwszy.

- Więc jesteś, Anno... już zaczęliśmy się zastanawiać, co się z tobą stało.

- Wyszłam przejść się trochę, wieczór taki piękny - mruknęła w odpowiedzi.

- A ja miałem się właśnie zegnać... chyba nadużywam waszej gościnności - powiedział Truge. W jego oczach widziała jednak przekorne błyski.

- Zostań jeszcze, usiądź, bardzo proszę. Ty... ty jesteś przyjacielem Raviego. Jaką byłabym żoną, gdybym wtrącała się do jego przyjaźni?

Zabrzmiało to gorzko, ale ton jej głosu chyba usprawiedliwiały sztywne ruchy i ociężałość. Truge wolno kiwnął głową.

Johanna usiadła przy ogniu na tym samym stołku, na którym przedtem czyściła

rybę. Na półce nad paleniskiem leżała jej robota na drutach, teraz zdjęła ją z zuchwałą miną. Niech sobie będzie niedziela. Skoro można szykować jedzenie i obrządzać zwierzęta, to Pan na niebiesiech z pewnością zrozumie, jak ważne dla niespokojnej kobiety jest zajęcie rąk w te ostatnie godziny świątecznego wypoczynku.

Pod jej palcami powstawała dziecinna kołderka. Kiedy zaczynała tę robotę, myślała, że będzie to chustka dla Karen.

Mężczyźni jakby z wahaniem powrócili do przerwanej rozmowy. Mówili o malowaniu, Truge wymachiwał rękami i opowiadał głośno o swoich ostatnich doświadczeniach z zielenią jako podstawą dla całkiem nowej barwy. Johanna słuchała jednym uchem, wiedziała, że dopiero co podjęli ten temat i że kiedy ich nie słyszała, byli pogrążeni w rozmowie o czymś zupełnie innym.

- O czym to rozmawialiście z malarzem dzisiejszego wieczoru, Ravi? Pytanie pojawiło się między nimi niczym nieoczekiwany zimny powiew z doliny. Ravi skulił się, zanim odpowiedział.

- Rozmawialiśmy? O wielu sprawach... o czym tylko... przecież słyszałaś? Potrząsnęła głową, wtuloną w jego ramię.

Ravi wiedział, o co jej chodzi. Czuła, że pierś mężczyzny podnosi się i opada jakby w trochę zbyt głębokim oddechu.

- Rozmawialiśmy o Torkjellu - odparł ciężko. - Zauważyłem, że nie lubisz Torkjella, moja kochana.

- Wcale go nie znam - rzuciła pośpiesznie, usłyszał, że lekko zgrzytnęła przy tym zębami.

- Ja też go nie znam... ale wiele dla nas zrobił. On pragnie być naszym przyjacielem, Johanno. Nie można tego odrzucać.

- Naszym przyjacielem? Czy myślisz, że gospodarz z Nyhus zostałby twoim przyjacielem, gdyby nie to, co dzięki temu może zdobyć? Czy myślisz, że trąciłby jednym swoim tłustym palcem o drugi, gdyby mu się to nie opłacało?

Ravi zeszywniał u jej boku, cofnął rękę.

Johanna już żałowała, że podjęła ten temat. Jest przecież niedzielny wieczór i w ogóle, powinni rozmawiać spokojnie przed snem.

- Bardzo się cieszę, że masz przyjaciół - powiedziała łagodnie i przytuliła się do niego. Stwierdziła, że Ravi się odprężył. - Cieszę się z powodu Trugego, z powodu Torkjella... także z powodu tego Duńczyka, tego, o którym mówisz, że zawsze o nas pyta i uśmiecha się do ciebie... ale się też boję. Boję się tego, czego oni mogą

zażądać... od ciebie.

Twarz Ravięgo zwróciła się ku niej, Johanna dostrzegła ruch i poczuła na policzku jego oddech. Ale spowijająca oboje ciemność była czarna jak jego oczy, więc ich nie widziała.

- Przecież wiesz, czego oni chcą. W każdym razie czego może chcieć Torkjell. Wynajduję dla niego rzeczy... doradzam mu.

- Owce, złote pierścionki, dokumenty...

- Tak. A parokrotnie opowiadałem mu wesołe historie o rzeczach, które ma w swoim domu. Podoba mu się to, lubi poddawać mnie próbie.

- A ty trochę lubisz pokazać, co potrafisz?

Sama usłyszała, że to pytanie zabrzmiało zbyt surowo i oskarżycielsko. Ravi odrzekł jednak cicho i spokojnie:

- Tak. Tak, lubię patrzeć na zdumione oczy ludzi. Lubię widzieć, jak milkną, jakbym był kataryniarzem lub dziwolągiem z Afryki...

- Nie śmieją się z ciebie?

- Torkjell nie, Truge też nie. Myślę, że oni nawet troszkę się boją... Johanna z wolna skinęła głową. W takim razie dobrze.

- Musisz jednak wystrzegać się również ich, Ravi. Jeśli bowiem któregoś dnia zwróciliby się przeciwko tobie... pokazałeś im więcej niż trzeba, by cię oskarżyć, dobrze o tym wiesz. Więcej niż trzeba...

- Tak. Ale oni się nie odważą. Wiedzą za dużo... widzieli mnie w różnych sytuacjach. Wiedzą, co mogę zrobić ze swoimi wrogami...

Nie była pewna, czy te słowa ją uspokoiły, czy też powiększyły ciężar w piersi. Miała świadomość, że od kiedy żony trzech komorników zaczęły gadać, to coraz więcej ludzi odwracało się od niej na drodze, żegnając się ukradkiem.

- Do jesieni, Ravi... potem stąd wyjedziemy! Znowu wsunął jej ramię pod głowę, drugim objął i mocno przytulił do siebie. Jej wielki brzuch leżał między nimi jak wypchana poducha.

- Tak - odparł ochryple. - Jeśli tego chcesz, moja kochana... obiecałem ci przecież kiedyś, że pójdę za tobą wszędzie...

ROZDZIAŁ TRZECI

Poczuł, że przytulona do niego Johanna zasnęła, że jej szczupłe ciało dźwigające teraz wielkie brzemień powoli pogrąża się w spokoju, wkracza w

pozbawioną bólu rzeczywistość snu.

Ravi leżał, nie śpiąc, i walczył z niepokojem rozrastającym się w jego ciele. Musiał z całej siły zaciskać szczęki, by nie dopuścić do sztywnienia mięśni w udach i ramionach, by nie ulec drgawkom. Już mu groźnie szumiało w uszach, dźwięk stawał się silniejszy z każdym oddechem, Ravi bał się, że obudzi Johannę.

Dobrze znał te objawy.

Ów wieczny szum niczym zew wzburzonej rzeki, huk wodospadu, znajdującego się gdzieś w jego wnętrzu.

W końcu jednak musiał dać za wygraną, bardzo ostrożnie uwolnił się z objęć ukochanej. Cicho jak leśne zwierzę wysunął się z łóżka, dotykał podłogi obolałymi stopami i wyszedł z izby ze spodniami pod pachą.

Na zewnątrz trwała pełna zapachów wiosenna noc.

Nie wiedząc o tym, podążał śladami Johanny. Wyczuwał smutek panujący nad małą polanką w środku mrocznego świerkowego boru, ale nie poszedł dalej, bo teraz głowę przepęłniał mu już tak dobrze znany huk; bezwolnie opadł na kamień, na którym ona spoczywała parę godzin temu.

Tym razem widział jakichś nieznajomych ludzi. Nosili długie, czarne ubrania podobne do habitów, a jeden z nich trzymał w rękach lśniąca białą czaszkę. Widział też coś w rodzaju kościoła, a może cmentarne mauzoleum, takie, o jakich czytywała mu Johanna.

Mężczyzna z czaszką odmawiał modlitwę, może to jakiś kapłan?

Ravi mrugał ciężkimi powiekami, pomieszczenie znajdowało się jakby pod nim, on sam unosił się pod sufitem, cieniutki strumyk światła podobny do wiązki promieni słonecznych padał na stojących w dole ludzi. Nagle zobaczył, że ich twarze są jak rozżarzone węgle, jak głębokie czerwone dziury, które tak dobrze znał. Pot spływał mu po karku.

Czaszka. Czaszka™ ta miała włosy, długie czarne włosy...

Trzymał się rękami za brzuch, gdyby tylko rozluźnił ucisk, natychmiast pojawiłyby się mdłości. Ravi dawno już spostrzegł, że nawet w najbardziej pochłaniającej go wizji potrafi zachować trochę własnej osobowości, jakąś resztkę rozsądku, która sprawia, że to wszystko jest tak potwornie bolesne.

Głowę niemal mu rozsadało, nie był już w stanie znieść więcej obrazów, większego oszołomienia. Jak gdyby jednym okiem, po jednej stronie świadomości, dostrzegał świński pęcherz napełniony wodą, po przeciwnej stronie natomiast ów

mężczyzna w czarnym habicie szedł przez jakieś pomieszczenie. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mężczyzna w habicie pochylał się nad czymś w rodzaju ołtarza, w tamtej drugiej wizji pęcherz świński eksplodował. Bolesny krzyk wydobył się z zaciśniętych warg Ravięgo. Nie był w stanie pojąć tego obrazu, zresztą wcale nie chciał.

Podobnie jak nie pojmował ciszy, która potem nastąpiła, ciszy pod czarnymi świerkami. W ciszy tej bowiem zobaczył Johannę, teraz nie miał żadnych wątpliwości, w jakimś rozbłysku zobaczył ją siedzącą tuż obok niego, głaskała swój wielki brzuch i śpiewała. A może to płacz? Dźwięk był tak odległy, cały obraz przesłaniała poranna mgła, chciał ją przegnać, ale jego ręce wiedziały, że to niemożliwe, leżały więc zakrzywione niczym szpony na chudych żebrach.

Postać Johannę rozplynęła się, zniknęła, on jednak dostrzegł, że na miejscu, na którym siedziała, leży dziecko. Natychmiast zacisnął powieki, chciał wchłonąć ten obraz jak najmocniej, chciał widzieć wyraźnie, chciał w rysach dziecka znaleźć odpowiedź.

Buzia maleństwa była jednak czerwona i rozpalona, po prostu go oślepiła, zdążył przekonać się tylko, że dziecko ma czarne włosy.

Znowu pojawiły się drzewa, potrząsał głową i mrugał wielokrotnie, by się upewnić, czy to, co widzi, to są prawdziwe drzewa, chwiejące się ponad jego głową z cichym szumem, czy dalszy ciąg wizji.

Słyszał jakieś nawołujące się głosy zwierząt żyjących w pobliżu polanki oraz dalekie ujadanie psów gdzieś wyżej.

Powoli powracał do świata.

Ale coś, na co przedtem nie zwrócił uwagi, wciąż jeszcze trwało, chociaż otworzył szeroko oczy i zaczynał się przyzwyczajać do panujących w lesie ciemności.

Wciąż miał w głowie obraz młodej kobiety.

To nie była Johanna, miała zbyt jasne włosy.

Niosła w objęciach dziecko, zupełnie maleństwo otulone w jakieś gałgany, a na białym śniegu, po którym stąpała bosymi stopami, czerwieniały plamy krwi. Zatoczyła się, upadła, w końcu podniosła się i zawróciła. Szła po własnych śladach i Ravi widział, że w udręce wznosi twarz ku szaremu niebu, nagle bliski szoku uświadomił sobie, że dziecko na rękach nieznanym jest martwe.

Wyczuwał jej ból, delikatny biały krzyż, który spoczywał na szerokich plecach kobiety.

Nie mógł pojąć dziwnego wrażenia, jakie robił na nim ten obraz, kobieta była obca, dziecka także nie znał, to tylko jedna z wielu wizji, o których dawno zapomniał lub utopił w alkoholu.

Dlaczego więc nie może się od niej uwolnić, chociaż głosy nocnych ptaków zaczynają już do niego docierać?

Ravi otarł pot z czoła, czuł, że krew pulsuje mu w koniuszkach palców.

Znał swoje ciało na tyle dobrze, że wiedział, kiedy wystarczy mu sił, by się podźwignąć po wizji.

Tym razem zresztą nie było tak źle. Nie był wprawdzie pewien, czy stracił przytomność czy nie, domyślał się jednak, że miał drgawki. Obliznął ciężkim językiem wargi, sprawdził podniebienie, ale smaku krwi nie poczuł. Osłabiony podniósł się z miejsca, myśląc, że tym razem przeszło szybko. I chyba nikt go nie widział.

Wracał do domu tą samą wąską ścieżką, na skraju polanki odwrócił się i spojrzął przez ramię.

Kamień był pusty.

Ravi oddychał ciężko, wolno wciągał, a potem wypuszczał powietrze. Szedł w stronę domu.

Słyszał teraz szum strumyka, a to dobry znak.

Umył się w czystej wodzie, ostudził rozpaloną głowę i spojrzął na nocne niebo. Jasny pas na wschodzie świadczył, że do brzasku nie zostało już zbyt wiele czasu. Zdawał sobie sprawę z tego, że teraz nie zaśnie. Nawet ciepłe ciało Johanny nie jest w stanie ukoić drżenia, które długo jeszcze nie opuści jego ciała. Na to trzeba czegoś innego.

Poszedł do malej komórki za domem, długo szukał w słomie i wiórkach, między zwojami wełny, aż znalazł bańkę.

Johanna zobaczyła go uśpionego na pół zbutwiałej wełnie z magazynów pastora, całe niewielkie pomieszczenie cuchnęło kiepską wódką, potem i mokrą wełną.

Kiedy otworzyła drzwi, słoneczny blask bezlitośnie ujawnił żaloszny widok.

Ravi leżał, jakby go ktoś powalił na ziemię, wszędzie wokół porozrzucone ubranie, nogi miał skrzyżowane, ręce rozłożone na boki. Bańka po wódce leżała nieco dalej na słomie, a ciemna plama świadczyła o tym, że to, czego nie wypił, z niej wyciekło.

Twarzy śpiącego nie widziała, bo potargane włosy opadały na oczy. Musiał

gdzieś zgubić skórzaną przepaskę. Zarost wydawał się dziwnie czarny na tle białej skóry, zaczerwienione powieki drgały, gdy padło na nie słoneczne światło.

Jęknął przez sen, słyszała, że w brzuchu mu burczy.

- Ravi, już dawno jasny dzień! Wstawaj!

Nie robiła mu wymówek, mimo to jej słowa raziły nagą skórę niczym stal. Postać na podłodze nie poruszyła się, ale z gardła wydobywały się dźwięki, które sprawiły, że Johanna zadrżała mimo ciepłego dnia.

Łatwo było teraz się rozzłościć. Leżał oto przed nią cuchnący wrak człowieka, nie był w stanie się podnieść i zabrać do codziennej pracy.

Widziała jednak jego mokre włosy oblepiające twarz i zaschnięty brud na rękach i na szyi.

Upił się do nieprzytomności. Znowu miał wizję.

Podczas gdy ona leżała w ciepłym łóżku i śniła jakieś pozbawione wszelkiego znaczenia pogodne sny, on znowu walczył ze swoim koszmarem.

Johanna uklękła obok męża i odgarnęła mu włosy z twarzy.

- Mój kochany... co z tobą będzie? Co będzie z nami? Och, Boże, czy nie ma litości dla tego biedaka? Czy nie możesz nic zrobić, by go uwolnić od tego przekleństwa?

Ravi poruszył się teraz, wykrzywił wargi, twarz mu się wydłużyła, kiedy Johanna próbowała zetrzeć z niej brud. Co on widział?

Jakie nowe tajemnice będzie musiał nosić w sercu?

Johanna poczuła się kompletnie bezradna, kiedy tak siedziała, wiedząc, że takiego życia nikt na dłuższą metę nie wytrzyma. Nawet mężczyzna tak kochany jak Ravi.

Otworzył oczy, ale natychmiast zamknął je z jękiem, bo słoneczne światło raziło go boleśnie. Johanna nie wiedziała nawet, czy uświadomił sobie, że ona przy nim siedzi.

- Odpocznij jeszcze chwilkę, przyniosę ci wody - powiedziała spokojnie. Jedną ręką Ravięgo drżała lekko, jakby próbował ją unieść, ale okazała się zbyt ciężka. Innej odpowiedzi Johanna się nie doczekała, z gardła wydobył się tylko jakiś głuchy pomruk.

Prawdopodobnie tym niezrozumiałym mamrotaniem wyrażał wdzięczność, w każdym razie smutna czułość zalała serce Johanny, kiedy opuściła go, by pójść nad rzekę. Był teraz jak dziecko, którym trzeba się zająć. Jakby ów ciężar w jej brzuchu

już się narodził.

Kłęcząca nad brzegiem i patrzyła, jak wiadro napełnia się wodą, potem z całych sił je wyszarpnęła, drugą rękę opierając na krzyżu, prostowała się wolno, w końcu udało jej się unieść naczynie.

Dzień się dopiero rozpoczął, słyszała daleki metaliczny dźwięk z kuźni w zagrodzie położonej nieco wyżej. Zataczając się pod ciężarem wiadra, szła w stronę obejścia, wzięła z izby miękką szmatę, która właściwie miała być pieluszką dla maleństwa przeciągającego się teraz w jej sterczącym brzuchu.

Zmęczona postawiła wiadro na progu i wyprostowała się. Odpoczywała przez chwilę, odnalazła wzrokiem czarny otwór stanowiący wejście do szopy. Potem znowu dźwignęła wiadro i poszła do Raviego.

On teraz na wpół siedział, widocznie zamierzał wstać. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Zamknij drzwi, Johanno, bądź tak dobra...

- Nie będę tak dobra - powiedziała stanowczo, ale zaraz złagodziła te słowa uśmiechem.

Ravi wyglądał jak nieposłuszne dziecko.

Johanna kopniakiem odrzuciła na bok pustą bańkę, wiedziała, że ten gest mówi wszystko, co jest do powiedzenia.

Ostrożnymi ruchami zaczęła przemywać jego twarz, potem szyję i rękę, i całe chude ciało od pasa w górę.

Kiedy w końcu pochyliła się na tyle, na ile brzuch jej pozwalał, i pocałowała go delikatnie w usta, Ravi uśmiechnął się, a oczy mu się rozjaśniły.

- Jesienią wyjedziemy - powiedział ochryple. Tym razem to ona skinęła głową.

- Tak. Jesienią...

- Porozmawiam z Trugem. On sam dużo się włóczył po bliższej i dalszej okolicy... może znajdzie jakąś radę, może kogoś zna...

- Tak powinienes zrobić, Ravi. Mężczyzna przymknął oczy i objął rękami głowę.

- Boli? Uśmiechnął się blado.

- To moja wina. Nie musisz się użalać nad głupim człowiekiem...

- Ból po wódce nie jest chyba tak wielki jak ten drugi - powiedziała, nie mogła jednak ukryć, że też uważa, iż Ravi sam jest sobie winien. - Mimo wszystko może istnieje jakaś rada. Mam jakieś stare mikstury... może jeszcze zachowały moc. To

babcia je robiła, nie zdziwiłabym się, gdyby ich sama używała po długich nocach spędzonych z Nadjaną przy winie.

Ravi uśmiechnął się smutno, kiedy wspomniała swoją babkę, Marję. Ta kobieta dawno temu wryła się mocno w pamięć małego, przestraszonego chłopaka o dziwnych myślach.

- Myślę, że to niepotrzebne. Ja... czuję się już dobrze. Daj mi tylko trochę wody...

Otrzymał napój, poza tym Johanna zmusiła go do wypicia filiżanki zimnej kawy, którą przyrządzała im co niedziela od czasu, gdy zawartość spiżarni Karen została przeniesiona do Plassen.

- Tyle dla mnie robisz - rzekł z podziwem, kiedy znaleźli się nareszcie w izbie, gdzie nie docierało już słoneczne światło, a Johanna zaczęła przygotowywać warsztat tkacki.

- Teraz jestem mądrzejsza. Wiem, że nie można się dziwić, iż gadasz za dużo po wsi, skoro nie masz nikogo... tu w domu. Jeśli pomogę ci choć trochę dźwigać twój ciężar, Ravi... to może oboje staniemy się silniejsi.

Mówiła tyle dziwnych rzeczy ta jego mała Hanna.

Siedział pogrążony w półśnie, nie spuszczać jednak oczu z dziwnej ciężkiej postaci, która poruszała się tak lekko, naciągając farbowaną włóczkę na ramę.

- Co ty robisz, Johanno?

- Ech, to będzie narzuta albo coś w tym rodzaju. Nic nadzwyczajnego, ale szkoda, żeby ta cała włóczka po prostu się marnowała. Nauczyłam się tego kiedyś, dawno temu, od Ebby w szpitaliku, tak mi się zdaje. Wspomnienia z innego życia.

Ravi zawsze uważał, że najlepiej iść naprzód i nie oglądać się za siebie. Widział jednak, jakie zwinne są palce Johanny, kiedy pracują, widział też delikatny uśmiech, błakający się po jej wargach w jakiś jakby niosący pociechę sposób, kiedy osnowa została naciągnięta i można było uruchomić czółenko. W tym momencie jednak jej ręce stały się niepewne. Pierwsze nici wątku zwisały luźno w osnowie. Johanna westchnęła, ale nie poddała się. Zaczęła znowu naciągać nitki, umieściła wszystko na właściwym miejscu, stare czółenko wydawało z siebie dźwięczny warkot, przesuając się między niemi osnowy.

Ravi nie spuszczał z niej oczu, nagle coś przyszło mu do głowy, jakieś odległe wspomnienie. Inna kobieta, która tak siedziała. W innym czasie? Miała tak samo ciemne włosy, tak samo młode ręce, drobna postać w szarej, domowej roboty sukni.

Widocznie taka sytuacja powtarza się w życiu co jakiś czas.

Mama. przemknęło mu przez głowę i poczuł wyrzuty sumienia, że tak rzadko ją wspomina.

- O czym myślisz, Ravi? Tak posmutniałeś... Słowa rosły mu w ustach, nie był w stanie ich wypowiedzieć i zaciskał zęby.

- O niczym... o niczym specjalnym, Hanno... chyba wyjdę trochę się przejść i zobaczę, czy furka zamknięta.

Wyszedł z domu, a kiedy dotarł do płotu, ogarnął go znowu ten niezwykły nastrój. Zaskoczony odkrył, że strzępy wspomnień z dawno minionego dzieciństwa wciąż krążą mu w głowie.

Czarnowłosa matka... płot, za który nie wolno było wychodzić...

Ravi poczuł bolesny skurcz twarzy, coś, co sprawiło, że skóra się zmarszczyła, a oczy zaczęły go piec.

Nie powinno się tak traktować dzieci.

Ale, niestety, ten świat, na którym przyjdzie żyć maleństwu Johanny, nie jest dużo lepszy.

Nie miał do końca odwagi myśleć o dziecku jako swoim potomku. Czasami nawiedzały go niedobre myśli, liczył jednak, że dziecko jest Erlenda. To rozsądek kazał mu żywić takie przypuszczenia. Bo jeśli maleństwo jest jego, jeśli odziedziczy chociaż drobną część przekleństwa spoczywającego na nim, to będzie musiało dźwigać straszliwe brzemię.

Czyż nie jest tak, że przekleństwo przechodzi z ojca na syna, z matki na nie narodzone jeszcze dzieci? Ravi nie wiedział, czy to prawda, pamiętał jednak pełne nienawiści słowa ojca:

„Jesteś jak ona, przeklęta, nazywali ją wiedźmą i zamordowali bez wyroku ni sądu...”

Zrobiło mu się chłodno, nie czuł, że ziemia pod stopami jest ciepła i tłusta, i daje dość soków, by trawa rosła tak, że aż słyhać.

Moje dziecko...

Dziecko Erlenda?

Nie, dziecko Johanny.

Tak chciał o nim myśleć: dziecko Johanny. Może z taką świadomością będzie mu mimo wszystko łatwiej żyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Torkjell Villane! długo się zastanawiał, w końcu jednak uznał, że nie ma innego wyjścia. Musi otrzymać odpowiedź na dręczące go pytanie, musi wiedzieć więcej o tym, o czym właściwie nikt nie potrafił mu nic powiedzieć. Kosztowało go to wiele, bardzo bowiem nie lubił wywnętrzać się przed obcymi, zwłaszcza w tak żalosnej sytuacji. Jak najmniej ludzi powinno znać słabości Torkjella Villanda, wiedział, że byłoby to bardzo niebezpieczne dla przyszłości, którą sobie właśnie budował.

Może jednak ów Knut zna odpowiedź?

Może byłoby czego posłuchać, może on potrafi znaleźć jakieś ziarno prawdy, nad którym w każdym razie można by się zastanawiać?

Tkwił w ślepym zaułku.

Właśnie spędził u Birgit całe dwa dni i jej rodzice przyjmowali go tak, jak wypada gościć przyszłego zięcia. Birgit jednak była jakaś chłodna i nieprzystępna, a jeśli już pojawiał się błysk w jej ciemnych oczach, to raczej z irytacji nad głupstwem, które on lub jej ojciec powiedział.

Nie mówiła nic, chodziła spokojnie między jadalnią i kuchnią, stawiała na nakrytym obrusem stole chleb i podplomyki, pieczone mięso i gotowane warzywa, które sama przyrządziła.

Obyczaj tego wymagał, nawet w wielkich dworach, gdzie zatrudniano wiele służących, które mogły się zająć gotowaniem i pieczeniem.

Kiedy konkurent przybywa do domu, panna powinna podawać mu jedzenie.

Ręce Birgit drżały lekko, kiedy stawiała przed Torkjellem ciężkie półmiski; ich oczy spotkały się na krótką chwilę i mężczyzna drgnął, gdy nagle uświadomił sobie, że ona odczytuje więcej w jego spojrzeniu, niż on jest w stanie dowiedzieć się z jej brązowych oczu.

Czy i dzisiejszego wieczoru teść nie ma dziwnej miny?

Czy matka Birgit nie tkwi przy swoim końcu stołu milcząca?

A sama Birgit, siedząca naprzeciwko Torkjella? Między jej wygiętymi w piękny łuk brwiami pojawiła się zmarszczka, w zazwyczaj łagodnych ruchach była jakaś niecierpliwość.

Torkjell nie przestawał mówić, opowiadał o sprawie Rikandsrudów, zbliżając się do końca. Chciał dać do zrozumienia przyszłemu teściowi, kto dostanie

spadek po bogatym krewnym. Być może braci Villandów jest wielu, ale Torkjell z pewnością stanie z nożem w ręce, kiedy będzie się dzielić słoninkę.

Siwowłosa mężczyzna jadł w milczeniu, czasami tylko kiwał głową lub odpowiadał jakimś mruknięciem.

W końcu Torkjell zamilkł. Zrozumiał, że mają mu coś do powiedzenia. Najwyraźniej wszyscy troje o tym myślą. Opróżnił kufel, oparł się wygodnie w krzesło.

- Wspaniała kolacja, Birgit, moja droga. Szkoda, że nastrój przy stole taki przygnębiający. Czy mógłbym wam w czymś pomóc? Czy coś cię dręczy, teściu?

Tamten popatrzył na niego. Twarz mu pociemniała, ale Torkjell nie cofnął wzroku. Potem stary spojrział na córkę i powiedział gniewnie:

- Wyjdź, Birgit, mam do porozmawiania z twoim przyszłym... sama wiesz. Torkjell zdziwił się, że tak posłusznie wstała od stołu. Matka poszła za nią, pusty dzban po piwie stanowił wymówkę...

Torkjell poczuł, że sztywnieje mu kark, ale twarz wyrażała jedynie życzliwe zainteresowanie.

Gospodarz chrząkał i ocierał usta. Nagle beknął głośno, w męskim towarzystwie to wypada.

- Wszystko wskazuje na to, że zostaniesz moim zięciem, Torkjellu Villandzie.

- Tak, i z największą dumą stanę przy boku waszej córki.

- Takie tam gadanie adwokackie! Ja natomiast mam ci coś do powiedzenia, mój drogi, młody panie!

Torkjell poczuł się nieswojo, zaraz jednak ogarnął go gniew. Co sobie myśli ten prosty chłop? Nie minie wiele czasu, a Torkjell będzie siedział na skrzyniach pełnych srebra. Wtedy zrobi się koniec z tą czołobitnością, z tym upokarzającym bieganiem na komendę teścia. Gra jest jednak niezbędna, dopóki Birgit pozostaje w domu ojca. Torkjell wiedział o tym i grał znakomicie.

- Powiedz, teściu, co ci leży na sercu. Z uwagą wysłucham twoich słów. Mówił teraz cicho, skulił się na swoim miejscu. To dodało odwagi gospodarzowi, podniósł nawet głos.

- Krążą plotki, młody człowieku. Paskudne plotki - moja córka bierze to sobie bardzo do serca. Ludzie gadają o kobiecie! Ty przeklęty ogierze, nie potrafisz trzymać się w cudglach? Ściągasz hańbę na siebie i zarazem na moją córkę!

Torkjell zdołał się opanować i rumieniec nie wypłynął na policzki. Siedział

spokojnie jak przedtem i próbował się bronić.

- To mój teść słucha babskiego gadania? Chłop burczał zirytowany, a potem pochylił się nad stołem, brodata twarz znalazła się blisko twarzy Torkjella. Krzaczaste brwi nastroszyły się groźnie, kiedy gospodarz wyrzucał z siebie gniewne słowa:

- Podobno masz bękarta, chyba mi nie zaprzeczysz? Dziecko mojej córki już teraz jest skazane na walkę, więc niech ci się nie wydaje, że otrzymasz ode mnie pochwałę. Zwłaszcza że, jak słyszę, kolejne jest w drodze... miej się na bacności i nie łżyj przede mną, pamiętaj, że nie pochodzisz ze zbyt wysokiego rodu!

Torkjell uznał, że chłop wie wystarczająco dużo. Pochylił głowę.

- Być może masz powody do gniewu, Jakop. Ja... ja nie zawsze byłem taki... mądry. Ale przecież sam też byłeś młodym mężczyzną, nie tak znowu dawno temu. Z pewnością więc rozumiesz, człowiek nie zawsze potrafi się opanować, by nie spróbować słodczy, które mu się podsuwa.

Gospodarz wybuchnął krótkim, rubasznym śmiechem.

- Powinieneś zadowolić się próbowaniem, Torkjell, a nie wyjadać wszystkiego do końca!

Śmiech dał Torkjellowi nadzieję. Może uda się jakoś załagodzić sprawę? Poufale pochylił się nad stołem, teraz twarze obu mężczyzn znajdowały się tuż naprzeciwko siebie.

- Szanuję twoją córkę bardziej, niż myślisz. Przychodzę tutaj, do twojego dworu, od bardzo dawna, Jakop, a nigdy się do niej za bardzo nie zbliżyłem... z czystym sumieniem będzie mogła włożyć na głowę wianek, kiedy odpowiedni dzień nadejdzie!

- Ten dzień powinien nadejść jak najprędzej, Torkjellu. Wiem, że to dziwne, żeby ojciec dziewczyny naciskał w takich sprawach, mimo to żądam, żebyś zaraz wyznaczył datę ślubu.

- Przecież ja niedługo wyjeżdżam - odparł Torkjell zaskoczony. - Wiesz, że mam jechać do Kopenhagi, może nawet zostanę tam przez dłuższy czas, muszę się podporządkować wezwaniu króla, nawet jeśli rozstanie z Birgit sprawia mi ból...

Teść zdawał sobie sprawę, że te słowa akurat są prawdziwe, chociaż Torkjell wypowiadał je jak zawsze gładko i potoczyście.

- Do świętego Jana zostały jeszcze dwa tygodnie. Chyba nie musisz wyjeżdżać przed jesienią? Zresztą możesz posłać wiadomość, że coś cię zatrzymało, prowadzisz przecież różne sprawy, musisz się zajmować niejednym przedsięwzięciem. Poczekaj

do tingu. Jak tylko skończą się sianokosy, weźmiecie ślub!

- To dziwna pora na wesele - skwitował Torkjell wolno. - Myślałem, że uzgodniliśmy wszystko... że poczekamy z weselem do czasu, kiedy mój dom będzie gotowy.

- Masz wystarczająco dobry dom już teraz. A zamek, o którym opowiadasz, możesz zbudować, kiedy zechcesz.

- To mi zajmie rok, może nawet dwa - mruknął Torkjell, nagle rozgniewany tym zaskakującym uporem przyszłego teścia.

- Musicie się pobrać najszybciej jak to możliwe! Masz skończyć z tym lataniem od dworu do dworu, masz skończyć z zabawami, które ściągają wstyd na ciebie i na twoją przyszłą żonę!

Torkjell wolno kiwał głową. Uśmiechał się.

Teść oparł się znowu na swoim krześle, wzdychając cicho. Był zadowolony. Nie o to przecież chodziło, żeby Birgit uskarżała się na brak konkurentów, młodzi mężczyźni, którzy kręcili się wokół niej, z pewnością obiecaliby natychmiastowy ślub i życie w absolutnej czystości do samego wesela. Ale to zwyczajni chłopscy synowie, solidni, lecz niezbyt zamożni dziedzice ojcowskich gospodarstw, którzy nigdy się nikomu nie przeciwstawiają.

Żaden z nich nie był odpowiedni dla jego córki. Poza tym przecież ona zawsze przychylnym okiem patrzyła na chłopca z sąsiedniego dworu, pamiętała, że bawili się wciąż razem jako dzieci, a to nad strumieniem, a to w lesie, gdzie budowali tajemnicze szałas.

Szczerze mówiąc, to dziwne, że Birgit nigdy nie pozwoliła zbliżyć się do siebie temu chłopakowi. Stary był dumny ze swojej córki. Domyślał się, że Torkjell nie należy chyba do takich, którzy zrezygnują, słysząc cichutkie „nie”.

- Będzie, jak powiedziałem. Wesele przed jesienią, a ty odłożysz swój wyjazd, dopóki wszystko nie zostanie załatwione. Poza tym dasz jej dokument stwierdzający, że połowa twojego majątku należy do niej na zawsze, niezależnie od tego, ile nieślubnych dzieci będzie nosiło twoje nazwisko...

Torkjell przygnębiony kiwał głową. Myślał pospiesznie, bardzo nie lubił, kiedy ktoś inny narzucał mu swoją wolę. Oczywiście chciał dostać Birgit, ale oto teść dosłownie wpycha mu ją w ramiona. Torkjell zaczął się wobec tego zastanawiać, rodził się w nim protest. Jeszcze to żądanie podziału majątku... byłoby w jakimś sensie zrozumiałe, ale przecież za kilka lat Birgit będzie nosić na rękach pierwszego

syna Torkjella z prawego łóża i to powinno być wystarczającym jej zabezpieczeniem. Na całe życie. Co się za tym kryje? Dlaczego ten stary tak się boi, że młodzi połączą się jeszcze przed ślubem? To chyba nie są żadne moralne obiekcje. Teść musiał wiedzieć, że większość młodych par raz czy dwa próbuje przyszłych radości, zanim jeszcze ksiądz pobłogosławi... Tutaj chodzi o coś innego, nie był w stanie uwolnić się od tego podejrzenia.

Ale z powagą skinął głową, bez słowa ujął wyciągniętą rękę przyszłego teścia.

- Gdyby to ode mnie zależało, to i wy oboje odbylibyście ślubną podróż przez fiord za dwa tygodnie, a nie tylko mój chrześniak, Vidar Geirsson - powiedział chłop o krzaczastych brwiach.

Torkjell znowu skinął głową, ale tym razem ledwie dostrzegalnie. Teść podniósł się z miejsca, nie zwracał uwagi na to, że półmiski nadal są pełne, a kufle do piwa puste.

- Mam nadzieję, że ty także wybierasz się na wesele? Razem przecież stawaliście do confirmacji, ty i Vidar.

- Zostałem zaproszony - odparł Torkjell krótko.

- W takim razie będziesz towarzyszył Birgit. Może wtedy ludzie przestaną gadać, a poza tym byłoby dobrze, gdybyś zrozumiał, jak masz się zachowywać!

Torkjell potakiwał. Uważał, że cała ta sytuacja jest bardzo dziwna. Większość młodych mężczyzn musiała przebyć długą drogę i walczyć z upartym lub otwarcie niechętnym teściem, trzeba było długich rozmów i zręcznych gier, zanim rodziny doszły do porozumienia na temat warunków małżeństwa.

Jakop Rui tymczasem formalnie wciska mu swoją córkę!

Torkjell poczuł zimny skurcz w żołądku. Musi tę sprawę wyjaśnić.

Birgit niczego mu nie wyjaśniła, była jednak łagodniejsza w słowach, kiedy stanął na podwórzu, by się z nią pożegnać.

- Twój ojciec uważa, że powinniśmy śpieszyć się ze ślubem - zagadnął Torkjell z roześmianymi oczyma.

Jej urodziwa twarz była spokojna, dziewczyna odpowiedziała mu uśmiechem.

- Chyba ciebie miał na myśli, mówiąc, że trzeba się śpieszyć. Uważa widocznie, że powinnam ci jak najszybciej założyć cugle, żebyś nie latał po okolicy i znowu czegoś nie zbroił...

Torkjell roześmiał się cicho. Birgit nie obawiała się szczerości. Nie była jak inne młode dziewczyny, słodkie jak miód, których słowa wprost ociekają zachwytem.

- Dobrze mnie znasz, Birgit. Wiesz, jak trudno mi żyć... i wciąż za tobą tęsknić, wszystko jest lepsze, niż to... w żadnym razie nie chciałbym się znowu potknąć i okazać ci braku szacunku...

Teraz ona się roześmiała.

- Ty się nieustannie potykasz, mój kochany, dobrze o tym wiesz. A jeśli chodzi o moją cześć, to potrafię strzec jej sama, tak jak to zawsze robiłam.

- Zawsze? Nagle złapał ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy. Nawet nie mrugnęła.

- Zawsze - potwierdziła stanowczo. Chyba to wszystko nie jest za bardzo logiczne, to uparte spojrzenie, pod którym ogarnia go niepokój; dziwne, ale szczerość Birgit i ten jej spokój są jakby zbyt ostentacyjne.

Coś musi się za tym kryć. Coś... co on powinien wyjaśnić.

Słowa wuja sprawiły, że chłód w sercu Torkjella przemienił się w lód. Stary rozumiał więcej niż on sam, zdecydował się więc wyłożyć wujowi całą sprawą. To prawda, że Rikandsruden pije może za dużo. To prawda, że jest złośliwy i podstępny, kiedy się upije. Ma jednak wciąż w oczach jakąś iskrę i wciąż bardzo dobrze zna się na ludziach.

- Wygląda na to, jakby mu się śpieszyło, żeby ją jak najszybciej wydać za mąż. Stary chce trzymać mnie od niej z daleka, a równocześnie pragnąłby nas widzieć w małżeńskim łóżu najszybciej jak to możliwe... nie mogę tego zrozumieć.

Wuj przeciągnął się na kuchennym łóżku, nie był chudy, ale choroba sprawiła, że miał żółtobiałą skórę.

- Czy ona jest bezpłodna? Pytanie zostało zadane po prostu, ale dotknęło Torkjella boleśnie.

- Co? Dlaczego pytasz? Wuj z siorbnięciem pociągnął solidny łyk wódki.

- Nie, nic, tylko kiedyś słyszałem o czymś takim. O pewnym ojcu, który się przestraszył, kiedy przyszły zięć zaczął płodzić dzieci na prawo i na lewo... bał się, że gdyby córka owdowiała, zostanie z pustymi rękami. A ty przecież masz iść na wojnę, niewielu wierzy, że dla wojskowych nadchodzą spokojne czasy..

Torkjell zaczął się nad tym zastanawiać.

Im dłużej spoglądał w stare oczy wuja, tym uważniej roztrząsał jego słowa...

Mogło być tak, jak wuj mówi. Mogło być jeszcze gorzej.

Może stary Jakop już wie, że Birgit nie urodzi mu wnuków. To dobrze pasuje do żądania o zabezpieczeniu jej przed już spłodzonymi dziećmi Torkjella.

Tej nocy Torkjell spał źle, ale podczas tych ciemnych godzin, kiedy przewracał się na łóżku, przyszło mu do głowy, że mimo wszystko musi być ktoś, kto zna odpowiedź na pytania o przyszłość. Dlatego teraz lekkie podkowy stukają po górskiej ścieżce, a wierzchowiec kieruje się w stronę kościoła w Al.

Torkjell był bardzo zdolnym jeźdźcem, a konia też miał najpiękniejszego w okolicy. Wszyscy młodzi mężczyźni długo się oglądali za wspaniałym zwierzęciem, kiedy Torkjell jechał w niedzielę do kościoła. Czerwone wstążki i nabijana srebrem uprzęż mieniły się w słońcu, a sam Torkjell miał na sobie kurtkę z farbowanej na czerwono skóry i starannie tkane, jasne spodnie włożone w błyszczące oficerskie buty.

Wyprostował się w siodle i ściągnął cugle, zbliżając się do zagrody komornika. Droga wiodła obok domostwa, ukrytego w gęstym zagajniku. Zawrócił i pojechał w stronę placu tingowego, na którym zresztą nie było wielu ludzi. Tylko parę bab z wielkimi koszami w rękach, rozchodzących się właśnie każda w swoją stronę. Kiedy się pokazał, pochylili się ku sobie, zauważył, że ich ręce same unoszą się, żeby poprawić mocno zaczesane włosy. Koń parskał dumnie, kiedy pan kazał mu się zatrzymać, ostatnie, co Torkjell zobaczył, to pełne podziwu spojrzenia kobiet. Wiedział, co teraz każda z nich myśli: Żeby tak była o dziesięć lat młodsza i wystarczająco bogata, by podjąć walkę o tego wspaniałego mężczyznę...

Torkjell uśmiechał się do siebie, bardzo lubił to właśnie widzieć w spojrzeniach ludzi. Wiedział wtedy, że pięćdziesiąt talarów wydanych na czerwoną skórzaną kurtkę nie poszło na marne. Pozwolił koniowi iść we własnym tempie przez zagajnik. Dom Plassen wyglądał bardzo ładnie w blasku słońca. Na łące poniżej rosły żółte jaskry i czerwone koniczyny. Pod samym domem mieniły się jakieś niebieskie kwiatki, pewnie dzwoneczki albo coś w tym rodzaju, co lubiło ciepłe miejsce pod drewnianą ścianą.

Wszystko to wyglądało bardzo pięknie, zwłaszcza że stary dom został niedawno wysmołowany i teraz, kiedy słońce zaczynało przygrzewać, lśnił nowością.

Ponad dachem chaty wznosiło się szafirowe letnie niebo.

Na sznurku rozciągniętym między domem a niewielką brzozą wisały białe koszule i spodnie z grubego samodziałowego płótna.

Nigdzie ani śladu człowieka.

Kiedy jednak Torkjell cmoknąwszy kazał koniowi stanąć, w szparze drzwi ukazała się ciemna głowa. To była gospodyni, Anna. Ukrywała się za drzwiami,

witając się z gościem niechętnie. Trudno się temu dziwić, była w ostatnich tygodniach ciąży i widocznie unikała męskich spojrzeń.

- Dzień dobry, pani Anno, witam panią z szacunkiem i w imię Boże. Oczywiście Johanny zwięzły się, kiedy patrzyła na bogatego przybysza, wypowiedziała jednak powitalne formułki, a potem otworzyła drzwi na całą szerokość.

- Masz interes w takiej biednej chacie, Torkjellu Villandzie?

- Chciałbym porozmawiać z twoim mężem. Czy Knut jest w izbie?

- Czy tak zajęty i dostojny pan jak sam adwokat musi pokonywać długą drogę, by porozmawiać z komornikiem? Czy nie mógłby wyprawić swego chłopca na posyłki, malarza?

Torkjell zeskoczył z konia. Ależ ta baba złośliwa! Trochę za bardzo jak na jego gust. Chyba nie należy się wdawać z nią w przekomarzenia, zwłaszcza że słyszał szyderstwo w jej głosie, kiedy nazywała go adwokatem.

- Po prostu mi się spieszy. Jest Knut w domu?

- Nie.

- To powiedz mi, gdzie mógłbym go znaleźć?

- Nie! Nie mogę!

- Nie możesz? Czy ty nie słyszysz, kobieto, że chcę z nim porozmawiać? Nie mogę stracić na to całego dnia!

- Nie mogę ci powiedzieć, ponieważ sama nie wiem - odparła niepotrzebnie tak przeciągle, ze sztuczną łagodnością. - Nie prowadzam go na sznurku. Nie jest też on moim chłopcem na posyłki, Torkjellu Villandzie.

- No i chwała Bogu, chyba nie może być nic gorszego, jak biegać na posyłki u takiej baby - mruknął. Wystarczająco głośno jednak, by Johanna to usłyszała. Potem powiedział: - Ale oczekujesz go chyba z obiadem?

Niechętnie skinęła głową. Wiedziała, że dym z komina pachnie świeżym jedzeniem.

- W takim razie poczekam chwilę. Ale nie przejmuj się mną, możesz wracać do swoich zajęć. Nie zapraszaj mnie też do środka!

W jego uprzejmości wyczuwało się irytację, Johanna nie lubiła, by ją krytykowano za brak gościnności. Ale czego on oczekuje, zjawiając się tak niespodziewanie?

Torkjell Villand przywiązał konia do płotu, potem z wielką pewnością siebie podszedł do dwóch stołków zrobionych z pnia drzewa i ustawionych pod oknami

izby. Usiadł. Zsunął kapelusz na oczy, ręce złożył na kosztownej sprzączce od pasa. Czerwona skórzana kurtka wisiała na płocie niczym chorągiew.

Johanna nie mogła się nadziwić śmiałości tego człowieka. Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że to normalne, że bogaty człowiek zachowuje się swobodnie w zagrodzie innego, jeśli różnica stanu i znaczenia jest tak wielka jak w tym przypadku. Rozgniewało ją to, wiedziała jednak, że zadzieranie z Torkjellem Villandem na pewno by się na niej zemściło. Prawdopodobnie by ją wyśmiał. Może wyszedłby za płot, żeby tam czekać. Ale to nic w porównaniu z ceną, którą prawdopodobnie musieliby zapłacić za jego urażoną dumę. Wierzyła w to, co mówił Ravi. Ten człowiek pociąga za niewidzialne sznurki, które powstrzymują lub puszczają w ruch niezwykle sprawy. Może zresztą to prawda, że jemu zawdzięczają, iż spadek po pastorze dostał się mimo wszystko im? Johanna odczuwała wdzięczność pomieszana z irytacją, że ów obcy człowiek siedzi tu i przeciąga się niczym domowy kot pod jej nasłonecznioną ścianą, zajmując miejsce Ravięgo.

- Poczęstowałyby mnie pani kuflem piwa, pani gospodyni? Zapłacę, ile trzeba...

Johanna zacisnęła pięści, ze złości nie była w stanie się ruszyć.

- Za kogo ty mnie bierzesz, Torkjellu Villandzie? Czy myślisz, że my, obcy, całkiem się nie znamy na dobrych obyczajach? Tam, skąd pochodzimy, jest rzeczą naturalną częstować gości tym, co się ma najlepszego. Zaraz ci przyniosę kubek napoju...

Kiedy zniknęła za drzwiami, Torkjell chrząknął. A gdy wróciła, niosąc napój z kwaśnego mleka, wody i soli, zapytał:

- A skąd wy właściwie pochodzicie? Johanna milczała, przestraszyła się, że powie coś niezgodnego z historią, którą być może opowiedział mu już Ravi. Co za diabeł ją podkusił! Zdała sobie sprawę, że Torkjell tego się właśnie po niej spodziewał, tego, że będzie się zastanawiać, szukając w pośpiechu, co by tu powiedzieć. To go upewni w przekonaniu, że kłamie. Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, a potem roześmiała mu się prosto w twarz.

- Ja jestem córką bogatego człowieka. Mój ojciec ma na imię Bendik, jestem dziedziczką dwóch kutrów, czterech dworów, ośmiu dużych pastwisk, udziałów w czterech innych dworach, dwóch tartakach i młynie oraz posiadam sto osiemdziesiąt włók ziemi należącej do dworu Karlsgard.

Z ulgą przyjęła jego perlisty śmiech; spokojnie obesła narożnik domu, żeby

wrócić do przerwanej prania. Pewnie sobie myślał, że ma do czynienia z pyską babą. Pyską i nie pozbawioną poczucia humoru żoną komornika!

Johanna nie widziała, jak twarz się Torkjellowi kurczy, ani tego, że na jego czole pojawiają się zmarszczki wywołane śmiechem.

Siedział i popijał cierpki napój, zastanawiając się nad słowami, które cisnęła mu w twarz w odpowiedzi na jego zbyt natrętne pytanie.

Johanna zdawała sobie sprawę, że nie mógł się tutaj pojawić w gorszym momencie. Była zła i smutna, udręczona coraz to poważniejszymi kłopotami. Coraz częściej ukrywała się w ramionach Raviego, pragnąc, by cała ta okrutna gra nareszcie się skończyła.

Torkjell Villand śmiał się, ale nie było w jego śmiechu satysfakcji z tego, że przyłapał ją na kłamstwie. Był pewien, że Johanna żartuje. Nie obawiała się więc niczego innego.

Kiedy jednak zanurzyła dłonie w gorącej wodzie, poczuła, że spada na nią cała beznadziejność sytuacji, w jakiej się znalazła.

Nie może tutaj zostać, wśród ludzi, którzy przychodzą, kiedy chcą, do jej domu i mają dla niej wyłącznie złe słowa. Nie może tak stać z tym swoim wielkim brzuchem i mordować się nad praniem ubrań, które Karen przygotowywała dla swoich dzieci. One jednak urodziły się martwe.

Powinna spać pod miękkimi puchowymi kołdrami w jasnej i pięknej sypialni w Karlsgard, mając przy sobie matkę, zawsze gotową udzielić jej serdecznego wsparcia tak potrzebnego teraz, w tym jakby nierzeczywistym okresie przed narodzeniem dziecka.

Tęsknota ogarnęła ją z nieznośną siłą, Johanna czuła, że płynące z oczu łzy pieką jej czerwone ręce.

Torkjell Villand myśli chyba, że posiada tak wielką władzę, iż może się czuć jak u siebie w domu wszędzie, gdzie zechce. Johanna pragnęła, by choć jeden jedyny raz mogła włożyć dawne, piękne, kupowane w mieście ubranie, może nawet jeden z tych kapeluszy, które mama tak lubi kupować, ale które rzadko nosi. Tak ubrana przyjęłaby go w Karlsgard, na tamtejszych imponujących schodach z szarego kamienia, patrzyłaby, jak się kuli i jak pokornie kłania się aż do ziemi...

Zacisnęła zęby, nie wolno poddawać się takim marzeniom.

Ale pewność siebie tego młodego człowieka ciążyła, sprawiała, że serce jej się krajało. Miała dość, dość takiego życia.

Nie została stworzona do komorniczej chaty, do tego wiecznego dygania i pochylenia głowy. Pewnie nikt nie jest do tego stworzony, myślała buntowniczo.

Ravi wrócił dopiero, kiedy słońce zniżyło się już do wzgórz. Znalazł Torkjella siedzącego przy jego własnym stole, długie nogi gość wyciągnął przed siebie i oparł o kuchenną ławę. Johanna właśnie nakładała gościowi jedzenie, jej pochylony kark lśnił od potu, a rękawy od bluzki miała podwinęte, widać było zaczerwienioną i poranioną skórę na rękach. Para unosiła się ze stojącego na piecu kociołka, w małej izbie pachniało starą wełnianą odzieżą.

To, co zobaczył, zirykowało Ravięgo bardziej, niżby sobie życzył. Oto na jego miejscu siedzi ten władczy człowiek. Gładzi rękami oparcie krzesła, jakby sprawdzał pracę stolarza i uznawał ją raczej za zabawną niż imponującą. Na wąskich wargach igrał uśmieszek.

- Nareszcie wróciłeś, Knut? Twoja żonka zaczynała się już niepokoić. Sama napytała sobie biedy, przekonując mnie, bym został i czekał na ciebie. Myśleliśmy, że wrócisz na obiad...

- Zostałem zatrzymany - wyjaśnił Ravi krótko. Zauważył, że Johanna na niego nie patrzy. Jej kroki zdawały się cięższe niż zazwyczaj, a ruchy jakieś bardziej kanciaste. Była zła i próbowała to ukryć. Złości się na niego? Czy może na Torkjella? Czyżby ją zaczepiał?

Knut stanął przy wielkim krześle, podczas gdy Torkjell zasypywał go pochwałami i dowiadywał się, jak stoją jego sprawy.

- Jestem głodny - rzekł Ravi. - Usiądź na krześle dla gości, Torkjell. Mógł to być wyraz szacunku, lecz także arogancja ze strony komornika.

Oczy Torkjella pociemniały na moment, zaraz jednak uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dziękuję za zaproszenie, Knut. Jedzenie pachnie pysznie. Naprawdę uważam, że twoja żona radzi sobie znakomicie także z takimi kobiecymi pracami jak gotowanie!

Knut ściągnął brwi, patrzył na Torkjella poprzez unoszącą się nad stołem parę. Czy on obraził Johannę?

A może żartował z niej właśnie po to, by podkreślić, że na plebanii wykonywała porządną męską robotę? Za tymi słowami musiały się z pewnością kryć plotki na temat niezwykłych umiejętności Johanny oraz na temat książek, jakie odziedziczyła po pastorze, i tego faktu, że jest jedyną kobietą, jaka kiedykolwiek

przemawiała do wiernych w drewnianym kościółku w Al.

- Anna naprawdę się różni od większości innych kobiet - powiedział krótko, a w spojrzeniu, które rzucił Torkjellowi, była wyraźna irytacja.

- Myślę, że pan przyszedł, żeby porozmawiać z tobą, więc ja tymczasem wyjdę się przejść. Zwłaszcza że siedział tutaj cały dzień i mnie zabawiał.

Torkjell uśmiechnął się, widząc zarumienione policzki i wściekle oczy Anny. Nie on jeden nie mógł się jej napatrzeć, kiedy ktoś ją zdenerwował i spowodował, że krew zaczynała szybciej płynąć w jej żyłach. Chętnie by zobaczył jej rozpalone policzki i słyszał ciężki oddech w innych okolicznościach, bo temperament tej kobiety obiecywał prawdziwe uniesienia temu, kto ma dość rozumu, by się do niej zbliżyć.

Powiedział jednak tylko:

- Dziękuję, Anno, że tak życzliwie mnie przyjąłeś. To było naprawdę... odświeżające... móc z tobą rozmawiać. Twój język porusza się z taką szybkością jak język węża.

- I jest równie ostry - dodała Anna, potrząsając głową. Wzięła stojący przy drzwiach koszyk z robótką i rzuciła mężczyźnie w mundurowych spodniach ostatnie słowa na pożegnanie: - Ale w języku węża jest też coś, co czyni go podobnym do twojego - powiedziała i zatrzasnęła drzwi. Oddzieliła tym sposobem swój sztuczny uśmiech od wytrzeszczonych oczu Torkjella.

- To prawdziwa furia. Walkiria, bogini wojny! Muszę ci pogratulować, Knut, szczerze mówiąc, nie domyślałem się nawet, jaką energiczną żonkę sobie znalazłeś. Nigdy chyba nie spotkałem kobiety takiej władczej ani takiej pyskatej! Można by sądzić, że wyrosła w bogatym domu, a nie w biednej chacie.

- Tak, ona umie się wypowiedzieć. Marny jednak to gość, który przygaduje gospodarzowi...

- Przepraszam, Knut, chyba nie zrozumiałeś, co mam na myśli. Bardzo mi się podoba twoja Anna! Jest zarówno inteligentna, jak i zręczna. Oglądałem kilimy na waszych ścianach, jak ona pięknie dobiera kolory... jak na obrazach Trugego. A wzory... kiedyś widziałem taki wzór na starym rzymskim ornamencie. Skąd ona to wzięła?

Ravi zeszytniał. Co powinien odpowiedzieć? Johanna miała przecież takie kilimy w domu w Karlsgard. Odtwarzając te wzory w długie wieczorne godziny, wracała myślami do tamtego życia, rozumiał to już dawno.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Pewnie wymyśliła... moja żona ma bardzo bujną fantazję.

- Może widziała w jakimś kościele? Albo w bogatym domu, z którego przyszłicie? Widocznie jako młoda dziewczyna służyła w dobrych domach?

Ravi patrzył na niego kompletnie zbity z tropu. Uśmiechał się niepewnie, wymachując łyżką.

- Tak! Właśnie tak było. Opowiadała mi o tym, że w młodości, tak, tak...

- Co to był za majątek? Być może znam właściciela? Ravi nie wiedział, gdzie podziąć oczy, znał jednak dość dobrze okolice nad brzegami fiordu, więc pośpiesznie wymyślił odpowiedź:

- U baronostwa. W Rosendal. Torkjell kiwał głową z uznaniem.

- Ach, tak? U baronostwa, powiadasz...? No tak, to muszę powiedzieć, że nie dziwią mnie już jej wyrafinowane zainteresowania ani znajomość akademickich problemów. Ona nawet potrafi się wypowiadać na tematy filozoficzne i zna wiele praw, które ja poznawałem na studiach. U baronostwa, tak... z pewnością spotkała tam ludzi, którzy mogli ją wiele nauczyć.

Ravi patrzył, jak Torkjell się wygłupia, nagle uświadomił sobie, że to wszystko to tylko gra. Poczul się upokorzony, że przyłapano go na kłamstwie, chociaż nie padło ani jedno słowo, które mogło wyjaśnić sytuację lub jakoś ją załagodzić. A jeśli on zacznie wypytywać Johannę o czas spędzony w szlacheckim domu? Wtedy wszystko się wyda.

Torkjell jednak siedział spokojnie, rozpiął pas, by pokazać, jak bardzo jest najedzony i wdzięczny. Ravi odłamał sobie jeszcze kawałek żytniego podpłomyka i zuł na wpół zmielone ziarna.

- Z czym do mnie przychodzisz, Torkjellu? Dlaczego nie przysłałeś po mnie jak zawsze?

Torkjell wyjął z kieszeni krótki, brązowy rulonik. Rozległ się lekki chrzęst, kiedy ugniatał go palcami. Potem wsunął ten brązowy patyk, czy co to było, między wargi, poślinił go gruntownie.

- To cygaro - wyjaśnił, widząc zdumioną gębę Ravięgo. - Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałeś? To tytoń, ale nie trzeba fajki, żeby go palić. Smakuje też lepiej. Dlatego jest bardzo drogi.

Oparł się znowu na krześle, stopy położył na miejscu, na którym zwykle siadywała Johanna. Mebel zatrzeszczał. Torkjell był cięższy, niż to się na pierwszy rzut oka wydawało. Ostatnio jego młodzieńcze ciało stało się też jakby bardziej krępe,

pomyślał Ravi. Niczym u tuczonego na ubój cielaka, i równie szybko.

Torkjell długo grzebał w kieszeniach, sprawiał wrażenie zamyślnego, brązowe cygaro chwiało się przytrzymywane białymi zębami.

- Miałem to gdzieś tutaj... czyżbym zapomniał, o... - Twarz mu się rozjaśniła. - Tutaj! Proszę bardzo, Knut, i nie zmuszaj mnie, bym nalegał po tym, gdy zaprosiłeś mnie do swojego stołu na znakomity posiłek.

To była gruba przesada, takie jedzenie z pewnością nie pojawia się na nakrytym białym adamaszkowym obrusem stole Torkjella.

Ravi przyjął cygaro.

Pamiętał innego mężczyznę, z innego czasu, z całkiem innego miejsca.

Ogień płonął pod ciemnym niebem i zmarznięci obcy ludzie zaczęli się rozgrzewać. Jakies kobiety śmiały się głośno, pokazując równe rzędy białych zębów. Mężczyźni nosili szerokie pasy, niektóre były haftowane lśniąca włóczką i nabijane maleńkimi, kolorowymi gwoździkami. Dzieci się nie pokazywały, chyba poszły już spać, a może bawiły się nad rzeką, jak to dzieci lubią.

To jego ojciec przyjmował wtedy cygaro i Ravi wciąż pamiętał ów widok, który wrył mu się głęboko w mózg. Ogień, ogień, coś więcej niż ognisko, więcej niż żar na końcu tego dziwnego przedmiotu, który podano ojcu i który zapalono.

Nie miał wtedy zbyt wiele lat, właściwie to nie pamiętał niczego sprzed tamtych wydarzeń. Widział jednak małego, czarnowłosego mężczyznę, który ofiarował im miejsce przy swoim ognisku. Pamiętał też kobietę w krzykliwie zielonym stroju, która później, o wiele później, tańczyła boso wokół ogniska...

Ostrze noża drgało dwukrotnie, po raz pierwszy we śnie, a potem przy ognisku. Później zasnęli w jakiejś wilgotnej górskiej grocie. Lato było długie i deszczowe... Ravi zapamiętał głód ściskający kiszkę i wieczne mamrotanie ojca: „To cholerna cena za jeden zwitek tytoniu... cholerna cena, ale on mi za to zapłaci!”

Przypominał sobie też wiórek, który ojciec wsunął do zwitka tytoniu, ten mężczyzna przy ognisku go tego nauczył. Takie właśnie nieważne drobiazgi często zapadały w pamięć i zajmowały miejsce tego wszystkiego, co chciał sobie przypomnieć, a nie mógł.

Teraz czuł w dłoni dziwny ciężar zwiniętych tytoniowych liści.

Torkjell siedział i na coś czekał. Cygaro zwisało z jego warg. Tytoń zrobił się zupełnie mokry od śliny.

Ravi wziął spod pieca suche polano i oderwał zębami długą drzazgę. Bez

słowa wyjaśnienia wsunął tę drzazgę w koniec cygara, a następnie oblizał je tak, jak to zrobił Torkjell. Potem wyjął z paleniska rozżarzony węgiel i podał ognia swemu bogatemu gościowi.

Szarobiały dym wpadł widocznie nie tam gdzie trzeba, bo Torkjell zaniósł się kaszlem. Ravi uśmiechał się spokojnie.

- Wyjątkowe, prawda? - zapytał Torkjell, kiedy kaszel nareszcie ustał.

- Pyszne - potwierdził Ravi, odgryzł koniec cygara, a potem włożył je między wargi. Widział zdumienie Torkjella, rozkoszował się świadomością, że kosztowne nawyki bogatego gościa nie zmusiły go, by otworzył usta ze zdziwienia.

- Ty pewnie także służyłeś u baronostwa, co? Nauczyłeś się tam różnych chwytów...?

Ravi nie odpowiedział.

- No to wykładaj swoją sprawę, Torkjell. Tamten znowu zaczął grzebać po kieszeniach, po chwili wyjął płaską buteleczkę wykonaną z lśniącego metalu, może ze srebra. Ravi nie potrafił się jakoś przyzwyczaić do obcego smaku drogiego trunku, ale koniak rozgrzewał prawie tak samo jak ordynarny samogon z baniek Trugego. Francuski napitek też był dobry, choć nie tak mocny. Dziwne, że ktoś taki bogaty jak Torkjell nie kupi sobie czegoś lepszego, myślał Ravi.

- Przyszedłem, żeby porozmawiać z tobą o prywatnej sprawie, Knut. Muszę ci powiedzieć, że krępuje mnie wywlekanie takich rzeczy, nie lubię, żeby ktoś wtykał nos w moje problemy...

Ravi trzymał cygaro zębami, mlaskał cichutko, ale nie zaciągał się mocno. Już zdążył zrozumieć, że nie należy wciągać dymu zbyt głęboko, bo można się zakrztusić.

Torkjell jednak nie uważał i z oczu pociekły mu łzy.

- Jak wiesz, jestem zaręczony z Birgit Jakopsdatter z Hovet. Znam ją bardzo dobrze, jako dzieci bawiliśmy się razem na sianie.

Ravi siedział z poważną miną i kołysał się w swoim krześle.

- No i teraz ma się na wesele. Może nawet już w lecie... jeśli zdążymy wszystko zorganizować. Jest jednak coś, co mnie niepokoi, pewna myśl nie opuszcza mnie w ostatnim czasie... nie pytaj mnie dlaczego, Knut, nie pytaj, co wzbudziło we mnie wątpliwości. Rzecz polega jednak na tym... - Pochylił się poufale do Ravięgo. - Mam wrażenie, że być może Birgit ma jakąś... wadę. Ze ona coś przede mną ukrywa... coś w związku z jej płodnością.

Ravi uniósł leciutko tylko jedną brew.

- Zależy ci na niej? - zapytał cicho i zacisnął wargi wokół cygara.

Torkjell spojrział na niego gniewnie.

- Ty się tym nie zajmuj, Knut. Nie pytaj o zbyt wiele. Płacę ci za to, byś odpowiadał, a nie za to, byś pytał!

- O co w takim razie chcesz mnie zapytać? - rzekł Ravi spokojnie i odłożył cygaro na stole tak, że rozżarzony koniec znalazł się poza jego krawędzią.

Torkjell również odłożył swoje cygaro. Wbił w Ravięgo surowe spojrzenie.

- Zdarza się, że mówisz o rzeczach, które się jeszcze nie wydarzyły, Knut. Ravi siedział bez ruchu i wciąż się w niego wpatrywał. Torkjell poczerwieniał na twarzy.

- Ty przepowiadasz, Knut. Mówisz o krowach, które mają się cielić, i o mężczyznach, którzy przegrają w karty albo popadną w chorobę. Wiesz to wszystko, zanim nadejdzie właściwy dzień... prawda?

- Wiem to, co wiem - rzekł Ravi gniewnie. Rozglądał się po izbie rozbieganym wzrokiem. Pragnął, by Johanna wróciła jak najprędzej, ona jednak prawdopodobnie poszła gdzieś dalek po tym dniu spędzonym w towarzystwie Torkjella.

- Powiedz mi w takim razie, Knut, tylko to jedno: czy będę miał synów z Birgit? Czy też jest ona, jak w moich najgorszych przypuszczeniach, bezpłodna i martwa?

Ravi znowu zaczął się kołysać na krześle. Pytanie Torkjella było takie bezpośrednie. Wiedział, że przyszłość tego bogatego człowieka znalazła się w rękach komornika. Dziwnie się czuł, mając pewność, że wesele, które z pewnością byłoby największe i najważniejsze w tej wsi od wielu pokoleń, także zależy od niego. Próbował wyobrazić sobie Birgit, kiedyś widział ją przez krótką chwilę, siedziała na saniach otulona owczymi skórami.

Pamiętał tylko jej roziskrzone oczy, śmiała się i trzymała kurczowo sań, prawdopodobnie szybka jazda przepełniała ją lękiem. Ona go nie widziała, chyba w ogóle nie widziała mijanych ludzi, mknęła do kościoła w towarzystwie siostry i szwagra.

Ravi stwierdził, że na czole Torkjella perli się pot. Bawił się cygarem, które chyba zgasło, skrobał paznokciem mokry tytoń.

Rozśmieszyło to Ravięgo. Sprawilo, że odzyskał humor, poczuł się jak woźnica mocno trzymający w rękach lejce. Powiedział szeptem do swego gościa:

- Czy masz coś, co jest własnością Birgit? Jakaś chusteczkę albo kosmyk

włosów? Może coś, co ona dla ciebie zrobiła? A najlepiej ze wszystkiego, gdybyś miał monetę, która należała do niej.

Torkjell potrząsał głową, spoglądał rozczarowany, a równocześnie zdawał się wątpić, czy dobrze zrobił, przychodząc tutaj.

- Widzisz, to jest tak, że jeśli mam w ręce coś, co należało do jakiegoś człowieka, to łatwiej mi zobaczyć przyszłość. A pieniądze ludzie najchętniej noszą blisko serca.

Słyszał kiedyś o czymś takim, pewna kobieta na targu mówiła o niebezpiecznych wrózkach, umiejących wyjaśnić nawet najtrudniejsze sprawy tylko dzięki temu, że biorą do ręki monetę, którą konkretny człowiek nosił w kieszeni. Monetę oczywiście potem zachowują dla siebie. Najbardziej są zadowolone, jeśli mogą dostać dwie, jak to się dzieje, kiedy wróżba jest szczególnie interesująca.

Torkjell zmrużył oczy, najwyraźniej uważał, że Ravi wygaduje głupstwa.

Przyzwyczajony do przyglądania się twarzom innych ludzi i czytania treści ukrytej w słowach, mógł uznać, że oto ten ubogi człowiek siedzi tu i szydzi z niego. Ravi domyślał się jednak także, że Torkjell boi się, ponieważ jego wyznanie mogłoby go ośmieszyć.

Ravi przymknął oczy. Zobaczył sanie, ubraną w skóry młodą kobietę. Konia. Przez moment mignęła mu twarz żony woźnicy.

Otworzył oczy długo potem, gdy w jego wyobraźni pojawiły się już inne obrazy.

- Birgit urodzi dzieci - rzeki krótko. - Nic więcej nie wiem. Ale dzieci będzie miała.

Torkjell siedział bez ruchu i nie spuszczał wzroku z Ravięgo.

- Wiesz na pewno? Ravi skinął ciężko głową.

- Jeśli w ogóle ktokolwiek wie takie rzeczy. Ale przecież ty przyszedłeś do mnie, bo wierzyłeś, że mogę wiedzieć, prawda?

Torkjell poczuł dziwną ulgę, mimo że gdzieś w głębi duszy narastał protest. W gruncie rzeczy to, co powiedział Ravi, stanowiło pociechę. Wprost nie mógł uwierzyć w tę prostą prawdę.

Birgit urodzi dzieci, powiedział Ravi.

Ona sama zresztą nigdy niczego innego nie dawała do zrozumienia.

Pochodziła z dobrego rodu, w którym kobiety miały rozłożyste biodra.

Wszystko wskazywało na to, że niepokój, który wzbudził w nim teść, był

czystym nieporozumieniem. Poza tym naprawdę żadna kobieta w tej dolinie nie może się mierzyć z Birgit, jeśli chodzi o urodę, rozum czy posag.

- Wesele będzie we wrześniu - oznajmił Torkjell, wstając. Wyciągnął do Ravię rękę, a potem długo nią potrząsał. Ich oczy spotkały się ponad splecionymi dłońmi. - Ufam ci, Knut.

Chyba oczekiwał podobnych słów w odpowiedzi. Ravi rzekł:

- Kiepski to koń, który zjadłszy owies nie pozwala panu założyć sobie siodła. Torkjell zmarszczył brwi, zaraz jednak wybuchnął głośnym śmiechem.

- Słowo daję, będziesz jednym z moich družbów, Knut! Jak ty już co powiesz, to naprawdę! Pomyśl o tym i zasiądź przy moim weselnym stole! Zabierz też swoją dobrą żonę, ona, podobnie jak ty, jest rzadkim kwiatem w ogrodzie Pana!

To prawda, pomyślał Ravi, kiedy tamten odwiązał konia i wsiadł elegancko na siodło, potem wspaniałe zwierzę przeskoczyło przez płot, a jeździec w biegu chwycił czerwoną kurtkę, która wisiała przy furtce.

Daleko na wzgórzu Ravi zobaczył niebieską suknię Johanny.

Z ulgą uniół rękę, na pożegnanie i na powitanie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Handlarz obłapiał Ravię w niedźwiedzim uścisku, prawie podnosił go z ziemi. Był dobrze podpity i bełkotał, a na policzkach miał coraz większe czerwone plamy. Rzadkie włosy sterczały na wszystkie strony, rozpiął pas, więc spodnie opadały, ukazując białą skórę.

- Jakie szczęście, jakie szczęście, muszę powiedzieć, niech mnie... ale się wybiłeś, Knucie - nędzarzu! Nie minął rok od czasu, kiedy wystraszeni przeprawialiście się przez góry razem ze mną... nigdy bym nie pomyślał, że tak się to skończy!

Skrobał brudnymi paznokciami nową kamizelkę Ravię. Nie była wprawdzie specjalnie elegancka ani ozdobiona, ale uszyto ją z ciemnoczerwonego kupnego materiału w ładny wzorek. Johanna odpruła ołowiane guziki od starej, zniszczonej kurtki Ravię, wyczyściła je pięknie i przyszyła do nowego ubrania. Teraz Ravi ciął starą wełnianą kurtkę na szmaty.

- Tak, rzeczywiście wam się udało! Anna chyba nie zapomniała, kto załatwił jej służbę na samej plebanii!

Mlaskał i cmokał tuż przy uchu Ravię, niósł się od niego zastarzały odór

wódki. Knut nie odpowiedział, stał wciąż uśmiechnięty.

- Handlarz musi pójść ze mną do domu, Anna z pewnością chciałaby się z wami przywitać. Chociaż ona jest trochę... nie bardzo się nadaje do przyjmowania gości. Jej czas się zbliża.

Handlarz zdawał się rozgryzać jego słowa, w końcu zrozumiał.

- Ach, tak? No, no, nie przypuszczałem! Musi być teraz okrągła niczym beczka, wyobrażam sobie! Właśnie, tak, tak, nie domyślałem się...

W głębi duszy Ravi miał nadzieję, że handlarz zostawi tutaj swoich towarzyszy podróży, nie było jednak obawy, że się z nimi wybiorą, chrapali już na zboczu z bańkami wódki i workami podróżnymi ułożonymi blisko siebie. Pozwolono im spać w oborze, w zagrodzie Hildeplass, ale ponieważ lato było ciepłe, woleli skorzystać z bożej gospody pod gołym niebem.

Handlarz z trudem nadązał za Ravim, który mocno wyciągał nogi. Słyszał za sobą ciężkie sapanie.

- Zaczekaj, zaczekaj no, Knut. Miej litość dla starego człowieka... bo naprawdę tu zostanę, chociaż jestem przyzwyczajony do chodzenia po górach.

Ravi nie zwolnił kroku, nie odpowiadał też na narzekania tamtego.

Dotarł do domu odpowiednio wcześniej, by przygotować Johannę na wizytę.

Zdumiony stwierdził, że bardzo ją ucieszyła ta wiadomość.

- Więc on w końcu tu przyjdzie? Och, mój Boże, prawie jestem nieubrana... i jedzenia też jest w domu niewiele!

- Kaszę przecież mamy - rzekł Ravi krótko, musiał zaraz wyjść, żeby sprowadzić gościa.

- Przyjemny... naprawdę przyjemny mały domek - gadał przybyły, dzieląc słowa na sylaby. Ponad ramieniem Ravięgo napotkał spojrzenie Johanny.

- I gospodyni... jaka śliczna mała gospodyni, wciąż to widać. Ale skąd wzięłaś te ciemne włosy? Knut, czyś ty zmienił żonę?

Johanna wyszła mu na spotkanie, ujęła wielką dłoń, która drżała w jej uścisku. Z daleka cuchnęło wódką. Handlarz był kompletnie pijany.

- Nie, to przecież ta sama, która szła przez góry po twoich śladach, handlarzu. Ta sama... biedna dziewczyna.

- Ho, ho! Nie żartuj sobie, Anno. Wiesz przecież, że słowa przenoszą się szybciej niż najlepszy kupiec. Słyszałem o tobie, pogłoski dotarły aż do Branes, bo prokurator Whitt nie należy do ludzi, którzy przemilczają swoje sukcesy. Opowiedział

mi wszystko o tej sprawie, o tym, że chciwi spadkobiercy pastora zzielenieli ze złości. Niczego więc przede mną nie udawaj.

Mrugął ciężkimi powiekami i bekał raz po raz, stał w drzwiach i rozglądał się dookoła. Wielkim, szaroczerwonym językiem oblizywał wargi.

- Srebrne lichtarze, coś takiego... i obrus na stole, kilimy na ścianach... jak w jakiejś pańskiej izbie!

Johanna spostrzegła, że przygląda się niskiej komodzie, podszedł do mebla i przesuwał dłonie po jego pięknych krawędziach i ornamentach.

- Wspaniałe... naprawdę piękne. Wprost słyszeli, jak talary przesypują się w jego głowie. Oglądał biały obrus, który niegdyś leżał na stole w salonie pastorostwa. Pięknie haftowany po brzegach i na środku. W każdym rogu wyszyto słowo z Biblii oraz różne inne obrazki. Było to naprawdę małe dzieło sztuki rzemieślniczej. Johanna powiedziała:

- Handlarz przynosi pewnie nowiny z zachodu? Czekałam na was, czekałam bardziej, niż mogliście się spodziewać.

Ravi potrząsnął lekko głową, nie mógł zrozumieć owej szczerzej radości malującej się na twarzy żony.

- Coś ty, naprawdę? Nie, nie chodziłem na tamtą stronę gór od ubiegłej jesieni. Ale teraz się tam wybieram, mam pszenną mąkę i cukier, pieprz i mnóstwo innych wspaniałych rzeczy. Lekarstwa! Fantastyczne nowe maści! Zdobyłem nawet dwie Biblie, które każdy może czytać. Mam też tuzin ślicznych małych pojemniczków na tytoń czy może na kandyzowane owoce. A może pani by sobie coś wybrała?

Zachwalał te swoje dobra, potrząsając głową, ale Johanna uśmiechnęła się tylko i wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc, to chciałam ubić z wami interes - powiedziała wolno. Kupiec pochylił się do niej z zainteresowaniem. - Może jednak najpierw coś zjemy. Usiądźcie sobie obaj na razie pod słoneczną ścianą, a ja pobiegnę do sąsiadki zapytać, czy nie ma świeżych jajek i trochę chleba.

- Gotuj kaszę - rzekł Ravi krótko. - Jestem głodny, Anno! Uśmiech na twarzy młodej kobiety zgasł, popatrzyła na Knuta, a potem na gościa.

- Dobrze... tak, tak zrobię. A potem pójdę do sąsiadów po jajka i usmażę racuszki na kolację!

Handlarz chrząkał zadowolony.

- Pewnie znajdzie się też jakiś kieliszeczek dla nas dwóch - chichotał,

wychodząc na dwór.

Nie przejmowała się kaszą w garnku, pozwoliła, by opadła na dno, nie zamieszała ani razu, dopóki dym z przypalonych krupów i cierpki swąd mleka nie wypełniły izby.

Siedziała z błyszczącym przedmiotem w ręce, było to pióro oprawione w srebro, a myśli, które unosiły się jak na skrzydłach, przelewała na stary, zniszczony papier.

Marno. - Tato... jestem z Wami, przez cały czas z Wami byłam. Nie ma godziny, żebym nie przesyłała do Was myśli ponad górami, a moje nogi chcą biec w ślad za nimi.

Ale jestem taka zmęczona, Mamo, moje kroki są ciężkie...

Gdybyś mnie teraz zobaczyła, to byś zrozumiała. Zostało jeszcze tylko parę tygodni do urodzenia Twojego wnuka. Twojego i Taty.

A czyjego jeszcze?

Nie, tego nie wiem.

Żyję w wielkim niepokoju, Mamo, wkrótce jednak to się skończy. Tysiące razy stawiałam sobie to pytanie, tysiące razy błagałam o odpowiedź. Nikt jednak nie potrafi mi nic powiedzieć, nikt oprócz Raviego. A on mówi, że syn jest jego. Chcę mu wierzyć, ale tęsknię za chwilą, kiedy będę mogła to zobaczyć na własne oczy.

Mamo, żebyś Ty mogła teraz być ze mną! Twoja nieszczęsna córka przyczyniła Ci jedynie bólu i ściągnęła na Ciebie wstyd, wiem o tym, wierzę jednak, że mi wybaczysz. Mamo, czy na Boże Narodzenie zasadziłaś róże na tamtym grobie w Lyster? Wiem, że babcia sobie tego życzyła, znam tę tajemnicę. Kocham go, Mamo, nie miałam chyba wyboru, kiedy Erlend wykrwawił się na śmierć po moim nożu.

Ale Ravi jest przy mnie i nie żałuję niczego. Chociaż coraz częściej marzę i pragnęłabym, aby wszystko było inaczej, bym mogła wrócić do domu...

Wybacz mi, Mamo, bo wiem, że mój grzech jest wielki. Zrobiłam źle, uczyniłam to może nie tylko jeden raz. Ty nie wiesz, jak ja żyłam, byłam głupia i młoda, nie potrafiłam się przeciwstawić złu. Nie umiałam opowiedzieć ci, jaką złą żoną byłam dla Erlenda. On jednak też nie był dobry, w końcu nie byłam w stanie znieść jego obecności. Nie mogłam znieść nikogo oprócz Raviego. To wielki grzech, to również, może nawet większy. Ale największym moim grzechem, Mamo, jest to, że nie byłam dostatecznie dorosła, by szukać pomocy u Ciebie.

A teraz muszę uciekać, Mamo, ale nie odeszłam zbyt daleko. Otrzymałam zupełnie nowe życie, może niezasłużenie. Żyję tutaj, tylko kawałek drogi przez góry od was, i nazywam siebie Anną Plassen. Ravi nosi teraz dla ludzi imię Knut, tylko dla mnie wciąż jest Ravim. Mamy dom, ja służyłam na probostwie. Zabrałoby zbyt wiele czasu opowiadanie Ci wszystkiego, co się ze mną działo w ciągu ostatnich miesięcy, poprzestanę więc tylko na zapewnieniu, że niczego nam nie brakuje i że cieszymy się dobrym zdrowiem.

W końcu jednak muszę odrzucić całą dumę, Mamo, i wyznać Ci, że oddałabym duszę za to, by choć przez krótką chwilę być z Tobą i z Tata. Tylko myśl o spotkaniu z Wami pozwala mi żyć, choć wiem, że byłoby to niebezpieczne dla nas wszystkich. Mimo wszystko jednak proszę Was, przyjedźcie!

Ukrywajcie się, nie podróżujcie w dzień, nie pytajcie o mnie nigdzie po drodze. Po prostu przyjedźcie, wieczorem, kiedy letnia noc kładzie się miękko nad dolinami. Nie zabierajcie ze sobą niczego, jak powiedziałam, niczego nam nie brakuje. Ale przyjedźcie.

Ten list dostaniecie pewnie w połowie czerwca, jeśli więc wyruszycie niezwłocznie, to może otrzymam Wasze błogosławieństwo, zanim dziecko się urodzi.

Mieszkamy w starym domu z pomalowanymi na niebiesko okiennicami, niedaleko kościoła, w pobliżu wielkiego świerkowego lasu, obejście jest ogrodzone nowym płotem. Kwitnące groszki będą pewnie wtedy sięgały już mojego okna.

Pisała wolno, zastanawiając się nad każdym słowem.

Kiedy skończyła, zwinęła papier, zapakowała go najpierw w szmatkę, a potem w nasączoną olejem cienką skórę. Wszystko włożyła do starego woreczka z wyhaftowanym znakiem rodziny i zawiązała mocno na sznurek. Powinna była mieć pieczęć, powinna użyć wosku. Zapaliła więc białą świecę, wylała parę kropel ciepłej masy na wiązanie.

Na handlarzu nie bardzo polegała. Był zbyt chciwy, chciał wiedzieć zbyt dużo. Pamiętała jego przenikliwe oczka, pamiętała, jak ją wypytywał, co się stało, chociaż spotkali się dopiero co.

Ale nie mógłby przekazać listu, gdyby pieczęć została złamana. Johanna odcisnęła w wosku swój pierścień. Dostała go od Karen, na srebrnej płytce znajdował się krzyż i otoczone promieniami słońce.

Kasza nie była smaczna.

- Powiadają, że jeśli kasza się przypali, to gospodyni była zła. Ravi roześmiał

się.

- Myślę, że tutejsza gospodyni zna inne sposoby dla okazywania gniewu.

Prawda, Anno?

- Może obaj macie rację - prychnęła, zmuszając się do przełknięcia jeszcze jednej łyżki jasnobrązowej masy.

Handlarz zabawiał ich opowiadaniem historii, przedstawiał jakieś krótkie wydarzenia z całkiem innego życia. Bywał przecież wśród najbogatszych, umiał opisać, jak wyglądają izby i salony oraz budynki, które Johanna widywała jedynie na rysunkach w książkach.

- To musi być fantastyczne, mieszkać w mieście - westchnęła. - Pamiętasz, Knut, jak marzyliśmy o Christianii?

Skinął głową, nie przerywając jedzenia. Apetyt najwyraźniej mu dopisywał. Żuł suszone mięso, przygotowane w tym roku, więc jeszcze bardzo soczyste.

- Następnego lata musicie się ze mną wybrać na wędrowkę! Może pojedziemy razem na doroczny jarmark w Branes, może nawet moglibyśmy pójść na zabawę! Powinnaś tam zatańczyć, Anno, w tych wspaniałych strojach, o których ludzie gadają.

W sukniach Karen nie powinno się tańczyć, pomyślała Johanna ze smutkiem. Myślę, że Karen by się to nie podobało. Uśmiechnęła się jednak i głośno powiedziała:

- To miło z twojej strony, że o nas myślisz, handlarzu. Wsunął palce pod szelki i przyglądał się jej zmrużonymi oczyma.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Wyświadczyliśmy sobie nawzajem różne przysługi. Myślę, że to jedyna dobra podstawa dla przyjaźni.

Johanna nie zgadzała się z nim, ale skinęła głową. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, masz rację. Wierność i świadczenie sobie usług oraz wzajemna pomoc są fundamentem przyjaźni.

Potem wstała i przeszła na drugi koniec izby. Czasami, gdy siedziała lub leżała zbyt długo, dostawała zawrotów głowy. Z szafy w rogu wyjęła zawiniątko i położyła na stole przed handlarzem.

- Chciałabym, żebyś to ze sobą zabrał. Musisz to oddać w Meisterplassen, nad fiordem Sogndal. Wiesz, gdzie to jest?

- Zagroda kata - szepnął handlarz. Skinęła głową.

- Masz tam przyjaciół? Znowu potwierdziła skinieniem.

- Masz to oddać jedynie Amelii lub Bendikowi. Nikomu innemu, powiadam,

nikomu! Żadnemu słudze, żadnemu właścicielowi łodzi, gdybyś się nawet sam bardzo śpieszył! To strasznie ważne, żebyś nikomu o tym nie opowiadał ani też nikomu innemu nie oddał przesyłki.

Wpatrywał się w nią, potem przymknął oczy. - Ach... jakieś niebezpieczne rzeczy, co? Niebezpieczne zadanie może również dla tego, kto to przyniesie? Johanna zrozumiała, o co mu chodzi.

- Dostaniesz sowitą zapłatę, handlarzu. Dziesięć talarów teraz i tyle samo, kiedy wrócisz, a ja przekonam się, że wypełniłeś zadanie.

Uśmiechnął się.

- Domyślam się, że to nie jest sprawa, którą powierzyłabyś byle komu. Że jestem jedynym, na którym możesz~. polegać. Powiedzmy więc, piętnaście talarów, gospodyni? To ci jeszcze przywiozę beczkę solonych dorszy, kiedy wrócę tutaj jesienią.

Odparła chłodno:

- Dwanaście talarów, człowieku. A ryby możesz zjeść sam.

- Powinnaś być mężczyzną, droga pani gospodyni. Handlarzem! - szepnął z uznaniem i podniósł kubek z wodą, jakby chciał do niej przepić. Lśniące oczka stały się teraz przenikliwe, widocznie wódka nie bardzo na niego podziałała. Ravi siedział jakby zawstydzony, wpatrując się w blat stołu.

- Kiedy zamierzasz wyruszyć? - zapytała Johanna.

- Ech, za parę dni chyba... może trzy, cztery, kiedy załatwię już swoje sprawy.

- Musisz ruszać natychmiast. Jeśli z tego powodu poniesiesz jakieś straty, pogadamy o tym później. To jest bardzo pilna wiadomość, chyba rozumiesz!

Handlarz skrzywił nos. Po chwili jednak uśmiechnął się i powiedział:

- Przekażę wszystko przed świętym Janem!

- Nie zgadzam się - odparła Johanna. - W ciągu siedmiu dni muszą moi... muszą ludzie z Meisterplassen dostać mój list.

- W takim razie dwadzieścia talarów - oświadczył mężczyzna w szelkach.

Johanna wyszła, a po chwili wróciła i rzuciła pieniądze na stół. Zagarnął je pośpiesznie i piękny woreczek z woskową pieczęcią wsunął sobie pod koszulę.

Johanna poczuła mdłości, zmusiła się jednak do wyciągnięcia ręki. On ujął jej dłoń, nie przestając się uśmiechać.

- Przyjemnie jest robić z wami interesy, przyjaciele. Jutro wstąpię do was, dostaniecie ode mnie coś w zamian!

- To chyba niepotrzebne - powiedział Ravi. Policzki kupca drżały, kiedy odparł stanowczo:

- Ale mały podarek dla gospodyni przyjmiesz, chyba nie odmówisz mi, Knucie Plassen! Taki śliczny kwiatusek, mam coś akurat dla niej... z Christianii, trzeba wam wiedzieć...

I rzeczywiście następnego dnia ukazał się na ścieżce, wymachując czymś w powietrzu. Było to pióro tak wielkie i tak krwście czerwone, że Johanna początkowo myślała, iż to gałązka jakiegoś drzewa, któremu pomyliły się pory roku.

Wsunął jej pióro we włosy, które tego dnia miała upięte w koronę.

- Wspaniale - powiedział, posyłając jej w powietrzu zaśliniony pocałunek. - Wspaniałe pióro, jak ten szlachcic, od którego je kupiłem.

Gdy tylko sobie poszedł, Johanna natychmiast wyjęła pióro, instynktownie przeczuwała, że takiej ozdoby żadna szlachcianka nie wpięłaby sobie we włosy.

Poczuła jakiś bolesny skurcz w żołądku, on jednak na pewno nie wiedział, że ją uraził. Nagle zapragnęła, żeby tamten list nie został wysłany, opanowała się jednak szybko i uśmiechnęła z ulgą.

Za parę tygodni będą tutaj.

Za parę tygodni... wiedziała, że nie zawahają się ani chwili, że wyczują bezradność i tęsknotę w słowach, które napisała. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby natychmiast się przy niej znaleźć, byłiby tutaj w tej samej sekundzie, w której list zostanie otworzony.

W poczuciu bezpieczeństwa zaczęła zbierać małe ubranka, które wywiesiła do suszenia w łagodnym czerwcowym wietrze.

Wydawały się wciąż sztywne pod palcami, ale gdy je porządnie wymagluje, staną się miękkie i przyjemne. Złoży je w komodzie Karen, w której od początku miały leżeć. Śmierć pięcioraczków nie wzbudzała w niej niepokoju. Jej własne dziecko jest przecież innego rodzaju. Nie odczuwała lęku, bo w jakiś dziwny sposób przeczuwała, że los nie uderza dwa razy tak blisko.

Ubranka były szare i białe, niektóre ozdobione kolorowymi szlaczkami.

Będzie leżał niczym mały książkę, pomyślała i uśmiechnęła się, kiedy, jakby w odpowiedzi, dostała potężnego szturchańca pod samo serce.

Ujęła dłoń Ravigo i przyłożyła ją do boku sterczącego brzucha.

Uśmiechnął się niepewnie.

- Aż trudno w to uwierzyć - powiedział cicho. Johanna zachichotała.

- Musisz wiedzieć, że to nie pierwsze dziecko, które ma się urodzić na tym świecie!

- Moje pierwsze - odparł odrobinę zażenowany. Pocałowała go, chciała zapomnieć o wszystkim innym, chciała opakować ich wszystkich troje w płatki róż i zostać tak aż do chwili, gdy rodzice zapukają do drzwi.

- Handlarz się chyba pośpieszy, jak myślisz? Ravi prychnął.

- Za dwadzieścia talarów powinien przypiąć sobie skrzydła i lecieć - rzekł cierpko.

Johanna weszła do izby, Ravi szedł tuż za nią.

- Może zrobimy sobie mały spacer na dół, nad brzeg? - zaproponowała. - Rzeka tak pięknie śpiewa wieczorami.

Pochylił kark, ale odparł:

- Oczywiście. Możemy się przejść.

- Cóż za lenistwo - uśmiechała się Johanna, leżąc na boku w trawie gęsto przetykanej kwitnącą koniczyną. Nad jej głową świergotały jakieś ptaki, skacząc z gałęzi na gałąź na swoich bardzo jeszcze niesprawnych skrzydełkach. Ostatnie promienie słońca przeświecały przez koronę drzewa i tworzyły dziwne wzory na twarzy Johanny. Szum rzeki tutaj na dole miał zupełnie inną tonację, widzieli, że woda przepływa obok z pozoru spokojnie. Jakby rzeka stawiała się mniej burzliwa w miarę, jak się do niej zbliżali.

- To lato w ogóle pewnie będzie jednym wielkim dniem odpoczynku. Aż mi czasem wstyd, że tak nic nie robię - wyznała Johanna, gryząc soczyste źdźbło. Lubiła kwaskowaty smak trawy na języku.

- W każdym razie na to zasługujesz. Wzruszyła ramionami.

- Czuję się ciężka i stara. Roześmiał się.

- Wcale nie jesteś stara! Na twojej ślicznej twarzy nie ma ani jednej plamki!

Ani śladu zmarszczek!

Johanna także się śmiała. Wiedziała, że wygląda teraz tak dobrze, jak dawno nie wyglądała. Od czasu, kiedy list do rodziców został wysłany, sypiała głęboko i jadła trzy razy dziennie. Owce i krowy, które dostali w spadku, wyprawili na górskie pastwiska razem z inwentarzem z plebanii, nie miało sensu wynajmowanie mleczarek na własne pastwiska. Zarządca wydzierżawił ich hale i wszystkie sprzęt, za to obiecał zajmować się bydłami przez całe lato i jesienią odprowadzić je do domu.

- Bardzo lubię te nasze przechadzki nad rzekę - powiedziała nieoczekiwanie. -

Ogarnia mnie taki spokój, kiedy możemy tu siedzieć o zmierzchu i patrzeć, jak rzeka unosi z sobą wszystkie nasze zmartwienia. Jesteśmy całkiem sami, bardzo to lubię, Ravi...

- Ja także - przytaknął Ravi, ponownie zarzucając wędkę. Ryby zerowały w głębinie nieco dalej, on jednak nie zamierzał zostawiać Johanny samej i spróbować szczęścia w innym miejscu. Wystarczało mu, że trzyma wędzisko i że ma się na czym koncentrować.

- Sześć dni... sześć dni, Ravi. Teraz to już na pewno są w drodze... zobaczysz, tata i mama, każde na swoim pięknym wierzchowcu... i chyba będą też mieć dodatkowe konie, nie sądzisz? Na pewno zbudowali stajnię w swoim obejściu nad fiordem.

Ravi uśmiechał się w milczeniu.

- Na pewno kupili sobie konie. A może pierwszy kawałek drogi przebyli piechotą? Ludzie mniej zwracają uwagi na podróżnych bez wozu i koni.

Milczała przez chwilę, a potem powiedziała rozmarzona, z przymkniętymi oczyma:

- A może właśnie teraz się pakują i przygotowują do drogi? Boże, jak ja za nimi tęsknię...

Wydało mu się, że jest przerażająco mała i że bardzo łatwo ją skrzywdzić, poczuł ból w sercu, bo zdawał sobie sprawę, że ponosi za nią odpowiedzialność, ale wiedział też, że nie bardzo może się z tego wywiązać. Odkąd zabrał ją z Lyster, dojrzała bardziej niż on. Odwrócił twarz i popatrzył w stronę szczytu Sangernuten, gdzie słońce jeszcze wyłacało hale i gdzie pod urwiskiem wciąż widziało się spory płat śniegu. Z dołu wyglądał on niczym skierowane w niebo niewidome oko, a spływające w dół strumyki wody przypominały łyzy.

- Na pewno niedługo przyjadą - rzekł niepewnie, ale objął ją ramieniem, nie bacząc na to, że wędka wpadła do wody i rzeka wszystko zabiera: kij, pełen supłów sznurek i haczyk.

Przez cały dzień męczyło go straszne pragnienie, wiele by dał za choćby mały kieliszeczek. Tak było od poprzedniego wieczoru, kiedy ciało przestało go słuchać i musiał raz jeszcze wyjść na spotkanie przekleństwu. Nie spadało to na niego od wielu tygodni, teraz jednak znaki stawały się bardzo wyraźne, niczym czerwone plamy po wewnętrznej stronie skóry. W końcu pojawiła się gorączka.

- To jest jak choroba - powiedziała Johanna. Była przestraszona. - Wygląda,

jakbyś się tym zarażał, i to tym mocniej, im dłuższy jest czas między jednym a drugim napadem. Biedny Ravi. Żeby tylko wiedziała, jak ci pomóc.

- Ważne, że jesteś - bąknął ochryplym głosem. Nie chciał jej mieć przy sobie teraz, kiedy służył potem i kiedy dokładnie wiedział, jakie wrażenie mogą sprawiać jego szalone, przekrwione oczy. - Pójdę nad rzekę, chciałbym się wykapać.

- Ale przecież woda jest strasznie zimna! I to niebezpieczne! Nigdy nie widziałam, żeby ktoś z tutejszych kąpał się w rzece...

- Jest czerwiec - odparł krótko i wyszedł. Johanna żałowała, że nie została. Myślała o wzburzonym nurcie rzeki, myślała o tym, co może się z nim stać, kiedy jej przy nim nie będzie. Zaraz się jednak opanowała, w duchu robiła sobie nawet wymówki. To ona sama jest odpowiedzialna za tę jego bezradność, złapała się na tym, że myśli o nim tak, jakby myślała o synu. On jednak jest starszy, dużo starszy, i wyczuwała w nim wielką siłę, która mogłaby wybuchnąć w momencie, kiedy Johanna będzie go najbardziej potrzebować.

Nie zasnęła, dopóki nie wrócił. Uśmiechała się w mroku letniej nocy i odsunęła pod ścianę, by zrobić mu miejsce. Trwało jednak dość długo, zanim przyszedł, słyszała, że po drodze z hałasem kopnął stołek.

Serce biło jej bardzo wolno. Nie chciała się rozzłościć. Nie wolno jej tego zrobić, nie teraz. Wiedziała, jak bardzo mu trudno, wiedziała też, że wódka to dla niego jedyne lekarstwo, że nie znalazł innego. Dopóki ona sama nie będzie umiała mu pomóc, nie wolno jej protestować.

Tym razem nie był pijany, tylko bardzo zmęczony i jakiś dziwnie wiotki. Drżał lekko, ale to pewnie chłód rzeki jeszcze w nim trwa, a może się boi?

- Spij teraz, mój kochany - powiedziała, gładząc jego na pół mokre włosy. Pachniał świeżością, nie miał na sobie nic.

Przymknęła oczy i myślała o tamtej nocy, w szałasie na górskim pastwisku w Lyster.

Leciutko przesuwiała palce po jego skórze i była niemal pewna, że jest znowu tam, w rodzinnych stronach, znowu w czasie, kiedy zmartwienia rysowały się przed nią jak niebotyczna góra, choć przecież były tylko jak przyjazne niewysokie wzgórza, na które bez trudu potrafiła się wspiąć.

W jakiś dziwny sposób Ravi wydawał jej się zarazem delikatny i szorstki, skóra zbrązowiła mu od słońca. Zdarzało się, że w dole nad rzeką często zdejmował koszulę, zdarzało się, że siadywał pod nagrzaną ścianą, mając na sobie tylko podarte

spodnie. Z dołu nikt nie mógł go zobaczyć, więc Johanna bardzo szybko przestała się dziwić tym napadom, tej jakiejś potrzebie pozbywania się ubrania. Powiedział jej zresztą, że lubi słońce, że jego promienie przenikają go do szpiku kości.

Kiedy to mówił, wydał jej się podobny do starego człowieka, ale przecież jego ciało było młode i silne, tylko trochę za bardzo wychudzone.

- Spij - szepnęła teraz, ale jej ręce mu na to nie pozwalały. Westchnął z ulgą, że nie jest zła. Po chwili stwierdziła, że jego oddech się zmienił, widocznie rozbudziła go całkiem serio. Ravi bał się jednak jej ogromnego brzucha, musiała z uśmiechem przytrzymać jego ręce. W końcu odważył się przycisnąć dłonie do napiętej skóry i zaczął nasłuchiwać, nagle zachichotał, bo jakaś mała nóżka czy rączka szturchnęła go, jakby dziecko chciało się przywitać.

- Jakie to dziwne - powiedział, a jego głos brzmiał bardzo przytomnie. Bardzo lubiła to jego zdziwienie wobec życia, nie знаła poza nim nikogo, kto by się tak dziwił tylu zupełnie zwyczajnym rzeczom. Pamiętała jego oczy z czasu, kiedy była jeszcze dzieckiem, już wtedy wyczuwała w nim coś dalekiego, obcego, jakby sama nieoczekiwanie znalazła się w całkiem nieznanym świecie. On był niczym upadły anioł.

Jak istota z zaczarowanego świata wnętrza gór. Jak troll?

Ravi mógł równie dobrze pojawić się na ziemi z jakichś otchłani, pomyślała Johanna, ale natychmiast się zawstydziała. Żeby mu jakoś wynagrodzić swoje niedobre myśli, ujęła w dłonie jego twarz i z ogromną czułością całowała oczy i policzki. Czuła, że napięte mięśnie wygładzają się pod jej wargami, stawał się równie spokojny i bliski jak podczas snu.

- Damy sobie radę, Ravi. Już niedługo pełnia lata... a wtedy przyjedzie mama i wszystko będzie dobrze...

Lekko skinął głową, wiedział, że Johanna nie zapomniła, jakie w rzeczywistości jest ich życie. Nie będzie przecież mogła wrócić z rodzicami. Ludzie lensmana rozpoznaliby ją natychmiast. Z pewnością teraz uważnie obserwują mieszkańców i Meisterplassen, i Karlsruh. Może nawet ktoś będzie podążał za Amelią i Bendikiem przez góry. Znowu pojawił się lęk, dawny cień kładł się na sercu.

Nie powiedział jej tego jednak, to są tylko jego myśli.

Rzadko widywał Johannę w swoich wizjach, zdarzyło się to tylko raz, może dwa. I bardzo się z tego cieszył.

Teraz jej ręce stały się bardziej gorące, scałowała wszystkie złe przecucia,

każdym dotknięciem, każdym najlżejszym ruchem przekonywała, że bardzo go kocha. Ravi czuł, że całe ciało żyje, zdawał sobie sprawę z tego, że akurat w tym momencie żaden lęk ani żadne zmartwienia nie mogą mieć spokoju. Przysunął się do niej. Ona nadal pieściła go delikatnymi dłońmi, podczas gdy jego ręce stawały się twarde i natarczywe. Przytulał ją coraz mocniej, ale sterczący brzuch Johanny leżał między nimi niczym poduszka i Ravi tracił wszelką śmiałość. Było w jej stanie coś świętego, coś nieznanego i potężnego. Czuł się jak Mojżesz przy krzaku gorejącym.

Ona go jednak nie wypuściła z objęć, wciąż była tuż przy nim i nie pozwoliła mu się cofnąć. Całowała go.

Usta miała na wpół otwarte i gorące. W jej pieściznach nie było nieśmiałości.

Ravi jęknął, ciepła wilgoć ciała Johanny podniecała go coraz bardziej, wczepił się w nią i stali się naprawdę jednym. Zdawali się wnikać w siebie nawzajem, bardzo niewiele ich oddzielało, tylko cienki materiał jej koszuli i dziecko uwięzione między nimi.

Krew buzowała w żyłach Johanny. Zarazem jednak ogarnęło ją dziwne osłabienie, nie pojmowała, dlaczego on chce przedłużyć chwile zjednoczenia, ale kiedy stwierdziła, że drży, uśmiechnęła się mimo wszystko i wiedziała, że nigdy nie mógłby być jej bliższy.

Nie powiedzieli sobie nawzajem dobranoc. Przytulali się tylko do siebie uspokojeni i tak zasnęli. Jakiś mięsień w ramieniu Raviego kurczył się boleśnie, mimo to on się nie ruszył. Leżał i walczył ze snem, czuł się przyjemnie rozgrzany i zadowolony, nawet ta mała ofiara, jaką dla niej ponosił, mu nie przeszkadzała. Ramię bolało. Jej głowa była ciężka, Johanna pachniała słono - słodkim potem, Ravi przytulił głowę do jej czoła. Przymykał oczy, wiedząc, że wciąż jeszcze może ofiarować jej coś dobrego.

Żadne z nich nie słyszało lekkich kroków na porośniętym trawą dziedzińcu, nie zauważyli nawet chrobotania w drzwi, kiedy ktoś ostrożnie kładł pod nimi chrust.

W suchej trawie ogień trząskał złowieszczo, ale kamień przed drzwiami był duży i stanowił zapórę, nie przepuszczał ognia w głąb obejścia, gdzie skoszona trawa została zebrana w niewielkie kupki.

Ten kamień jednak spowodował, że płomienie zaczęły lizać mocno wysmołowaną ścianę domu, żółte jęzory objęły framugę drzwi, a wtedy kroki zawróciły i po chwili przepadły w pobliskich zaroślach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie wiedział, co go obudziło, po prostu nagle się ocknął i natychmiast dotarli do niego głośne, trzaskające odgłosy ognia, poczuł, że dym dławi go w gardle.

Uwolnił się z objęć Johanny, ona dziwnie ciężko opadła na siennik i Ravi uświadomił sobie z przerażeniem, że nie słyszy jej oddechu. Znowu otworzył oczy, które z całych sił zaciskały się w obronie przed dymem. Musiał jednak przyjrzeć się jej twarzy. Przesłaniała ją gęsta powłoka szaroczarnego dymu, łzy nieprzerwanie płynęły mu z oczu, nie widział nic, kiedy rozpaczliwie wykrzykiwał jej imię.

Ogień ogarnął już drzwi, tworzył jakby przerażający portal, przez gęstą zasłonę Ravi widział szalejące płomienie, teraz czuł już także buchające gorąco.

Zarzucił Johannie kołdrę na głowę, nie przestając jej szarpać, nie mógł uwierzyć, że w tym hałasie ona naprawdę śpi, ogień stawał się coraz bardziej groźny, zaczął już ogarniać sufit, zawieszona tam szynka skwierczała, czuć było swąd palonego mięsa, po chwili rozległ się głuchy łoskot, gdy szynka spadła na podłogę.

- Johanna, otwórz oczy! Pali się!

Pociągnął ją do siebie, drewniana podłoga parzyła mu już bosc stopy. Na szczęście płomienie nie dotarły jeszcze tak daleko, może dlatego, że drewno było bardzo świeże i mokre, kiedy je cięto i kładziono podłogę, nie zdążyli go wysuszyć.

Wziął nieprzytomną na ręce, była cięższa, niż sądził, tracił poza tym mnóstwo sił na powstrzymywanie kaszlu. W piersiach go paliło, kręciło mu się w głowie, ale za nic nie mógł zachłusnąć się gorącym dymem, instynktownie wyczuwał, że to by oznaczało śmierć dla nich obojga. Z trudem cofał się pod drugą ścianę, chciał dotrzeć do okna. Było wystarczająco duże, by człowiek mógł się przez nie przedostać.

Musiał ją na chwilę posadzić na ziemi, bezwładnie opierała się o jego nogi, kiedy on po omacku szukał żelaznego saganka, który stał gdzieś na stole. Przez grubą szybę wpadało trochę światła letniej nocy, teraz jednak Ravi był kompletnie oślepiiony przez łzy i dym. Czuł gładką szklaną tafłę pod palcami, szyba była nieprawdopodobnie gorąca. Zamachnął się i usłyszał brzęk szkła, jakby lodowa pokrywa stoczyła się w dół po zboczu góry, poczuł strumień zimnego powietrza. Kolana się pod nim ugięły, chwycił obiema rękami nieprzytomną Johannę, silnym kopniakiem odsunął stół i nareszcie odważył się odetchnąć.

Za jego plecami płomienie eksplodowały z hukiem, przypominającym ryk rannego niedźwiedzia.

Osłabłe ramiona drżały, nie czuł tego wyraźnie, ale wiedział, że płomienie za chwilę zaczną lizać mu plecy. Już nie myślał, ale ciało naginało się w instynktownej obronie, wydobywało z siebie resztki siły. Wiedział tylko jedno: musi wynieść Johannę na zewnątrz. Musi wyjść przez okno, zanim płomienie pochłoną ich oboje. Rozbite szkło poraniło mu ręce, ale nie odczuwał bólu, poczuł natomiast wielką ulgę, kiedy jej ciężkie, niezdarne ciało znalazło się nareszcie po tamtej stronie i on mimo woli upuścił je na ziemię.

Nic już właściwie nie wiedział, stał tylko spokojnie, niemal zaciekawiony, jakby czekał, czy za chwilę nie poczuje piekącego bólu oparzeń. Ponieważ tak się nie stało, w nagłym odruchu nadziei na ratunek rzucił się naprzód i niemal zdziwiony stwierdził, że na dworze gorąco nie jest takie straszne, a trawa pod nogami wilgotna od rosy i rozkosznie chłodna.

Zgiął się wpół, oślepiiony dyszał boleśnie, wciągając powietrze, bał się, że płuca mu popękają. Dopiero kiedy pożar tak się rozszerzył, że dym znowu go oślepił, przez huk płomieni dotarły do niego ludzkie głosy i nawoływania.

Padł wtedy na ziemię, wciąż jedną ręką mocno trzymając Johannę. Leżał tak i dyszał ciężko, strach go nie opuszczał, a nawet był coraz większy, paraliżował go swoją siłą, długo trwało, zanim naprawdę uświadomił sobie, że żyje, że znajduje się na dworze i że jest w stanie uciekać.

- Johanna - wydyszał, potrząsając nią. Mrugał nieustannie, ramieniem przecierał załzawione oczy, próbował koncentrować wzrok na twarzy ukochanej. To, co widział, przerażało go do szaleństwa, dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że krew na jej brzuchu pochodzi z jego pokaleczonych rąk.

- Johanna! Na podwórze wbiegł jakiś człowiek, teraz mógł go rozpoznać, to jeden z synów sąsiada, którego obudził hałas. Porozpinana koszula falowała, kiedy biegł, spodnie wciąż przytrzymywał ręką.

- Czy ona nie żyje? - zapytał z twarzą zaczerwienioną od żaru. Ravi wykrztusił coś, co mogło przypominać słowa, ale nie miał siły nic zrobić, kiedy chłopak chwycił Johannę pod pachy i zaczął ją odciągać od ognia. W oszołomieniu Ravi słyszał, że młody sąsiad coś krzyczy nad jego głową, on też wykrzykiwał jakieś kobiece imię, ale wkrótce zaległa kompletna cisza.

- To po prostu cud - powiedziała kobieta, a w jej głosie brzmiało coś jakby napomnienie. Ravi miał ręce owinięte w gałgany, a włosy ostrzyżone krótko jak podrostek. Długie pukle zwęglił ogień, kiedy się ocknął z odrętwienia, był już

ostrzyżony. Czuł się jak nagi. Wiatr chłodzący goły kark sprawiał mu ból, może nawet bardziej dokuczliwy niż pulsowanie w poparzonych rękach.

- To naprawdę cud - powtórzyła tamta i cmoknęła. Ravi widział, że ramiona podtrzymujące Johannę są silne i twarde.

- Nie tylko uszliście oboje z życiem... ale wiele rzeczy w domu prawie nie zostało uszkodzonych. A garnki... to po prostu niewiarygodne.

Zgliszcza przestały już dymić, dwie połówki ścian i murowany komin stały jakby na przekór wszystkiemu, poopalane świadczyły, że płomienie musiały dość szybko dać za wygraną. Niebo rozwarło się nad nimi, ulewa była tak silna, że pożar został zdławiony w tym samym momencie, w którym nadpalony dach się zawalił. Gruba, ciężka warstwa ziemi i torfu skutecznie zdusiła ogień, a deszcz dokonał reszty.

Ravi i Truge grzebali w zgliszczach i nagle Truge z okrzykiem triumfu uniósł osmoloną, czarną bryłę.

- Srebrny świecznik, Ravi, spójrz! Świecznik się uratował! Chodź, musimy znaleźć drugi!

Ravi stał i patrzył, jak Truge przeszukuje ruiny. On sam nie mógłby utrzymać haka w okaleczonych rękach.

Wkrótce ukazał się drugi świecznik, jeszcze mniej zniszczony, szczerze mówiąc, prawie nietknięty.

- Cud - powiedziała jeszcze raz kobieta i teraz jej oczy były wąskie niczym szparki. Zachwycony Truge pracował dalej i odsuwał zwęglone drewno na boki.

- Szukaj w kącie, tam był kuferek Johanny - szepnął Ravi. Johanna stała nieopodal i przyglądała im się bez słowa.

Truge natomiast triumfował, wkrótce wyciągnął skrzynkę z ruin. Także była zwęglona, ale znajdowała się pod tym fragmentem dachu, który się zawalił, kiedy płomienie trawiły drugą część chaty.

- To już chyba wszystko - powiedział i chciał rozbić skrzynkę, by sprawdzić, czy zawartość nie została uszkodzona.

Ravi zareagował, wyciągnął ręce. Zdołał odnieść skrzynkę do Johanny. Popatrzyli na siebie.

- No więc niczego tak naprawdę nie straciliśmy - szepnęła i dopiero teraz Ravi zobaczył, że ona płacze.

Wiadomości krążyły po wsi, nie minęło wiele dni, a cieśla i pomagający mu komornicy zbudowali nową chatę. Johanna i Ravi kupili drewno od pewnego chłopca,

który nie przegapił szansy sprzedania gotowego domu, zwłaszcza że jemu samemu nie był on potrzebny wcześniej niż na zimę. Miał dość czasu, żeby wyrąbać nowe bale na swoją budowę, tym bardziej że w jego lasach rosło pod dostatkiem drzew.

Białe bale pachniały świeżością i chata, która kawałek po kawałku nabierała kształtów, okazała się półtora raza większa niż ta, którą strawił pożar. Miała małeńki ganek i dwoje drzwi, została podzielona na dwie części tak, by mieszkańcy mieli pomieszczenie wyłącznie dla siebie. Postanowiono zbudować piec z kominem.

Już trzeciego dnia Ravi mógł przenieść Johannę przez próg do środka. Wciąż jeszcze brakowało okien, ale w jednej ścianie zostały wycięte dwa prostokątne otwory. Drzwi pochodziły z pewnego starego domu, były ciężkie i solidne, bardzo podobne do tych, jakie mieli przedtem. Ponad ich głowami, przez szpary między deskami, wpadało światło. Szpary trzeba będzie utkać mchem, a potem na dachu położyć się warstwę darni. Na szczęście od nocy, w której wybuchł pożar, nie spadła ani kropla deszczu.

- Znowu jesteśmy w domu - powiedział Ravi.

- Niewiarygodne - odparła. - Niewiarygodne, co można kupić za srebro. W szkatułce Johanny nie zostało już wiele talarów, ale mieli zamiar sprzedać pastwiska, które Johanna dostała w spadku po Karen, i gospodarz, którego łąki z nimi sąsiadowały, zaproponował całkiem niezłą cenę. Torkjell także powiedział jej, że gdyby to było konieczne, to w każdej chwili gotów jest wystawić weksel.

Johanna ucieszyła się, że może podziękować za życzliwość i pożyczki nie przyjmując, ale mimo to skorzystała z jego pomocy, gdy zaproponował im nocleg w gospodzie.

- Dzisiejszej nocy będziemy spać tutaj - powiedział Ravi. Wydawało się to i słuszne, i naturalne, chociaż w nowym domu brakowało wszystkiego, nie było łóżka, stołu, ławy ani pieca. Znowu spojrzała na niego wilgotnymi oczyma.

- Pomyśl, że oni mogli byli już przyjechać... pomyśl, że mama i ojciec zastaliby nas w tej sytuacji.

Ravi uśmiechnął się do niej. Johanna była blada, ale cała i zdrowa, płomień i dym nie zostawiły na niej śladu. Pierwszego dnia po pożarze utykała trochę, ale teraz skręcona kostka przestała dokuczać.

Trzymał Johannę mocno przy sobie. Kuferek znajdował się już na swoim miejscu w kącie izby, został oskrobany i wyczyszczony, wciąż jednak było widać zwęglenia i czarne plamy po jednej stronie. Wieko musieli zrywać, teraz trzeba będzie

wymienić zawiasy i okucia.

- Powitasz ich w całym nowym domu, Johanno. Czy myślisz, że jest wystarczająco ładny?

Westchnęła ciężko.

- Ubranka dla dziecka. Co ja bez nich pocznę? My sami chodzimy w pożyczonych rzeczach, ale bardzo bym nie chciała zebrać o coś dla dziecka...

- Wykorzystaj ostatnie talary, Johanno. Naprawdę możesz to zrobić! Twoi rodzice przyjadą niedługo, a nie wierzę, że chcieliby cię zobaczyć w takim stroju.

Skinęła głową zamyślona. Po chwili uśmiechnęła się.

- Żyjemy niczym zając pod miedzą, czyż nie? I ty mi powiadasz, że powinnam kupić ubrania, chociaż nie mamy nawet solonego śledzia na kolację.

- Wszystko się ułoży, zobaczysz - odparł spokojnie. Potem wypuścił ją z objęć i poszedł na podwórze po worki wypchane świeżym sianem, które im tej nocy posłużą za pościel. Bo znowu mieli dom, stał tutaj jakby na przekór wszystkiemu. Nie musieli wiele do siebie mówić, Johanna bardzo dobrze pamiętała twarz Ravięgo w obcej pościeli. Zadawała mu pytania, a on odpowiadał z wahaniem. Brał winę na siebie, mówił, że zostawił świeczkę na półce w szopie. Powtarzał, że pewnie półka się od niej zapaliła, prosił o wybaczenie. Nie bardzo mu wierzyła, teraz, w jasne letnie noce, nie używał przecież świec. Ravię jednak popatrzył jej w oczy i powiedział:

- To się już nigdy więcej nie powtórzy, obiecuję ci. Potem ona zgodziła się, by wynajął ludzi i konie, i w ciągu tych kilku dni zbudowali dom dużo ładniejszy, niż kiedykolwiek mogli marzyć. Johanna nie żałowała, nie bała się już więcej, może dlatego, że drewno było bardzo świeże, jeszcze dobrze nie wyschło i trudno byłoby je spalić.

Mathilda przyszła z tobołem tak wielkim, że musiała ciągnąć go za sobą po ziemi.

- Pomyślałam, że może nie odmówicie... chociaż to przeważnie szmaty. Przyniosła bieliznę pościelową, szorstką i spraną, ale i tak lepszą niż to, w czym sypia większość komorników. Miała też stare ubranie z szarej wełny ozdobione u dołu kolorowymi krajkami. Spodnie i krótką kurtka z drewnianymi guzikami. Johanna dziękowała serdecznie. Małe oczy Mathildy lśniły dziwnie.

- Może nie zawsze dobrze o tobie myślałam, Anno. Przyznaję to, nie podobało mi się, że przyszedłeś do domu pastorostwa. Ale... nie zasłużyłeś... na to, tutaj.

- Co masz na myśli? - zapytała Johanna. Domyślała się, że tamtej nie o pożar

chodzi. Starsza kobieta skrzyżowała jednak ręce na piersi i nie odpowiadała, rozglądała się tylko rozbieganym wzrokiem.

- Nie masz zbyt wielu przyjaciół w tej wsi, Anno. Pewnie o tym wiesz... ten malarzyna siedzi w knajpie i gada na ciebie.

Johanna otworzyła usta.

- Co ty mówisz... Truje? Stara przytaknęła, sznurując wargi.

- Pewnie, słowa takiego jak on w żadnym razie nie wychodzą ci na dobre. - Pochyliła się do przodu. - Wiesz, byłam zaskoczona, kiedy mój chłop przyszedł z wiadomościami, że już na drugi dzień po pożarze zabraliście się do budowania nowego domu... Większość myślała, że się raczej stąd wyniesiecie. Nie należycie przecież do nas... no, nie zrozum mnie źle, ale...

Johanna spojrzała na swój brzuch. Mathilda zrozumiała.

- No tak, dziecko... może się urodzić w każdej chwili, jak widzę?

- Za jakieś dwa, trzy tygodnie... może za cztery. Nie wiem - odparła szczerze Johanna, która dziękowała Bogu za każdy dzień zwłoki. Im dłużej trwać będzie ciąża, tym większe prawdopodobieństwo, że dziecko jest Ravięgo. Jeśli nie urodzi się do lipca, będzie to całkiem pewne. Ale minęły zaledwie dwa mizerne tygodnie czerwca, z czego jeden naznaczony koszmarem i zarazem cudem.

Mathilda rozwiązała tobolek i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Mogę do ciebie przyjść. Mam nadzieję, że powiesz mi, gdy będziesz potrzebować... pomocy?

Johanna domyślała się, o co jej chodzi. Mathilda z pewnością przy niejednym łóżku rodzącej w swoim życiu stała. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, stara kobieta dokonała zadośćuczynienia.

- Dziękuję, Mathildo, bardzo sobie to cenię. Nie mylisz się, mówiąc, że nie bardzo mamy się tu do kogo zwrócić. Bardzo się cieszę, że ty jesteś.

Mathilda skuliła się, z jakimś dziwnym uporem wyglądała przez pozbawione szyb okno.

- Bogu dzięki, że pogoda sprzyja. Na letnim jarmarku pewnie nie będzie zbyt wielu szyb do kupienia.

Johanna uśmiechnęła się.

- A poza tym musimy chyba najpierw zdobyć coś do jedzenia. Myślę, że przed zimą Ravi zrobi drewniane okiennice i kupi porządne skoble.

Mathilda z aprobatą skinęła głową.

- Tak chyba będzie najlepiej. Szyby w oknach to nie jest coś dla ludzi takich jak my.

Johanna potakiwała bez wielkiego zapału, wiedziała jednak, że nawet tamto grube szkło, które mieli w oknie starego domu, wywoływało we wsi rozmaite nieprzychylnie komentarze. Skuliła się, machając Mathildzie na pożegnanie, i zapragnęła, żeby Ravi wrócił jak najprędzej. Poszedł do zagrody Breie, żeby przynieść jedzenie i trochę płótna, które Johanna zamówiła u tamtejszej gospodyni. Cieszyła się, że zawiesi zasłony i oddzieli miejsce do spania od reszty izby i że będzie mogła poszyć nowe ubranka dla malca, który nie przestawał jej kopać.

Wieczorem weźmie trochę najlepszego masła z Breie, świeżego, dobrze solonego, pierwszego masła zrobionego w tym roku na letnim pastwisku. Ma też jajka, które gospodyni przyniosła osobiście, i kawał kiełbasy od Trugego.

Zrobią sobie święto.

Jak wtedy, przed pierwszą nocą w tym obejściu.

Uśmiechnęła się niepewnie i odniosła wrażenie, że dom odpowiada jej tym samym, złocisty i jasny w blasku letniego słońca. Na dziedzińcu tuż przy ścianach trawa wciąż była osmalona i paskudna, ale parę metrów dalej kwitły kępy koniczyny, jaskrów i jasnej smółki. Nazbierała kwiatów i uplotła z nich wieniec, który powiesiła nad drzwiami. Poza tym pomieszczenie było niemal zupełnie puste, tylko siennik, tobolek przyniesiony przez Mathildę i kuferek w kącie.

Po raz nie wiadomo który omiotła wzrokiem podłogę, widziała, że drewno jest niestarannie wyheblowane, przy ścianach brakowało listew. Ale całość została bardzo fachowo położona, wszystko dobrze zaplanowano, najpierw ułożono na kamieniach belki w poprzek izby i dopiero do nich zostały przybite deski. Zimą będzie tu cieplej niż w zeszłym roku. Czy dożyjemy do zimy? pomyślała nagle. A potem siedziała długo i oskubywała płatki z kwiatka róży, który zerwała z krzewu niedaleko stacji pocztowej. Pachniały słodko, ale nie były jeszcze do końca rozwinięte.

Ravi wrócił wcześniej, niż się spodziewała. Znalazł sobie podwodę, drogę nad brzegiem fiordu przebył na furze, był zarumieniony i bardzo ożywiony. Nie od razu Johanna zauważyła, że szarym koniem powozi Mons - Duńczyk.

- Witaj, Anno, mam i mięso, i piwo!

Johanna uniosła brwi, stała w drzwiach, mrużąc oczy pod słońce. Okrągławy mężczyzna niósł worek Ravięgo, ponieważ ten miał ręce pełne różnych rzeczy, dźwigał też ciężką bańkę z piwem.

- To dar - bąknął Mons - Duńczyk i pozdrowił ją imieniem Boga, łypiąc zaciekawiony spod czapki.

Johanna wyciągnęła rękę.

- Dziękuję ci bardzo - powiedziała cicho. Odczuwała niezwykłą przyjemność, widząc tego człowieka. Nie rozmawiała z nim od tamtego dnia, kiedy stała na drodze obca i dezorientowana. On był pierwszym przechodniem, który pozdrowił ją przyjaźnie w ów zimny jesienny dzień. I teraz znowu się uśmiechał, niemal jakby chciał ją przeprosić.

- Przyjaciół poznajemy w biedzie, jak wiesz - odrzekł trochę ochryple. Odpowiedziała mu bladym uśmiechem, zapraszała do środka, żeby obejrzał dom, do którego Ravi pownosił już wszystkie rzeczy.

- Nie zdążyliśmy jeszcze zbudować pieca - tłumaczyła, ale nie potrafiła ukryć dumy ze wspaniałego budynku. Izba robiła wrażenie bardzo przestronnej, niczym wewnątrz kościoła.

- Teraz to już pójdzie szybko - zapewniał Mons - Duńczyk, oglądając z uznaniem robotę cieśli. - Słyszałem, że Torkjell bardzo wam pomógł?

- Tak, całe drewno na dach to jego zasługa - potwierdził Ravi.

- I torf też wam da?

- Tak obiecał. - Johanna była zdziwiona, co Mons - Duńczyk ma wspólnego z Torkjellem?

Musiała się powstrzymać, żeby nie zapytać, tymczasem on powiedział:

- Miejcie się na baczności, żeby nie brać od niego za wiele. Torkjell nie należy do tych, co karmią ziarnem dzikie zwierzęta.

Ravi roześmiał się głośno. Zdążył już otworzyć bańkę z piwem. Obaj mężczyźni pili za to, żeby szczęście nie opuszczało nowego domu, i raz po raz głaskali zgrubiałymi od pracy dłońmi szorstkie drewno. Johanna też wypijała parę łyków, ale potem wymówiła się pracą i poszła rozniecić ogień na palenisku, które zbudowali za domem z polnych kamieni.

Jeden saganek nadawał się już do użytku, znaleźli go w pobliżu spalonego domu, widocznie to za jego pomocą Ravi wybił okno. Szorował go potem rzeczonym piaskiem, o mało nie pozdzierał sobie skóry z rąk. Dziwne uczucie ogarnęło Johannę, kiedy uświadomiła sobie, że Ravi tym właśnie saganem uratował jej życie. Wkrótce smalec roztopił się w naczyniu, Johanna nalała wody i powoli zasypywała wszystko mąką, nie przestając mieszać gęstej zupy. Brakowało jej tylko odrobiny soli. Ale

smalec wytopiono pewnie z solonej słoniny. Johanna starannie oczyściła zeszłoroczny kapuściany głąb, pokroiła go na małe kawałki i włożyła do zupy. Rozszedł się bardzo smakowity zapach.

Kiedy wszystko było gotowe, zaprosiła mężczyzn na posiłek podany na trawie. Jedli zupę i podplomyki, popijając piwem. Ravi uśmiechał się uszczęśliwiony, wystawiał twarz na wieczorny wietrzyk, Johanna widziała, że ten posiłek pod gołym niebem sprawia mu wielką przyjemność. Może wciąż jeszcze była w nim pamięć tych wszystkich dni i nocy spędzonym na wędrownie z ojcem?

Kiedy jednak Mons - Duńczyk sobie poszedł, a Ravi ujął ją za ręce i poprowadził do izby, przekonała się, że dom, który zbudowali, znaczy dla niego dużo więcej niż nocne niebo.

- To jest pierwszy dom, który mogę uważać za swój - powiedział. Johanna musiała się uśmiechnąć. Jego radość była tak wielka, że tłumiła wszystko inne, w każdym razie uśmiech Raviego przeganiał zmartwienia do najciemniejszych zakamarków duszy.

- Czujesz, jak pięknie pachnie w naszej izbie? - zapytał. - Nie stęchlizną i zamknięciem, jak w starym domu. Tamten też lubiłem, ale ten... pomyśl, przybudówka jest taka duża, że można w niej postawić łóżko! I mamy też alkierzyk, czyż to nie wspaniałe?

Izba została podzielona ścianką na dwoje, wprawdzie bez drzwi, ale mimo wszystko były to dwa pomieszczenia. W tym bez okna postawią później łóżko dla siebie, a piec wymuruje się w przejściu między pomieszczenia mi tak, żeby w obu było ciepło. Ravi wszystko bardzo dokładnie przemyślał.

- Może to mimo wszystko szczęśliwy traf, że zostawiłeś tę świeczkę - westchnęła Johanna.

Ravi objął ją. Nie widziała jego twarzy, ale słyszała odpowiedź:

- Tak, Hanno, to było szczęście... Milczała. Obejmowała go mocno w pasie, miała nadzieję, że on pewnego dnia zrozumie. Teraz chciał ją ochraniać, nie chciał dokładać ciężarów do brzemia, które i tak dźwigała, ale jego kłamstwo wywoływało w niej gniew. Wolałaby dzielić z nim zmartwienie, rozmawiać otwarcie, dlatego dom się spalił.

Dreczyło ją to, nie mogła przestać o tym myśleć, wiedziała jednak, że nie mogli zrobić nic innego niż to, co zrobili, żeby pokazać wszystkim, że sumienia mają czyste.

To Ravi odkrył znaki, nie zawołał Johanny, nie krzyknął przerażony, usłyszała tylko głuchy jęk. Włosy zjeżyły jej się na głowie, wybiegła na dwór, zobaczyła, że Ravi odwrócił się od ściany, ciężko opierał się o framugę drzwi i zaszokowany, z niemal dzikim wyrazem twarzy patrzył na nią.

Nie powiedział nic, wargi mu tylko drżały, uniósł ręce, jakby chciał wepchnąć Johannę z powrotem do izby, ale ona zdążyła już wszystko zobaczyć.

Krwawe krzyże.

Siedem wyraźnych krzyży wymalowanych czymś, co musiało być zwierzęcą krwią pomieszaną z sokiem trawy, szczyrzyło się do nich z jasnej futryny i z drzwi. Wyglądały na świeżym drewnie jak brunatnoczerwone pochodnie.

- O, mój Boże... Johanna mówiła szeptem, czuła dotyk własnych palców na wargach. Krzyże migotały jej przed oczyma, cała ściana zniknęła w falującej mgłę.

- Och, nie... mamó, mamó! Objął ją w pól, bardzo chciał jej coś powiedzieć. Była taka ciężka w jego ramionach, prawie tak samo, jak w czasie pożaru, tak samo osłabła, pozbawiona życia. Teraz jednak płakała, cicho, bezradnie, a on nie potrafił się zdobyć na nic innego, jak tylko przyłączyć się do jej rozpaczliwej modlitwy Amelia i Bendik...

Przecież chyba muszą wkrótce tu przyjść?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Meisterpassen przeglądało się w nieruchomej wodzie fiordu, kiedy orszak z za gór zbliżał się do brzegu w pobliżu Eidet. Najłżejszy podmuch wiatru nie chłodził policzków, nawet liście osiki zastygły w bezruchu, a trzech mężczyźni przedzierali się przez zarośla wąską ścieżyną prowadzącą na skrót nad fiord. Nad wodą leżały dwie zagrody i zawsze można tam było pożyczyć łódź. Droga wzdłuż fiordu przez kamienne osypiska i skalne uskoki wydawała się handlarzowi mało pociągająca. Ale list wart kolejnych dziesięć talarów palił w wewnętrznej kieszeni, trzeba go było oddać adresatom.

- Meisterpassen... - stękał stary dziadek i splunął brązową od machorki śliną, pokazując bezzębne dziąsła. - Ach, tak, to pan ma do nich interes? Tak, tak, ale dzisiaj z handlu nic nie będzie, tak mi się widzi... Tamtejsi komornicy nie mają nawet tyle co czarne za paznokciem... a przy tym to niezguły, i pola, i obejście znowu zarastają chwastami.

- To nie ma gospodarzy, Bendika i Amelii? Stary, mrużąc oczy, gapił się na

przybysza, na którego twarzy pot złościł czarne ślady przez wszystkie dni górskiej wędrówki.

- No nie, nie, już dawno, jak się państwo zabrali stąd. O, to były zupełnie inne czasy dla nas wszystkich. Wtedy to i mój syn zarabiał tam sporo talarów, tak, tak. To były inne czasy, prawdę powiedziawszy... i obejście zaczynało być do czegoś podobne. A teraz...

Stary cmokał i kręcił głową w wełnianej czapce. Handlarz wypytywał uparcie:

- Powiadasz, że nie ma tam już Amelii ani Bendika?

- No mówię, że nie ma - powtórzył tamten i podniósł się z krzyżaka, na którym zamontowano okrągły kamień do klepania kos. Jakiś wyliniały kot ocierał mu się o nogi.

- Pojechali do domu. Do Lyster. Do swojego dworu po tym, jak córka przepadła i tylko zięć został na gospodarstwie.

Handlarz poczuł, że serce bije mu szybciej, po tej samej stronie znajdował się list.

- Córka zniknęła... ach, tak? Stary roześmiał się. Wiedział, że taki podróżny zawsze da coś w zamian za nowiny.

- Pewnie masz trochę prymki, ty, który wędrujesz po świecie? - zagaił bez niepotrzebnych wstępów. - Może i kieliszczyk znalazłby się w tych przepastnych jukach...?

Dostał i wódki, i tytoniu.

Westchnął z rozkoszą, wyciągał swoje pokrzywione nogi tak, że aż drewniaki skrzypiały po żwirze. Spodnie miał bardzo krótkie, połatane i z przodu, i z tyłu.

- Amelia i Bendik, tak... to prawda, co ludzie gadają, że szczęście nie zawsze idzie w parze z bogactwem. Jedną jedyną córkę mieli, Bóg nie pobłogosławił więcej. I za mąż wyszła bardzo dobrze... mówią, że bardziej urodziwego nie mogła dostać. I dwór posiadał nie byle jaki, granic nie ma na bogactwo, jakiego się dorobili. Ale czy myślisz, że ona się tym zadowoliła? Nie! Baby takie są. Przygadała sobie jakiegoś włóczęgę i uciekła z nim. Cały posag po ojczach zostawiła ta latawica bez rozumu...

- Uciekła?

- No tak! I jeszcze mężowi nóż w serce wbiła, a potem już nikt jej nie widział. On, biedak, taki się po tym wszystkim zrobił, że poznać go nie można. Gadają, że wciąż jej wygląda. No to teściowie musieli wracać, bo podobno wiele miesięcy przeleżał w łóżku. Nic dziwnego, taki wstyd... gadają, że uciekła z włóczęgą, synem

mordercy, czy coś...

Handlarz wolno kiwał głową.

A więc dobra Anna ma jednego męża tutaj, a drugiego w AI!

Nic dziwnego, że była taka tajemnicza i wylękniona niczym ścigany zając.

I na dodatek syn mordercy, nasz zacy Knut. Rzeczywiście, coś w nim jest takiego. Coś mrocznego, nieobliczalnego, każdy to zauważy na pierwszy rzut oka. I te wszystkie historie, które usłyszał, kiedy w tym roku wrócił do AI, też świadczą, że zła krew płynie w żyłach czarnego przybłądy.

Serce kupca biło jeszcze głośniejsze, miał wrażenie, że stuka o zwinięty w rulon list. Tu, nad fiordem, zapowiadał się naprawdę upalny letni dzień. Starzec żuł listki tytoniu i krzywił nos tak, że twarz stawała się gęstą siecią zmarszczek.

- Tak, tak, Bóg pomaga takim... to jedyna pociecha dla starego dziada na łaskawym chlebie, który mimo wszystko ma i jakie takie jedzenie, i spanie. Mój syn może nie jest z tych najobrotniejszych, babę też dostał z piekła rodem... ale ludziom z Meisterpassen jest gorzej... o wiele gorzej, tak, tak...

- Znasz ich? Stary zmrużył oczy pod słońce i cmoknął brunatnymi wargami.

- O, znasz i znasz... nie ma ich już od dawna. Ale ona zachodziła tu parę razy, witała się tak uprzejmie, ze mną, starym dziadem też. Dała mi nawet smarowanie na te moje powykrzywiane gnaty, tak...

Amelia, matka Anny. Tak jest, to by się zgadzało. Anna też ma opinię zielarki.

Handlarz zdjął czapkę i otarł pot z czoła. Jego towarzysze znaleźli sobie chłodne miejsce pod wielkim drzewem, pokładli się w cieniu i dzielili wodą, przyniesioną przez gospodynię.

Podszedł do nich i oznajmił:

- Będę musiał pójść do Lyster. Nie mogę nie załatwić sprawy, której się podjąłem, a ludzi z Meisterpassen tu nie ma. Wy zejdziecie na dół, do Fjora, tam się spotkamy w świętego Jana.

Mruczeli coś pod nosem i kiwali głowami. Byli to młodzi mężczyźni, synowie komorników, zarabiający na życie czym popadnie. Więcej niż chętnie przyjęli do wiadomości, że czeka ich parę wolnych dni. Może najmą się gdzieś na dniówkę, może znajdzie się ładna dziewczyna w tej rozległej wsi? A w wieczór świętojański może się wydarzyć wiele nad brzegami fiordu.

Nietrudno było trafić, chociaż nigdy przedtem nie odwiedził tych stron. Bywał na jarmarkach w Marifjora, ale z wyprawy do Lom przez góry jakoś nigdy nic nie

wyszło. Grupy wędrownych handlarzy miały swoje szlaki, swoje wydeptane ścieżki i chałupy po drodze, gdzie czekali znajomi, a nawet przyjaciele. On też chodził swoimi drogami, przemierzał je co roku, mniej więcej o tej samej porze odwiedzał te same miejsca i zawsze, kiedy opuszczał znajome obejście, sakwy były lżejsze.

Patrzył na żyzne tutejsze pola, przypominał sobie spaloną trawę na zboczach Hallingdal i nadziwić się nie mógł, jak można dobrowolnie wybrać życie w takiej nędzy. Ale słowa starego dziadka wyjaśniły wiele. Okazuje się, że pocziwa Anna uciekła od ślubnego męża. Uciekła z kochankiem z rodu włóczęgów. To historia, jaką rzadko można usłyszeć. Wyobrażał sobie gniew męża, według tego, co mówił stary, pchnęła go nożem, żeby się od niego uwolnić. Może ten włóczęga miał na nią taki wpływ... Co za kobieta!

Handlarza ogarnęło nieoczekiwane wzruszenie.

Taka właśnie powinna być kobieta, która chciałaby jemu towarzyszyć w wędrownkach. Obdarzona odwagą niedźwiedzia i kompletnie pozbawiona sumienia.

Otrząsnął się, dawne marzenie na zawsze pozostało pustą mrzonką.

Kobiety nie powinny być takie. One zostały stworzone do czego innego, mają opiekować się dziećmi, przygotowywać jedzenie. Teraz Anna próbuje tak właśnie się zachowywać, omal się nie roześmiał, kiedy już cała tajemnica wyszła na jaw.

Przypalona kasza, cięty język.

Nie, nie zdołała uciec od samej siebie.

Ale od wstydu uciekła, cały wstyd spadł na mężczyznę, który został w tej wsi. Handlarz wiedział wiele na temat, co urażona duma i uszczerbek na honorze mogą zrobić z bogatym człowiekiem. Mąż Anny najwyraźniej nie wiedział, dokąd uciekła ze swoim kochankiem. W przeciwnym razie sprowadziłby ją z powrotem, nie zważając na jej błogosławiony stan. Byłoby chyba właściwe odszukać tego człowieka i zaproponować mu wiadomość o niewiernej żonie.

Handlarz oblizał się łakomie. Anna go oszukała, naprawdę wywiodła go w pole. Był w prawie odszukać jej zdradzonego męża i zachować się jak uczciwy chrześcijanin mimo umowy, jaką z nią zawarł. Czyż nie powiedziano w Piśmie, że należy opuścić ojca i matkę po to, by stać się jednym ciałem ze swoim małżonkiem?

Trzeba zapytać o drogę do Karlsgrd. Wkrótce jakieś dzieci ofiarowały się, że go tam zaprowadzą. Chciały za to dostać lodowego cukru, ale je wyśmiał i poszedł sobie. Wtedy jedna z dziewczynek wyciągnęła rękę i wskazała na niedalekie wzgórze.

- Tam! Widzisz ten dwór, przybyszu? Droga wiedzie w górę brzegiem rzeki,

jest znacznie dłuższa, niż stąd się wydaje!

Wzgórza przed nim stawały się coraz wyższe w miarę, jak się do nich zbliżał, ale on mocno ścisnął plecak i stąpał miarowo po drobnych kamyczkach. Po tej drodze jeździły fury, co dnia pokonywały ją podkute konie. Koleiny były głębokie, widocznie ruch odbywał się tutaj spory.

Zanim dotarł do pierwszej łąki, gdzie droga stawała się mniej kręta, usiadł pod jakimś ogrodzeniem, żeby odpocząć i uspokoić się.

Przepocone ubranie cuchnęło, handlarz pożałował, że nie wykorzystał podróży łodzią i nie wypłukał porządnie koszuli. Teraz drżącymi rękami wywrócił ją na lewą stronę. Srebrny guzik pod szyją był brudny i matowy, napluł na niego i czyścił rękawem kurtki aż do połysku.

Zostało mu jeszcze trochę wody w butelce po samogonie, więc wylał ją na rękę i długo wcierał w potargane włosy, zanim znowu włożył czapkę.

List spoczywał w kieszeni kurtki i uwierał przy każdym ruchu.

Handlarz wyjął go i długo macał palcami jedwabny woreczek, dokładnie zasnurowany i opieczętowany.

Z miejsca, w którym siedział, nie widział dworu, domyślał się jednak, że leży on za kolejnym zakrętem, za najbliższymi wzgórzami.

Co powinien powiedzieć Amelii i Bendikowi?

Wiedział, że na pewno będą wypytywać o szczegóły.

Jak się powodzi Annie.

Czy coś jeszcze kazała przekazać.

List wydawał mu się dziwnie ciężki w dłoni. Obracał woreczek na wszystkie strony. Stwierdził, że jest bardzo ładnie uszyty, ale przy końcu ścieg się przetarł. Dziura, w którą można było włożyć palec... widocznie Anna jej nie zauważyła. A może woreczek się zniszczył podczas wędrówki przez góry? Handlarz spał przecież w kurtce wiele razy. - Pociągnął za nitkę, stwierdził, że ustępuje bez oporu.

Pomyślał: Może to palec boży. Może powinienem wiedzieć, jakie wiadomości przynoszę. Może...

Wziął worek, list, butelkę i kurtkę i przeniósł się ze wszystkim między drzewa. Usiadł pod wysoką sosną, ziemia była tu nadspodziewanie chłodna.

Potem wyjął nóż i ostrożnie rozpruł szew na końcu woreczka. Musiał mrużyć oczy, żeby odczytać drobne pismo, z trudem sylabizował poszczególne słowa, bo nie nawykł do tego. Od wielu lat czytał tylko sygnatury i pokwitowania. Tutaj aż się roilo

od słów, których z początku nie rozumiał, ale powoli, powoli sens informacji do niego dotarł.

Mężczyzna miał długie, zaczesane do tyłu włosy, które wyglądały jak wełna. Na szyi nosił wstążkę. Z tymi włosami mógł uchodzić za muzykanta, ale rosłe ciało i ogromne ręce przywodziły na myśl drwala.

Tylko że z rękawów wystawały koronkowe mankiety, delikatna materia w nieodparcie komiczny sposób kontrastowała z szorstkimi dłońmi, powiewając za każdym razem, kiedy tamten unosił kufel piwa, żeby przepić do posłańca. Handlarz zdjął swoją kurtkę, była bowiem potwornie brudna.

Przebiegły uśmiezek siedzącego przed nim pana nie uspokajał go, podobnie jak ciche, wypowiedane w zaufaniu słowa:

- To bardzo rozsądne, że przyszedłeś z tym właśnie do mnie. Jesteś, jak widać, człowiekiem, który zna życie.

Handlarz skulił się na swoim stołku, ale zaraz widok wspaniałej izby ze złoceniami wokół drzwi i okien sprawił, że znowu usiadł prosto.

- Twoja żona... Anna... ona dobrze mi zapłaciła za przysługę. Nie wiedziałem, kim ona jest... pojęcia nie miałem o tej okropnej zdradzie, dopóki nie dotarłem do Bidet i nie zapytałem o Meisterplassen. Wtedy zrozumiałem, jak wielkiego grzechu wobec ciebie, swego ślubnego małżonka, dopuściła się ta kobieta. Sumienie powiedziało mi, że przyjazd tutaj jest moim obowiązkiem... ale nie była to łatwa wyprawa, panie Erlendzie...

- No, no, dostałeś wystarczająco dużo, żeby wytrzymać trudy. Handlarz z wysiłkiem przełknął ślinę. Gospodarz przeczytał list szybko, z nieruchomą twarzą. Nie zwrócił uwagi na niezdarne ściegi na woreczku, ściegi, w które handlarz włożył tak wiele wysiłku. Na szczęście miał w sakwach podróżnych i nici najlepszego gatunku, i odpowiednie igły.

- Chyba wiesz, że te pięćdziesiąt talarów to zapłata również za twoje milczenie, przekupniu?

Tamten przytakiwał, serce biło mu głośno. Mężczyzna w koszuli z koronkowymi mankietami opróżnił kufel, po czym pochylił się nad stołem.

- Czy ty wiesz, kim ja jestem, przekupniu? Gość wyłamywał sobie palce, nie wiedząc, czy ma potwierdzić, czy zaprzeczyć.

W oczach gospodarza tego domu pojawił się jakiś lodowaty błysk, co zupełnie nie pasowało do wrażenia, jakie wywoływały koronki i aksamitny żakiet.

- Otóż jestem człowiekiem, który nie toleruje zdrady. Bardziej rad, że dajesz mi możliwość zemsty za niewierność żony. Powinieneś jednak wiedzieć, wędrowcze, że nie zamierzam okazywać litości. Dowiesz się o tym, kiedy następnym razem przyjdiesz do Al. Ale będziesz milczał, pary z ust nie puścisz, jeśli sam nie chcesz przebyć tej samej drogi, co zdrajczyni.

- Ty... Ty chyba nie zamierzasz jej zabić? Anna... ona może jeszcze być dobrą żoną. Z pewnością zechce się ukorzyć, kiedy zrozumie, że gra skończona...

Przerwał tę nieoczekiwaną mowę obrońcą, czuł, że policzki go pieką pod półśmieszkiem Erlenda. Było za późno, tamten już zobaczył, że woreczek został otwarty mimo pieczęci i wszystkich zabezpieczeń. Handlarz wiedział, jaka kara grozi za złamanie cudzej pieczęci. Prawie taka sama jak za zerwanie małżeństwa.

- Wynoś się! - warknął Erlend krótko.

Handlarz zerwał się na równe nogi. Jedzenie pozostało nietknięte, kufel jeszcze pełen chłodnego piwa.

- Zabieraj się jak najdalej z mojej ziemi! I nie waż się nigdy więcej pokazywać w tej wsi, ty nędzna kreaturo!

Handlarz zbladł, słowa spadały nań jak ciężkie kamienie. Wymamrotał jakieś pożegnanie i zdążył jeszcze zobaczyć, że Erlend ponownie rozwija list.

Ale kiedy zarzucił worek na plecy, usłyszał cichy brzęk monet.

Oczy Anny prześladowały go przez całą drogę na dół do wsi. Odczuwał nieopisaną ulgę z powodu, że nie musi się spotkać z jej matką, z kobietą, która powinna była dostać ten list i która pewnie ma takie same ciemne włosy i dziwnej barwy oczy jak wiedźma z Plassen. Mimo upału drżał, ale wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni i ogrzewał się rozkosznym uczuciem, jakiego doznawał, dotykając czubkami palców srebra.

Erlend po raz chyba setny odczytywał drobne pismo. Słowa wprost paliły go w oczy, ssało go w żołądku, ożywiając dawne uczucia, które przez co najmniej pół roku nie pozwalały mu zasypiać, jakby go ktoś przypiekał rozpalonym żelazem. Ani jednej doby nie przeżył spokojnie, ani jednej nocy ostre szpony, które Johanna wbiła w jego serce, nie dawały mu odetchnąć.

Nóż...

Nadal czuł jego ostrze w boku, trafiła go w serce mimo wszystko, trafiła z taką łatwością, że leżał potem jak zaszlachtowany wieprz na podłodze sypialni.

Wciąż od nowa przeżywał później ten moment, kiedy poczuł zimną stal, którą

wbiła w jego ciało z wielką siłą, a następnie obróciła nóż. Nie mógł się uwolnić od tej udreki. Zwycięstwo Johanny bolało go chyba bardziej niż rana zadana nożem.

W jej oczach widział tamtego dnia nienawiść.

Zaszokowany odkrył wkrótce, że ta jej nienawiść raduje go. Ze wywołuje w nim prawie taką samą rozkosz, jak zakochane spojrzenia, które rzucała mu spod rzęs w okresie narzeczeństwa. Wszystko było lepsze niż to, co przeżywał w ostatnim czasie: jej najzupełniej martwe objęcia. Nawet gniew żony podniecał go dużo bardziej niż milczące, niechętnie przyzwolenie.

Po jej ucieczce wielokrotnie przywoływał w pamięci tamto ostatnie wydarzenie, widział Johannę, znowu czuł nóż przeszywający ciało, a jednocześnie wyobrażał sobie, że to on wbija sztylet w jej białe ciało.

Ale nawet jeśli leżał z inną kobietą, to i tak nie był w stanie ugasić trawiącego go żaru na dłużej niż kilka chwil.

Johanna należy do niego, zawsze do niego należała.

Wiedział o tym, jak daleko sięga pamięcią. Ojciec mu to mówił na długo, zanim sam zrozumiał, na czym polega dorosłe życie. I Johanna na niego czekała od dzieciństwa, czekała, aż oboje będą na tyle dorośli, by przeznaczenie mogło się wypełnić.

By spełniły się z góry postanowione wydarzenia, by mogli rozpocząć życie, które zostało dla nich zaplanowane już w czasie, kiedy sami nie potrafili jeszcze wypowiedzieć ani słowa.

On pragnął tego życia, chciał je mieć, nietrudno było mu podporządkować się woli starszych. Z Johanna przychodziło wszystko, czego mężczyzna mógłby sobie życzyć. Los obdarzył ją urodą w tej samej mierze, co i bogactwem. A mieszkańcy wsi zawsze witali ją, pochylając głowy, z uśmiechami i chęcią służenia jej. Była niczym królowa. Była królową, zanim stała się kobietą.

Szarpnął arkusz, aż oderwał kawałek delikatnego pergaminu. Widocznie miała dość pieniędzy, by kupić sobie taki piękny papier. Al. Gdzieś w górach, w Hallingdal. Nigdy nie widział tego miejsca, ale orientował się, że leży po drodze do Christianii.

Pożałował, że tak szybko przepędził handlarza. Ten człowiek mógłby mu z pewnością udzielić dodatkowych cennych informacji.

Erlend jednak miał jeszcze dość poczucia przyzwoitości, by nie móc patrzeć na lisią gębę tej kreatury, na tę szumowinę żadną pieniędzy do tego stopnia, że sprzedałby własną matkę za parę sztuk srebra.

Siedział w dużym salonie przy stole, wciąż z tym nie wróżącym nic dobrego uśmiechem na wargach, a kiedy piwo się skończyło, zdecydowanym krokiem poszedł do swego pokoju, przyjemnie nagrzanego słońcem.

Podłogę pokrywały tam kosztowne dywany. Erlend wiedział, że pod jednym z nich widoczna jest jeszcze brunatna plama po jego własnej krwi.

Uśmiechnął się cierpko, ściągnął z siebie koszulę.

Przyglądał się dywanowi, patrzył na piękne wzory pochodzące z jakiegoś dawno upadłego królestwa, pasy czworokątnych symboli i stylizowane rzymskie budowle. Johanna mu o tym opowiadała, ona bardzo lubiła ten dywan. Wart był tyle samo co trzy dobre konie.

Rozpiął srebrną sprzączkę pasa, skórzane spodnie były miękkie, wygarbowane przez sprawne ręce. Używał ich do konnej jazdy albo kiedy miał z innymi mężczyznami ćwiczyć na placu sposoby walki. Leżały przed nim teraz jak zrzucona skóra węża.

Nagi rzucił się na podłogę i mocno szarpnął dywan, ciągnął go obiema rękami, aż tkanina trzasnęła, rozpruł piękne rękodzieło z takim hukiem, jakby grzmot przewalił się ponad wzgórzami.

Niezwykłe skupiony chwycił jeden kawałek dywanu i wyszarpywał długie, włochate nici ze splotów. Szło mu teraz łatwiej, kiedy wyciągał nici wątku, nie takie mocne jak osnowa, ale też ostre tak, że ocierały mu skórę, ręce zaczynały go boleć. Mimo to nie przestał, dopóki dywan nie przemienił się w stos strzępów. Wpadające przez okno słoneczne światło tworzyło wokół podartego dywanu świetlisty prostokąt.

Przymknął oczy i zdyszany legł na gołej podłodze, wkrótce ciało zaczęło się miarowo kołysać w rytm uderzeń wzburzonego serca. Poranione dłonie drażniły delikatną skórę przyrodzenia, ale on był bezlitosny, jakby sam z sobą toczył wściekłą walkę.

Kiedy wstrząsnął nim skurcz, wydał z siebie ryk niczym raniony niedźwiedź, a dywan, który zniszczył, wchłonął wszystko.

Pałace uczucie rozkoszy ogarnęło go tylko na moment, natychmiast oprzytomniał i wpełzł między chłodne pierzyny na swoim szerokim łożu.

Niedługo potrwa, a Johanna będzie koić jego żądzę. Zmusi ją do tego, już wkrótce to ona tak jak teraz ten poszarpany na strzępy dywan będzie wchłaniać w siebie każdą kropelkę wypływającą z jego ciała.

I będzie się też czuć tak samo nic niewarta jak te szmaty, tak samo podeptana i

znenawidzona.

W końcu serce Erlenda uspokoiło się, wziął znowu list Johanny i odczytywał go po raz ostatni niczym ewangelię zemsty.

Tej nocy spał spokojnie, bez snów. A kiedy brzask poranka i dziewczyny kuchenne obwieściły, że zaczyna się nowy dzień, czuł się wzmocniony i gotowy.

Jasne, upięte w koronę włosy Amelii sprawiały, że Bendik zaczynał myśleć o jedwabiu lub nowo uprzedzonym lnieniu albo o pachnących witkach pokrytej bazią wierzby. Ona cała wciąż była niczym młody wierzbowy krzew, delikatna i gibka chodziła po rozległych pokojach, ubrana w białe fartuchy, który wkładała, kiedy zajmowała się chorymi.

Teraz zawsze zaplatała włosy, robiła tak od dnia, gdy wrócili z Meisterplassen. Tam, w tamtej zagrodzie, często zachowywała się wobec niego jak młoda dziewczyna, była równie zwiewna, radosna i skora do śmiechu, jak w tych całkiem najpierwszych chwilach, które ze sobą spędzili. Wszystko skończyło się w momencie, kiedy nadeszła ta straszna wiadomość, kiedy w największym pośpiechu musieli zostawić życie, które dopiero zaczynali sobie układać, i wrócić do domu, do Lyster. Tutaj każdego ranka Amelia splotała włosy w ścisłe warkoczki i upinała je w koronę wokół głowy lub w twarde kok na karku.

Bendik odczuwał ból, gdy patrzył na tę pozbawioną wszelkiego wdzięku fryzurę, na blade, zapadnięte policzki żony. Widział, jak strasznie tęskni, jak się zamartwia, musiał własną tęsknotę i smutek ukrywać na dnie serca, żeby nie pogłębiać jeszcze jej cierpienia.

Najpierw Amelia utraciła brata bliźniaka, który musiał uciekać z kraju już w wieku dziewięciu lat, bo został wykorzystany przez buntowników i uznano go za wroga króla, choć przecież był niczego nie rozumiejącym dzieckiem. Potem zmarł Karl, człowiek, którego Amelia kochała i zawsze uważała za ojca. Choć ta śmierć przyniosła jej też wyzwolenie, bo nareszcie tajemnica wyszła na jaw i zostało z niej zdjęte przekleństwo, z jakim przez długi czas żyła. Oto bowiem nieznany syn ojca został jej kochankiem. Bendik nie był obcym chłopakiem, który przypadkiem pojawił się w Lyster, był żywym świadectwem tego, że i Karl Oppdal popełnił w młodości grzechy, które domagały się zadośćuczynienia. Nikt by jednak nie pomyślał, że kara za to, iż Bendik nie od razu powiedział, kim jest, bo chciał najpierw lepiej poznać swego ojca, doprowadzi do takiej strasznej katastrofy. Młoda dziewczyna, którą spotykał wieczorami tamtego lata, też mu nie wyjawiała swego prawdziwego imienia.

Później nosiła i urodziła dziecko, sądząc, że zostało poczęte w strasznym grzechu, przez brata i siostrę. Kiedy mogli nareszcie uwolnić się od tego brzemia, złożyły wszelkie smutki w grobie razem z Karlem, i żyć jak mąż i żona, odczuwali, że dokonał się cud. Ale Marja po śmierci Karla nigdy nie odzyskała pełnej radości życia, może wciąż żałowała, że nie wyjawiała mu prawdy, pozwalała, by trwał w przekonaniu, że bliźnięta są jego dziećmi?

Maria była częścią dawnych wspomnień, jednym z okruchów życia, które Bendik coraz częściej wywoływał z zapomnienia, by ukoić tęsknotę za córką. Próbował ukrywać to przed Amelią, nie chciał mówić o swoim smutku, kiedy ona była bliska załamania z rozpacz. Wtedy musiał jej mówić o nadziei. O nadziei i przyszłości.

Nigdy nie przywyknę, żeby widzieć cię taką, nigdy nie pogodzę się z tym, że tak strasznie cierpisz i być może będziesz cierpieć zawsze.

Twoja matka pojechała szukać brata, który nie pozostawił za sobą żadnych śladów. Przepadł gdzieś daleko na wschodzie, gdzie ludzie są tacy obcy, tacy odmienni. Marja przedziera się tam po omacku, a może już znalazła swego syna martwego? Nie przychodzą żadne wieści...

Jesteś taka samotna, moja ukochana Amelio, nigdy w twoim życiu nie było aż takiej pustki. Ja zdążyłem poznać, co to samotność i tęsknota, nigdy przedtem nie żyłem tak blisko z ludźmi jak teraz. To chyba dlatego potrafię przeżywać każdy dzień jako tako spokojnie i pracować z jasną twarzą. Ja po prostu przywykłem do tęsknoty.

Ale ty, moja kochana... boję się, że cierpienie cię zadręczy, że stanie się to na naszych oczach, a my nie będziemy ci umieli pomóc...

- Melia, kochanie... taka jesteś dzisiaj blada. Może weźmiemy bryczkę i pojedziemy odwiedzić Sigrid? Albo wybierzmy się do Storlendet? Z pewnością możemy też nieproszeni pojechać do Karlsgird, może chciałabyś odwiedzić starą kucharkę i służące? Erlend przecież wciąż nas zaprasza, żeby wstąpić...

- Nie chcę. To już nie jest mój dom. Zresztą jego też nie, teraz, kiedy nie ma Johanny! Bendik, ja już nie lubię Erlenda. Mogę zrozumieć, że jest na nią zły, ale... Jest w nim coś, co powinniśmy byli dawno dostrzec. Czy nie widziałaś tego, Bendik, kiedy układałaś się z jego ojcem w sprawie małżeństwa? Co my jesteśmy za rodzice, że daliśmy się zwieść naiwnemu zauroczeniu młodej dziewczyny?

- Chcieliśmy tylko uczynić ją szczęśliwą! Jesteśmy jedynie ludźmi, nie mogliśmy wiedzieć!

Upór w jej głosie ranił mu uszy, Bendik ciężko kiwał głową, odczuwał przecież to samo.

- On zrobił się nie do poznania... ten Erlend. Taki zimny i nieprzyjazny... tak nie dba ani o siebie, ani o gospodarstwo... nie rozumiem, żeśmy przedtem tego nie widzieli.

- Nie był taki. Naprawdę nie mieliśmy czego widzieć, Amelio. Czyniliśmy to, co uważaliśmy za dobre... dla Johanny.

- Erlend nie był dla niej dobry. To jedyne, czego teraz jestem pewna! - ucięła krótko. - Do ostatniego tchnienia będę sobie robić wyrzuty z powodu tej katastrofy.

Bendik odczuwał bezradność niemal fizycznie, jak drobne bąbelki podchodzące do gardła, dławiące. Czuł, że lada moment to on się załamie. Rozpaczliwie objął Amelię i mocno do siebie przytulił.

- Kochanie, nie możemy tak żyć! Zwariujemy od tego, utoniemy w tych nieustannych pytaniach, na które nie ma odpowiedzi! Musimy przyjmować każdy dzień taki, jaki jest, musimy być cierpliwi, kiedyś przecież przyjdzie jakaś wiadomość od niej... Amelia ukryła twarz w dłoniach, widział teraz tylko jej upięte włosy.

- Nie pojmuję tego... Że dotychczas nie przysłała żadnej wiadomości... że nie kocha nas dostatecznie mocno, by nam oszczędzić tej udręki.

- Nasza Johanna jest dumna. Sama dobrze wiesz, bo to po tobie odziedziczyła tę siłę. Może myśli, że będziemy robić jej wyrzuty... Jej postępek przecież nie przysporzy! rodzinie honoru.

- Ale wciąż nie rozumiem... dlaczego ona z tym nie przyszła do nas? Dopiero teraz wiem, że nie było jej łatwo w małżeństwie. Ludzie gadają... o awanturach. Wciąż z trudem do mnie dociera... że on ją tak traktował... bił... a my niczego się nie domyślaliśmy!

- Mnie też trudno w to uwierzyć. I nigdy sobie nie wybaczę, że nie widziałem, co się święci, zanim doszło do nieszczęścia...

Amelia kołysała się w przód i w tył w ramionach Bendika, dobrze było tulić ją do siebie, jego bezradność doznawała pewnego ukojenia w ramionach żony, a kiedy uświadomił sobie, że i ona się trochę uspokoiła, odetchnął z ulgą.

- Ona wróci, zobaczysz. Pewnego dnia dostaniemy wiadomość...

- Ale gdzie jest? Rozesłaliśmy przecież ludzi wszędzie, pytali, szukali...

- Jeśli nasza Johanna chciała się ukryć, to zrobiła to skutecznie. Ta dziewczyna ma w sobie moc, która mnie przeraża... kiedy usłyszałem, że pchnęła Erlenda nożem,

byłem przerażony, ale też zadowolony.

- Nie uległa mu mimo wszystko - szepnęła Amelia z dumą. Ale uśmiech, który posłała mężowi, świadczył, że łyży dławią ją w gardle.

- Ona jest z takich, co dadzą sobie radę, nie sądzisz? - zapytał Bendik. Amelia zdecydowanie przytaknęła.

- Owszem, nasza mała córeczka da sobie radę... Twarz żony wydała mu się jakaś obca i daleka, Amelia patrzyła na wyszorowaną do czysta podłogę w izbie chorych, na nowe meble o zgrabnych smukłych kształtach. Spóźniony prezent ślubny, którego Johanna nie zdążyła zobaczyć.

- Nasza mała Hanna... przecież mamy tylko ją jedną. Nie wolno nam tracić nadziei, przecież mamy tylko ją...

- Ja nigdy nie stracę nadziei - odparła Amelia stanowczo, gładząc jego kark. - Trudno zliczyć, ile razy zadawaliśmy sobie nawzajem te pytania, Bendik. I wiem, że będziemy to nadal czynić. Ale pewnego dnia się dowiemy... pewnego dnia. Każdego ranka budzę się z myślą, że może to właśnie będzie dzisiaj... że ona wejdzie na podwórze, uśmiechnięta... Mam nadzieję, że on jest dla niej dobry, ten włóczęga...

Amelia westchnęła, jeszcze raz pogłaskała ostrożnie kark męża. Stwierdziła, że jego mięśnie są bardzo napięte, bardzo twarde.

- Chyba jest., on ma w sobie coś takiego, ten chłopak...

- Już nie taki chłopak, moim zdaniem. Jest mężczyzną od dnia, kiedy zmarł jego ojciec...

Amelia przytuliła się do męża jeszcze mocniej, zamknęła oczy.

- Kto by pomyślał, że można tak strasznie skomplikować sobie życie... Gdyby moja mama wiedziała o tym wszystkim... gdyby mama...

- Ona także pewnego dnia wróci, Amelio. Powinniśmy w to wierzyć mimo wszystko...

- Tyle lat, mój Boże... Coraz trudniej mi zachować wiarę. Coraz trudniej... Och, Bendik, z Johanna to się nie może powtórzyć! Nie może tak być, że lata będą mijać, a my wciąż w oczekiwaniu, aż w końcu braknie nadziei.

- Nawet tak nie mów. Ja w ogóle nie dopuszczam do siebie takich myśli. Johanna znajdzie jakiś sposób. Ona musi wiedzieć, że my tylko czekamy na znak. I jeśli ona nie może wrócić, to my pojedziemy do niej!

- Tak - szepnęła Amelia. - Gdziekolwiek jest, jakikolwiek grzech popełniła przeciwko Bogu i przeciwko sobie... wyruszę natychmiast, gdy tylko się dowiem.

- Oczywiście, moja kochana. Teraz jednak możemy tylko czekać.
- Jak długo? Mówiła cicho, z desperacją, ale on nie potrafił jej odpowiedzieć.
- Do wieczora jeszcze daleko, może byśmy zrobili mały spacer i spróbowali się trochę rozerwać. Może poziomki na starej polanie zaczynają dojrzewać, Amelio? Nie chciałybyś, żebym ci nazbierał?

Amelia uśmiechnęła się blado, dobrze pamiętała to miejsce nad rzeką. Pamiętała, jakie słodkie były poziomki tamtego lata i jakie cudowne uczucia ją wówczas przepełniały. On robił wtedy fujarki z wierzbiny i wygrywał dla niej różne melodie, wabił ją do siebie niczym leśny bożek ze starych baśni. Nigdy nie zapomniła tych spotkań, nawet wtedy, gdy wstyd i ból były najdotkliwsze.

Podniosła się z miejsca i otarła twarz. Bendik jeszcze i teraz był urodziwy niczym bożek Pan.

- Chodźmy. Vildegard poradzi sobie bez nas, świat także. Mąż uśmiechnął się do niej, zauważył, że nie jest jej już tak ciężko. Zawsze, kiedy mogli ze sobą porozmawiać o trawiącej oboje tęsknocie, było im potem trochę lżej. Kiedy Amelia mówiła o Johannie, córka stawała przed nim jak żywa, przepełniała go wtedy jakaś nowa siła i znowu miał odwagę wierzyć, że wszystko skończy się szczęśliwie.

Kiedy jednak jechali przez wieś i spoglądali w stronę starego domostwa rozłożonego na zboczu, zobaczył, że ciemne chmury zbierają się nad domem jego ojca i że Amelia na ich widok odwraca głowę.

Gospodarzem był tam teraz Erlend i miał nim pozostać, jeśli nie zażąda rozwodu i nie zgodzi się na podział majątku.

Tym razem nie jechali do dworu, chcieli zatrzymać się nad rzeką, gdzie wierzbowe zarośla wciąż pokrywała świeża zieleń.

- Chcę się z tobą kochać w naszym dawnym miejscu - szepnęła, ujmując go za rękę.

Wydało mu się, że czuje pod plecami miękką trawę, a szum rzeki mieszał się ze strumieniem przenikającym jego ciało.

- Moja słodka Melia... na zawsze pozostaniesz taka jak wtedy. Tym razem uśmiech pojawił się również w jej oczach, powoli zaczęła rozpinać haftki u jego koszuli.

- Nie wiem, jakbyśmy sobie poradzili z życiem, gdybyśmy nie mieli siebie nawzajem - powiedziała cicho.

- Bez ciebie w moim życiu nie byłoby nic cennego - odparł gorączkowo, a ona

wiedziała, że ma na myśli nie tylko dobra materialne i nie miejsce w pierwszej ławce w kościele...

- Nie wiem, dokąd państwo pojechali, ale wzięli bryczkę i nowego konia, jeszcze przed obiadem - tłumaczyła dziewczyna, która grabiła skoszoną trawę na dziedzińcu i zbierała ją na kupkę pod ścianą obory.

Erlend zaklął pod nosem, poluzował lejce i zawołał do dziewczyny:

- Powiedz Bendikowi, że muszę z nim pogadać, jak najprędzej! Będę na nich czekał z kolacją wieczorem w Karlsgard, jeśli nie odmówią!

Dziewczyna dygała nerwowo i mocno ścisnęła grabie. Twarz miała dziobatą po przebytej ospie, ale Erlend nieoczekiwanie stwierdził, że ciało pod letnim ubraniem jest bardzo ponętne. Jakby tak zarzucić jej worek na głowę, to...

Ściągnął lejce i cmoknął na konia, po czym wyprowadził niespokojnego ogiera przez otwartą bramę. Drogę w dół do kościoła przebył pełnym galopem. Dobrze było wiedzieć, że potrafi jeszcze tak pokierować koniem, że pot i kurz oblepiają boki wierzchowca.

I jeździec, i koń pokryci byli pianą, kiedy Erlend przed wejściem do karczmy ściągnął lejce tak gwałtownie, że kamienie poleciały spod kopyt. Przywiązał zwierzę do żelaznego haka w narożniku domu i wtoczył się do środka.

- Wódki! Najlepszej, jaką masz! Właściciel Dosen, mrużąc oczy, przyglądał się znajomej sylwetce, a w spojrzeniu, jakie posłał Erlendowi, nie było przyjaźni, wiedział jednak, że nawet jeśli ten bogacz jest w bardzo złym humorze, to nigdy nie żąda niczego, za co nie zamierza płacić.

Dlatego sięgnął pośpiesznie po niemiecki kryształowy kieliszek, jeden z trzech najkosztowniejszych, które stały nad paleniskiem w izbie niczym mieniące się diamenty w koronie jego życia.

- Jeszcze - burknął Erlend, wypiwszy pierwszą porcję. Karczmarz chodził ostrożnie po izbie, jakby się bał. W kącie, gdzie brat księdza ze Starym Kapralem wspominali dawne czasy, zaległa cisza.

- Głowę bym dał, że pan ma lepsze trunki w swojej piwnicy - rzekł ostrożnie karczmarz, gdy Erlend opróżnił kieliszek po raz czwarty. Oczy mu pociemniały, spojrzenie omiatało izbę, karczmarz poczuł chłód na plecach.

- Tak właśnie jest - burknął Erlend. - Ale ty powinienesz się cieszyć z każdego miedziaka, który z mojej kieszeni przechodzi do twojej, karczmarzu.

Gospodarz mierzył wzrokiem porządnie już podpitego gościa.

- Z czegoś trzeba żyć - odparł spokojnie. - Ale nawet ja nie chciałbym zarabiać na nieszczęściu innych.

Erlend zerwał się z miejsca i wyrzucił głowę w niską belkę nad stołem. Potok wściekłych słów sprawił, że brat księdza w kącie wykrzywił wargi.

- Nie wyobrażajcie sobie, że Erlend Storlendet podda się tak łatwo! Ta zabita dechami wiocha przekona się niebawem, że każdy, kto igra z Erlendem Storlendet, prędzej czy później będzie tego żałował! I mogę cię zapewnić, karczmarzu, że stanie się to prędzej niż później! Już nie tak długo będziecie mogli się ze mnie naśmiewać i nazywać mnie rogiaczem!

Karczmarz westchnął ciężko i gdy tylko Erlend znowu wypił i wyszedł, natychmiast zabrał kieliszek. Szarym gałgankiem wycierał starannie brzegi, aż usunął wszelki ślad po wargach Erlenda. Ostrożnie wspiął się na palce i ustawił kieliszek na miejscu obok dwóch innych.

- Ten człowiek w końcu zwariuje. Widocznie Erlend Storlendet nie potrafi dźwigać swej hańby...

Brat księdza wolno kiwał głową.

- To żałowana historia, naprawdę bardzo smutna historia o niewieściej zdradzie i grzechu rozpusty.

- Przecież obaj znaliście Johannę. - Głos karczmarza przeciął pograżoną w półmroku izbę. - Nie gadajcie niczego, czego byście musieli żałować, kiedy ona do nas wróci!

Starcy w kącie pochylili swoje łyse głowy i chichotali z ostrzeżenia karczmarza.

- Johannę Karlsgard to my już więcej nie zobaczymy. Może ona i miała anielską postać, ale przecież wszyscy widzieli tę jej ciemną grzywę, żeby nie wiem ile srebra i ozdób w nią powpinała. Nie, trzeba raczej zapłakać nad losem Erlenda. Tak to się zawsze kończy, jak chłop nie umie w swoim czasie wziąć baby w cugle...

Karczmarz prychnął i wyrwał puste kufle z rąk starców.

- Idźcie sobie stąd. Nie ma co tak siedzieć i mleć ozorami po próżnicy. Nie mam już dla was czasu, muszę doglądać gospodarstwa, w pokojach na górze są goście...

Niezadowoleni starcy wyszli z gospody. Wiedzieli jednak, że znowu tu wrócą. Nie bacząc na zachowanie karczmarza i kompletny brak zrozumienia z jego strony, wrócą, bo lepiej jest siedzieć tutaj w dobrym towarzystwie, niż w samotnej izdebce

czekać na śmierć.

Człowiek, który żył z tego, że karmił głodnych i oferował dach nad głową utrudzonym wędrowcom, z ciężkim sercem zamknął drzwi do starej piwnicy. Dostrzegł w spojrzeniu Erlenda Storlendet coś, czego nie było w nim nawet w tym najgorszym okresie, kiedy cała wieś wyśmiewała porzuconego męża.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Amelia i Bendik wrócili do domu w czasie, kiedy słońce zniżyło się już nad grzbiety wzgórz, a w gęstym lesie kładły się długie cienie. Wracali przepełnieni radością, jaką może w człowieku wzbudzić jedynie lato. Rozmawiali o dobrych dniach swego życia, o czasach, kiedy śmiech małej Hanny wypełniał dom od rana do wieczora, o tym, jacy wtedy byli dumni i zadowoleni. Odbudowali stary dwór, powoli zbierali grosz do grosza zawsze z jednym tylko celem przed oczyma: bogactwo domu ma służyć dzieciom, zapewnić im bezpieczeństwo na wypadek nieurodzajów i głodu, dać im wszystko to, czego człowiek potrzebuje do godnego życia.

- Może za bardzo przejmowaliśmy się tymi sprawami, Amelio. Może za wiele uwagi poświęciliśmy uprawie roli, własności... może to było... jak szyderstwo z tego, czym naprawdę jest życie?

Amelia pogłaskała jego ogorzałe policzki i powiedziała:

- Nie... nigdy nie zapominaliśmy o prawdziwej wartości życia. Johanna dostała wszystko, czego potrzebowała. Nigdy niczego jej nie brakowało. Miłości także nie. Zresztą ktoś taki jak ty, ktoś, kto zna przekleństwo ubóstwa, potrafi cenić prawdziwą wartość, czyż nie?

- Możliwe - szepnął Bendik, patrząc żonie w oczy. Potem położyli się oboje na trawie, spoglądali w niebo, słuchali śpiewu ptaków i szumu rzeki. Dzień miał się ku końcowi, kiedy się ocknęli, zaczęli znowu rozmawiać, Bendik łaskotał wargi Amelii żdźbłem trawy. Koń niecierpliwiał się pod drzewem, ruszył przed siebie natychmiast, gdy tylko go odwiązali i sami wsiedli do bryczki.

- Powiedział, że oczekuje was wieczorem - tłumaczyła dziewczyna szeptem. Amelia dziwiła się jej skrępowaniu, dlaczego ta mała spuszcza wzrok? Zaraz jednak domyśliła się, że jej potargane włosy i pognieciona suknia mówią same za siebie. Rozbawiło ją zmieszanie dziewczyny. Cóż to za dziwny świat, w którym nawet taka drobna przygoda ślubnych małżonków nie znosi dziennego światła?

- Dziękuję ci, Ingo - rzekła krótko i pogłaskała nierówną skórę na policzku

służącej.

Inga zarumieniała się jeszcze bardziej, nigdy się chyba nie przyzwyczai do tego, że jej chlebodawcy tak bardzo się różni od innych gospodyń. Choć Amelia utraciła córkę i ludzie paskudnie gadają o całej rodzinie, to Inga nie przestanie okazywać wdzięczności za to, że może służyć akurat tutaj, w Vildegard. Poza tym lubiła usługiwać starym i chorym, lubiła nawet ciężką pracę we czwartki, gdy to gospodyni kazała prac w ługu białą pościel tak, żeby aż w oczy raziła.

- Pewnie wrócimy późno - zawołał Bendik, kiedy znowu siedzieli na bryczce, gotowi do drogi. - Jak tylko skończysz wieczorny obrządek, to zaraz się kładź, nie czekaj na nas.

Dziewczyna dygnęła jeszcze raz. Oczy miała błyszczące, a policzki rozpalone.

Ona jest zakochana, przemknęło Amelii przez głowę. Boże drogi, ta nieszczęsna dziewczyna zakochała się w moim mężu, a swoim chlebodawcy!

Nie potrafiła jednak powstrzymać się od uśmiechu. Bendik mruczał coś niezrozumiale i wyglądał na zakłopotanego, gdy wsunęła mu rękę pod pachę i podzieliła się swoim odkryciem.

- Wciąż jeszcze jesteś młodym kawalerem, mój drogi... Naburczał na nią, ale nie mógł sobie odmówić, żeby nie cmoknąć warg, które mu podsunęła.

Amelia z przyjemnością patrzyła na konia wolno wspinającego się po zboczu. Mieli czas, dużo czasu, słońce już zaszło i wieś pogrążyła się w niebieskawym świetle letniego zmierzchu.

- Dziękuję ci za dzisiejszy dzień - szepnęła. - Już dawno nie byłam taka radosna jak dzisiaj... mimo wszystko.

Bendik poklepał ją po kolanie pod cienką jedwabną suknią, najpiękniejszą, jaką uszyto jej w mieście dzięki protekcji radczyni.

- Zobaczysz, to lato odmieni nas wszystkich - odparł zadowolony. Erlend musiał trzymać służbę twardą ręką, bo pot perlił się na czole kucharki, kiedy Amelia wślizgnęła się do swojej dawnej kuchni i chciała spróbować świeżego jedzenia. Teraz, wczesnym latem, ludzie zadowalali się przeważnie chlebem i solonym mięsem, czasem tylko pojawiały się gotowane warzywa i mleko przynieszone z pastwisk. W Karlsgard jednak Erlend widocznie przywykł do zwyczajów z czasów Amelii i Bendika, do późnych, obfitych posiłków, często w towarzystwie sąsiadów i służących.

Kucharka nerwowo wycierała ręce w fartuch i jękając się, przepraszała za

bałagan w kuchni, za to, że na stole leżą przygotowane do pieczenia żytnie chlebki.

- Pojęcia nie miałam, że on zaprosił gości. Powiedział mi o tym dopiero co, kiedy zabrałam się do szorowania starych skopków na mleko. Chciałam, żeby Sivert je wyreperował, a tu...

- Uspokój się, matko. Przecież nie jestem jakimś specjalnym gościem. I nie przejmuj się, że podasz dziś wieczorem proste jedzenie. Już my wiemy, co potrafisz!

- No, ale skoro państwo nareszcie znaleźli się w domu... Kucharka spuściła oczy, to, co trzeba, zostało powiedziane.

Po chwili zdecydowanym ruchem uniosła głowę. Policzki ma wciąż takie pulchne i rumiane, pomyślała Amelia.

- Wybaczcie biednej, starej babie, ale ja panią znam od tak dawna... ośmielę się powiedzieć, Amelio... że to wy jesteście gospodarzami Karlsgard. Powinniście tu wrócić. Bo jak nie... bo jak nie, to tu może niedługo nikogo nie być...

Amelia nasłuchiwała, czy w sieni nie rozlegną się kroki Erlenda. Bendik bez słowa wyszedł do salonu. Kiedy usłyszała, że Erlend też tam jest, objęła kucharkę i przytuliła do piersi.

- Jesteś dla mnie prawie jak matka... Ja też za wami tęsknię. Ale tak musi być... młodzi powinni mieć swoje...

- Tak, tylko żeby mała Hanna wróciła! To wszystko jakoś by się ułożyło... biedna mała gołąbeczka, że też akurat jej musiało się to przytrafić. Ale pamiętam wrony na kościelnej wieży w dniu wesela...

- Powinłam była cię posłuchać wtedy... a ja robiłam ci wymówki, kiedy ostrzegałaś mnie przed Erlendem...

- Wszystko od początku szło tak, że to się musiało stać - mamrotała gniewnie kucharka. - A poza tym trudno przegonić wrony, które mają gniazda tak wysoko.

Amelia uśmiechała się blado.

- Ale ty w każdym razie jesteś nam życzliwa, ty nie możesz opuścić Karlsgard, matko. Musisz mi obiecać, że zostaniesz, bo jak nie, to będę myśleć, że straciłaś już nadzieję... nie wierzysz, że twoja młoda pani kiedyś do nas wróci. A przecież, kiedy wróci, będzie potrzebowała przyjaciół.

- Zdradziłam ją - szeptała kucharka, ocierając oczy fartuchem.

- Wszyscy ją zdradziliśmy. A już mąż najbardziej. Wierzę, że dowiemy się na ten temat więcej, kiedy pewnego dnia zdecyduje się ostatecznie z nim zerwać.

- Wtedy tego drania naprawdę szlag trafi - syknęła kucharka i pogroziła pięścią

w stronę drzwi.

Amelia musiała się uśmiechnąć z goryczą. Erlend to naprawdę dziwny człowiek, nigdy nie wiadomo, czego można się po nim spodziewać. Ale ona zawsze go lubiła. Od tamtego dnia, kiedy jako siedmiolatek przyszedł, żeby zaprosić małą Hannę na spacer i z poważną miną obiecał jej ojcu, że odprowadzi ją całą i zdrową.

Obserwowała go z przyjemnością, jak wyrastał na pięknego młodzieńca. Pamiętała, ile to razy Bendik leżał i uśmiechał się uradowany wszystkimi planami na przyszłość, jakie snuli oboje młodzi. Oboje mieli spore majątki, a ich pola odgradzało od siebie tylko kamienne osypisko. Storlendet i Karlsgird miały niegdyś jednego właściciela. Może właśnie nadszedł czas, żeby uprawić też ten kamienisty ugór, zastanawiał się Bendik.

Coś musiało się z nim później stać.

Coś paskudnego i diabelskiego musiało razić jego serce i umysł, coś, co zmieniło obraz tego jasnowłosego księcia, na którego widok Johanna rozpromieniała się zawsze niczym słońeczko.

Co nieco zauważali, dostrzegali jakiś nowy ton między młodymi, widzieli, że Johanna siedziała milcząca i smutna nawet wśród przyjaciół.

Myśleli, że to może żal, wynikający z nowego statusu mężatki i gospodyni. Wyprowadzili się jednak do Meisterplassen w przekonaniu, że właśnie tak życie powinno się układać. Zwłaszcza że nikt chyba nie słyszał o młodszych niż oni rodzicach, którzy mieliby osiąść na dożywociu!

Erlend ich oszukał, nigdy by się nie domyślili, jakie to cienie zbierają się nad młodym małżeństwem. Nie przyszło im to do głowy, dopóki nie okazało się, że jest za późno.

Jakie to szczęście, że nie zdążyli sprowadzić na świat dziecka, pomyślała Amelia, kiedy Erlend wpił w nią rozpalony wzrok i usłyszała, jak wyrzuca z siebie złe, nienawistne słowa.

- Nadszedł czas, żebym odzyskał honor w oczach wsi. Dłużej nie będę tego znosił. Waszej córki nie ma już ponad pół roku. Teraz moja cierpliwość się wyczerpała. Wycierpiałem więcej, niż całe Karlsgard jest w stanie mi wynagrodzić!

- Połowa majątku wróci do nas, wiesz o tym! Erlend uśmiechał się złośliwie.

- Owszem, Bendik, wiem, że prawo tak stanowi. Ale czy ty się nie wstydzisz tego, co zrobiła twoja córka? Może chciałbyś mnie stąd wyrzucić? Czy hańba, jaką na mnie ściągnęła, nie jest może wystarczająco duża?

Bendik jęknął, Amelia zobaczyła, że palce zaciśnięte na ołowianym kufle zbielały.

- Ale gdyby ona wróciła, Erlendzie... to chyba ją przyjmiesz? Erlend opróżnił swój kufel i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w teściową.

- To wtedy nauczę ją tego, czego ty jej nie nauczyłaś o obowiązku i odpowiedzialności kobiety, Amelio! Bendik zerwał się z miejsca i pociągnął za sobą żonę. Palec wskazujący wycelował w swego zięcia.

- Miej się na baczości, Erlendzie Storlendet! Jeśli jeszcze jesteś moim zięciem, to tylko dopóty, dopóki nie odnajdziemy Johanny! Pewnego dnia to nastąpi, a wtedy nie zabawisz już długo w Karlskird.

- Twoja córka jest dziwką! - syknął Erlend w odpowiedzi. - Ten fagas, z którym uciekła... syn mordercy, brudny włóczęga... Powinna być szczęśliwa, jeśli nie podre na kawałki pozwu rozwodowego!

Amelia mocno ścisnęła ramię Bendika, spostrzegła, że twarz męża niebezpiecznie poszarzała. Ale Erlend Storlendet miał opinię człowieka nieskorego do bójki. Zresztą był bardziej pijany, niżby na to wskazywała jego wyprostowana sylwetka na wysokim krześle.

- Milcz, Erlendzie! Bo my jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy rozumieją twój ból i tęsknotę. Nie zachowywałeś się wobec Johanny jak człowiek honoru! Gdybyś był mężem, jak trzeba, nigdy by cię nie opuściła w taki sposób... a jeśli ona wróci, to musisz znaleźć inny ton... porzuć tę wojenną pieśń, którą nam tu próbujesz odśpiewywać!

Erlend zaśmiał się cicho. Bez lęku przyjmował wściekłe spojrzenia Bendika, odpowiadał mu tym samym. Potem umilkł, nagle, i spuścił wzrok.

- Przepraszam. Amelia otworzyła usta, nie wierzyła własnym uszom. Erlend chwycił dzban i znowu napełnił kufle.

- Usiądźcie, porozmawiajmy poważnie. Johanna wepchnęła nas wszystkich w straszną pułapkę. Musimy postarać się jakoś to rozwiązać, a najlepszym na to sposobem będzie odnalezienie jej. Żałuję swoich słów, jestem po prostu... zrozpaczony. Mimo wszystko mam dla was dobrą nowinę.

Mrugnął znad kufła do Amelii. Poczwała w żołądku lodowaty ucisk.

- Czy ty wiesz... słyszałaś o niej, Erlend? Erlend, nie baw się ze mną w kotka i myszkę!

Erlend ostrożnie odstawił kufel, otarł pianę z ust i zadowolony wsunął ręce

pod haftowaną kamizelkę.

- Możliwe, że otrzymałem wiadomości. Możliwe, że jeden z moich...
wysłańców... słyszał coś ciekawego.

- Gdzie? Kiedy? Czego się dowiedziałeś?

Erlend śmiał się z ich ciekawości i zdenerwowania. Niemal czuł, że ich serca wiją się w jego rękach.

- Powiedziano mi... że Johanna żyje. Długa pauza, podczas której opróżnił półtora kufła piwa. Dokładnie w chwili, kiedy Amelii wydawało się, że serce jej pęknie, Erlend czknał i wybełkotał:

- Chcę sam pojechać i sprowadzić ją do domu. Kiedy wrócimy... byłoby najlepiej, żebyście nie wiedzieli, dokąd jeździłem. Nie chcę, żeby ludzie gadali, że Erlend Storlendet musiał błagać żonę o łaskę. Będę więc wszystkim rozpowiadał, że wybieram się do Bergen na letni ting. Ale wy... wy powinniście poznać prawdę... i przygotować się. Dopóki nie wrócę, macie zamieszkać tu, w Karlsgard, i pilnować majątku. Potem wyniesiecie się do Meisterplassen, a Vildegard trzeba oczyścić z wszelkiego paskudztwa, którym tak się lubicie zajmować.

- Gdzie ona jest? Powiedz mi, bądź tak dobry! Głos Bendika się załamał, Erlend z obojętnym uśmiechem słuchał błagań zrozpaczonego ojca.

- Jak powiedziałem... ona wciąż jest moją żoną. Ja powinienem wziąć na siebie odpowiedzialność, czyż nie?

Teraz jego głos był uwodzicielsko łagodny. Amelia czuła, że gniew ją dławi, była bliska płaczu. Ten człowiek ją obraża, obraża i zmusza, by płakała krwawymi łzami z powodu tych chwil, kiedy w cichości serca czyniła Johannie wymówki za ból, którego córka jej przyczyniła.

- Johanna miała swoje powody, żeby od ciebie uciekać - syknęła. - Wystarczy na ciebie popatrzeć, Erlend, żeby ją zrozumieć.

Odpowiedział jej głośnym śmiechem.

- Głupstwa wygadujesz, Amelio. Sama przecież mówiłaś, że twoja córka musiała zostać zastraszona albo podstępem doprowadzona do zguby przez tego syna mordercy. Tak mówiłaś, nazywałaś ją dużym dzieckiem.

- Niech mi Bóg wybaczy pomyłkę, Erlendzie! I niech Bóg sprawi, żebyś nie spotkał tej Johanny, którą masz zamiar upokorzyć!

- Upokorzyć, szanowna teściowo? Ja nigdy nic Johannie nie zrobiłem, wprost przeciwnie, próbowałem ją bronić przed tą całą zgnilizną, w której ty pozwalałaś jej

dorastać! U mnie była traktowana jak ktoś, kim w istocie była! Dopóki na to zasługiwała, okazywałem jej szacunek i cześć! I może nadal to mieć, jeśli tylko zaakceptuje reguły.

Erlend podziękował im za wizytę. Zobaczył dokładnie to, co chciał zobaczyć.

Przekonał się, że teściowie prawie nic nie wiedzą na temat małżeństwa swojej córki, nie wiedzą też ani gdzie się teraz podziewa, ani z kim. Pojęcia nie mieli o dziecku, które jest w drodze. Widocznie list spoczywający w jego kieszeni jest jedynym, który wysłała. Przez chwilę bał się, że już wcześniej dostali jakąś wiadomość i ukryli to przed nim. Ale ich zaskoczenie było szczere, ich lęk tak wyraźny, że nie mógł być udawany.

Nie mieli pojęcia o losie Johanny, podobnie jak on sam, zanim pojawił się ów przekupień.

Erlend siedział do późnej nocy i pocieszał się rozmyślaniami na temat spotkania z żoną. Nienawiść z powodu zdrady paliła się równym płomieniem na dnie jego serca, zamykał oczy i wyobrażał sobie przerażenie, jakie pojawi się na twarzy przeklętego syna mordercy, kiedy on wyrwie mu serce z piersi.

Tłukło mu się po głowie jakieś odległe wspomnienie, dwóch chłopców w dzikiej walce, gniewne słowa dorosłych, przywołujące ich do porządku, i przerażona buzia dziewczynki okolona ciemnymi lokami.

Powinien był go wtedy zabić, powinien był wycisnąć życie z tego obcego przybłądy.

Ale nie jest jeszcze za późno.

Może nawet teraz, kiedy obaj są dorosłymi mężczyznami, sprawi mu to większą przyjemność.

- Czy ty myślisz, że on naprawdę wie, gdzie jest Johanna? Głowa Amelii wydawała się taka lekka na jego piersi, warkocz był jak żywy, przyjazny wąż na skórze brzucha. Bendik jedną ręką trzymał ostrożnie jej kark, drugą masował wrażliwą skórę pod włosami.

- Nie wiem nic ponad to, co on powiedział, ale... tak, myślę, że czegoś się dowiedział. Może któryś z ludzi wysłanych przez nas wrócił z wiadomościami?

- Tylu szukało, wprost nie mogę uwierzyć, że nikt się na nią nie natknął. Przeczesałoby przecież całą okolicę.

- Jeśli Johanna chciała zniknąć bez śladu, to potrafiła to zrobić - mruknął Bendik cierpko.

Amelia musiała się uśmiechnąć. Zresztą dzisiaj przychodziło jej to z większą łatwością niż kiedykolwiek w ciągu wielu ostatnich miesięcy.

- Myślę, że on ją znajdzie. Sprowadzi ją do domu, zanim lato dobiegnie końca, jestem tego pewna!

Bendik potakiwał w milczeniu.

- Ale nie będzie wobec niej miłosierny, ściągnęła przecież na niego taki wstyd...

- To się chyba na nic nie zda. Erlend może kłąć, wściekać się i grozić ile zechce. Jeśli tylko Johanna wróci do domu... my tu będziemy. A wtedy Erlend Storlendet przekona się, że wybrał sobie wrogów w złej rodzinie - rzekła Amelia wojowniczo.

- Ten człowiek... ten Ravi, który zniknął razem z nią... czy ty myślisz, że naprawdę...?

Amelia skinęła głową opartą na jego piersi.

- Tak. Myślę, że między nimi coś było. Z całą pewnością. Bo w przeciwnym razie, dlaczego by wyjeżdżała w takiej tajemnicy, że nawet do nas nie wstąpiła?

- Nie mogę powiedzieć, że mam do niego zaufanie - mruknął Bendik cicho. Amelia przechyliła głowę i pocałowała go w szyję.

- Wiem. Ty go nigdy nie lubiłeś. Możliwe, że ona się tego domyślała, mój drogi. Czy nie pamiętasz, jaki zdesperowany może być człowiek, kiedy jest młody i zakochany?

Musiał przyznać jej rację, chociaż wspomnienia trochę zbladły.

- Nie pojmuję tylko, jak to możliwe, że ona nie zwróciła się do nas o pomoc. Przecież zrobilibyśmy wszystko, przeprowadziłoby się rozwód.

- Rozwód... wieś miałyby o czym gadać przez wiele lat.

- No, nie jest to aż takie nadzwyczajne wydarzenie. Johan Fiata w zeszłym roku odczytał na tingu postanowienie o rozwodzie i ludzie już dawno o wszystkim zapomnieli.

- To co innego... rozwodził się mężczyzna. A ona była córką biednego drwała.

Bendik kiwał głową.

Właściciele dworów, bogaci ludzie, znajdują zazwyczaj inne rozwiązanie. Stać ich na to, by zapłacić za swoje niemoralne postęпки, stać ich na to, by co roku na tingu wymieniano ich nazwisko jako skazanych na grzywny i specjalny podatek za złe prowadzenie się.

- Johanna nie ma wyjścia. Jeśli Erlend ją odnajdzie, będzie musiało dojść do ostatecznych decyzji. Ona pewnie już wie, że nie można uciekać przez całe życie. Nie mam wątpliwości, że za nami tęskni...

- Tak, na pewno. Ale jest taka dumna... Przytulili się do siebie mocno w ten czerwcowy wieczór.

Tutaj w Vildegard, w mocno spranej pościeli, noce były zawsze spokojne. Chorzy spali w niskim budynku, gdzie ustawiono dla nich proste łóżka, a w razie potrzeby układano sienniki na podłodze. Teraz znajdowali się tu przeważnie chorzy starcy, którzy nie mieli już sił, żeby w domach swoich krewnych zarobić na jedzenie, nawet w lecie. Kościół płacił za zupę, jaką dostawali trzy razy dziennie, ale Amelia i Bendik dokładali do tego a to mleko, a to ryby, a nawet solone mięso od czasu do czasu. Mimo wszystko staruszkom wiodło się tu nieźle. Raz w tygodniu dostawali jeszcze po kieliszeczku wódki. Amelia uważała, że chroni ich to przed kłopotami żołądkowymi.

- Teraz chyba zasnę - mruknęła cicho. - Zasnę i będę spać, dopóki Johanna nie wróci do domu...

Bendik uśmiechnął się blado nad jej głową. Wiedział, że on długo jeszcze nie zmruży oka.

Melia wydawała mu się czasami taka maleńka. Za dnia zaradna i zdecydowana, kręciła się po obejściu w swoich pięknych, prostych sukniach, w nocy stawała się niczym bezbronny kociak, którego musiał nieustannie ogrzewać ciepłem własnego ciała.

Erlendl wstąpił do Dosen, gdzie długo i głośno opowiadał, jakie to ma interesy w Bergen, przyjął nawet listę zamówień od karczmarza i własnej matki. Tyle rzeczy można było zdobyć teraz, kiedy nastąpiły lata nieurodzaju i ludzie sprzedawali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a nie nadawało się do jedzenia. Tutaj, nad długim, wrzynającym się daleko w ład fiordem, lata na ogół bywały mokre, a rośliny przywykłe do braku słońca. Zawsze dojrzewało jakieś ziarno, a warzywa, które uprawiali, rosły wystarczająco duże, by wysiłek się opłacił. Grochu, cebuli, mieszanki zbóż i lnu nie trzeba było kupować, zresztą wełny też nie, ani suszonego mięsa, ani żadnych wyrobów mlecznych. Potrzebowano natomiast soli, a ludzie stanu Erlenda także cukru. Kupowano tytoń, pieprz, dobrą wódkę, lepsze tkaniny, igły, stal na nowe kosy, czasem Biblię dla nowożeńców™ w mieście można też było kupić piękne futerka z zimowych łowów oraz srebro.

- Z domu wyruszę konno, dalej nad fiordem czeka na mnie wóz. Mam miejsce tam i z powrotem. Jeśli wszystko ułoży się po mojej myśli, wyprawa nie powinna mi zająć więcej niż kilka tygodni.

Życzyli mu szczęśliwej podróży, po czym odjechał, wzbijając za sobą obłok kurzu. Koń szedł z pewnym wysiłkiem, dźwigając jeźdźca i ciężkie juki, ale miało to nie trwać długo.

Zostawiali wieś za sobą. Rytm końskich kroków był powolniejszy niż zwykle, lecz Erlend podcinał wierzchowca raz po raz i utrzymywał dobre tempo. Przed wieczorem powinien się znaleźć w Sogndal, gdzie znał człowieka, który na pewno chętnie zamieni łośdź na konia teraz, podczas gorączki sianokosów, i nie będzie o nic pytał. Liczył, że po jakichś trzech dniach znajdzie się po tamtej stronie gór, może pół dnia wcześniej, jeśli się pospieszy. Najważniejsze jednak, żeby go nikt nie rozpoznał, musi się mieć na baczności, zwłaszcza po drodze do Lasrdalsdalen, bywał tam bowiem wielokrotnie i wiedział, że ludzie go pamiętają. Trzy dni...

Kiedy mięśnie zaczynały boleć, przymykał oczy, choć wcale nie chciało mu się spać. Wyobrażał sobie Johannę, jej przerażoną twarz.

Myśli przecież, że on nie żyje.

Na pewno jest przekonana, że go zabiła!

Erlend uśmiechał się złośliwie.

Ta głupia dziwka! Ta latawica! Naprawdę wyobraża sobie, że zdołała unicestwić jego, Erlenda Storlendet?

Może i mało brakowało, leżał przecież słaby przez wiele miesięcy i wił się ze wstydu. Ale nie umarł, śmierć nawet się do niego nie zbliżyła. A teraz czuł się silniejszy niż kiedykolwiek.

Johanna pisała w liście o bólu i tęsknocie, pisała, jak bardzo brak jej rodziców. Chyba nietrudno będzie doprowadzić jej do świadomości, że nie ma wyjścia, znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli Erlena Storlendet coś grozi, to sprawa jest poważna.

Johanna ma urodzić dziecko. Najwyraźniej zostało jej jeszcze parę tygodni. Próbował wyobrazić sobie smukłą sylwetkę żony, która teraz zrobiła się zwalista i ociążała, próbował sobie wyobrazić, jak bardzo powiększyły się jej piersi, jak się na nich napina suknia. Może ma plamy na twarzy, jak to z niektórymi brzemiennymi bywa. Może nie jest już tak bajecznie urodziwa...

To jednak nie ma znaczenia.

Johanna mimo wszystko jest jego własnością.

Dziecko też bez wątpienia jest jego, nie potrafił myśleć inaczej. Czyż bowiem nie obdarzał ją swym nasieniem z wielką mocą i siłą? Czyż nie przychodził do niej raz po raz z takim zdecydowaniem i stanowczością, że musiała go przyjmować?

Ten cały Ravi... blady i czarnowłosy, chudy i rozdygotany jak osika... nawet chyba nie wie, jak uczynić kobietę brzemienną.

Jechał aż do wieczora, dopóki nie dotarł do osady nad fiordem, gdzie chciał zdobyć łódkę. Jeśli szczęście mu dopisze, to już jutro znajdzie się w Lasrdal i może trochę się prześpi przed wędrowką na drugą stronę gór. Musi odwiedzić chłopa w Steinklepp, który handluje bydłem, owcami, a przede wszystkim końmi. Będzie potrzebował dwóch koni, dwóch dobrych koni.

Droga z powrotem zajmie chyba nie więcej niż dwa dni, żeby nie wiem jak bardzo Johanna wrywała się i protestowała. Przywiąże ją do siodła, a jeśli się nie uspokoi, to przywiezie ją do domu przerzuconą przez koński grzbiet jak trupa albo złodziejkę wieszoną na miejsce kaźni.

Ale ona z pewnością okaże dobrą wolę.

Na pewno to zrobi, kiedy Erlend opowie jej o strasznej chorobie ojca i o tym, z jaką łatwością on może przerwać udrękę Bendika, a także cierpienia jej matki, jeśli Johanna nie zechce wrócić do domu.

Uwierz mu, nie ma obaw.

Erlend nie potrafił się opanować. Odchylił głowę w tył i wybuchnął głośnym, przejmującym śmiechem, który rozchodził się daleko w wieczornej ciszy. Jakieś ptaki zerwały się z przydrożnych zarośli i przestraszone, łopocząc skrzydłami, odleciały, by ukryć się wśród drzew.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Najpierw było to niczym dalekie drgnienie, jak jedno z tych rzadko występujących trzęsień ziemi, o których ludzie opowiadają. Potem narastało niczym niedaleki grzmot, przybliżało się, z łoskotem przewalało przez głowę. Zanim jednak deszcz ochłodził rozpalone uczucia, rzeka rozrastała się i huczała w ciele Ravięgo. Chciała go porwać za sobą.

Znał siłę tej rzeki, zbyt wiele razy przegrywał walkę, wiedział, że najlepsze, co teraz może zrobić, to położyć się na plecach i dać się unosić aż do chwili, gdy ów strumień się uspokoi. Dzięki temu może i tym razem w końcu znajdzie się na

powierzchni i będzie mógł znowu oddychać.

Wizje pojawiły się najpierw jak wielkie bąble na wodzie, jak pękające z sykiem bólu pęcherze, jak czyjeś wołanie o pomoc.

Nie słyszał żadnego krzyku, nie słyszał nic oprócz tego dziwnego szumu gdzieś w nim samym. Widział jednak wykrzywające się usta, widział oczy wytrzeszczone w panice i ręce otarte do krwi, kiedy rozpaczliwie starały się wspiąć na wysoki brzeg.

Dwóch ludzi we wzburzonych masach wody, potem błyskawiczna zmiana wizji i tuziny ludzi zamkniętych w jakimś wysokim pomieszczeniu. Widział jakąś postać na ścianie, przybitą gwoździami ponad dymiącą chmurą, widział, że ten człowiek jest martwy, wiedział, że to Chrystus wyrzeźbiony w drewnie. Kościół, przemknęło przez tę część jego umysłu, w której zachowała się jeszcze odrobina świadomości, kościół ogarnięty pożarem. Ale ci ludzie, którzy tłoczyli się i tratowali nawzajem zrozpaczeni, mieli na sobie takie dziwne stroje. Były tu kobiety w sukniach, jakich nigdy przedtem nie widział. Drzwi kościoła miał wysokie, sięgały aż do sufitu, obito je kutymi metalowymi sztabami, nie puszczały mimo naporu.

On znajdował się nad tym płonącym piekłem, przesuwał się dalej między popalonymi ludzkimi członkami i tragediami rozgrywającymi się w rzece, w której nie było wody.

Najpierw miał wrażenie, że się ocknął, że wszystko minęło, tak przyjemnie było leżeć na ziemi w ten pełen zapachów letni dzień. Zdawało mu się nawet, że słyszy coś jakby śpiew ptaków, ale dochodził on skądś z bardzo daleka i zlewał się w jedno z dźwiękami podobnymi do głosów ludzi. Widział, że ktoś idzie ku niemu, właściwie był to nawet dość liczny orszak, podążał jego własną drogą obok świerkowego zagajnika.

Na przedzie szła Karen Lund i niosła w ramionach małe białe ciało. Miała na sobie niebieską suknię Hanny, poplamioną krwią. Za nią kroczył jej mąż, niosąc w każdej ręce zwłoki dziecka. Małe ciało zwiślały jak martwe zające, zgarniały za sobą na drodze żwir.

Liczny orszak ubranych na czarno mężczyzn, z białymi kołnierzykami, ale o twarzach pozbawionych ust, nosów i oczu. Jeden z nich dźwigał w rękach kamień, ten miał twarz, twarz Trugego. Za nim podążał inny, był to niewielkiego wzrostu gruby chłop w pelerynie, która wlokła się za nim po ziemi, cały pochód przesuwał się bezszelestnie. Ravi przestał stawiać opór, dał się ponieść wizji. Zbyt wielu spraw nie

rozumiał. Od zbyt wielu problemów chciał uciec.

Kobieta idąca na samym końcu niezwyklego orszaku też nie miała twarzy, nie mógł zrozumieć, dlaczego mu się zdawało, że widzi, jak się uśmiecha. Oparzony kot miauczał rozpaczliwie i z wywieszonym językiem przeciskał się między nogami idących. Jego zawrodożenie brzmiało niczym zgrzyt kół w jakimś ogromnym młynie albo jak kamień toczący się ze skalnego zbocza.

Johanna znalazła Ravięgo w obórcę, pijanego do nieprzytomności. Szczytowa ściana domu została niemal kompletnie spalona, ale konstrukcja budynku jakoś wytrzymała, a gdy spadł deszcz, dom uniknął najgorszego losu.

Nie pojmowała, skąd Ravi mógł wziąć wódkę, nie miała pojęcia, gdzie się podziewał przez cały ten upalny dzień. Wiedziała tylko, że sama nie zdołała go zanieść do izby, dlatego zostawiła go na stosie wiórów. Długo stała ze łzami w oczach i przyglądała mu się, bezradnie załamywała ręce, czuła, że dziecko porusza się w niej niespokojnie. Starła się nie popadać w rozpacz, za wszelką cenę chciała zachować czułość, którą tak dobrze znała.

Zastanawiała się, co takiego musiał znowu przeżyć. Zdarzało się, że potrafił jej opowiedzieć, co przychodziło do niego w wizjach, bywało, że potrafiła choć trochę zrozumieć, skąd się biorą te koszmary. Do końca jednak zrozumieć nie chciała, a w każdym razie nie chciała pogodzić się z myślą, że te zmyry będą go dręczyć już do końca życia. Ona też miała swoją zmore, pamiętała tę straszną przeprawę przez góry i noc na stacji wymiany koni. Pamiętała noc, kiedy się ocknęła przerażona, że ludzie lensmana ją dopadli, szarpia ją brutalnymi rękami, jakby zamierzali rozerwać ją na kawałki...

Ale kiedy otrząsnęła się z przerażenia, dotarło do niej, że nikt jej nie szarpie, pozwoliła, by ją uspokojono, Ravi trzymał ją w objęciach tak jak mama kiedyś w dzieciństwie. Wtedy Johanna, wracając z lasu, zobaczyła niedźwiedzia. Zwierz wyszedł spomiędzy drzew i chciał się na nią rzucić.

Ale Ravięgo nikt nie mógł uspokoić, żeby go nie wiem jak głaskał i obejmował, żeby szeptał nie wiem jak czułe słowa do jego uszu. Nikt nie był w stanie powiedzieć mu, że to tylko sen, że to fantazje i zwidy nie mające nic wspólnego z rzeczywistością.

Wiedziała bowiem, domyśliła się tego już dawno temu, że to, co Raviemu się przedstawia, to jest rzeczywistość, ta, która była, ta, która jest, lub ta, która dopiero będzie. Nie mogła pojąć, że dobry Bóg mógł złożyć na kogoś aż takie brzemie.

Bezszelestnie zamknęła drzwi, pozwoliła mu trwać w tym śnie poza świadomością, spostrzegła, że jedna ręka Ravięgo drgnęła, ale on wciąż przebywał bardzo, bardzo daleko od niej. Jakby ktoś go okaleczył i zabił, a potem porzucił tutaj.

Johanna weszła do nowej izby i usiadła przy jednym z otworów, które nie miały szyb, żeby szyć mały kaftanik, porzucony jakiś czas temu na grubo ciosanym stole. Dom zaczynał być już przytulny, a jutro przyjdzie trzech ludzi, żeby wymurować piec. Tęskniła bardzo za możliwością gotowania ciepłej strawy, cieszyła się, że zawrze znajomość z nowym piecem. Kupiła dużą żelazną płytę, na której można piec chleb i mięso. Najchętniej sprawiłaby sobie duży piec żeliwny, ale pochłonęłoby to znaczną część talarów, które jej jeszcze zostały. Może jesienią, jeśli owce i krowy dostaną dobrą cenę? A może jeśli uda im się wydzierzawić łowiska, które otrzymali w spadku?

Johanna odchyliła się w tył, oparła obolałe ramiona o ścianę z żółtego drewna, nogi położyła na skrzyni.

Słyszała na zewnątrz świergot ptaków i szum rzeki, dochodziły aż tutaj głosy ludzi, krzątających się na suchych polach i zbierających paszę, która przestała już rosnąć.

Wszystko wskazywało na to, że i ten rok nie będzie taki urodzajny, jak ludzie prosili podczas każdego nabożeństwa, w każdym pacierzu. Słońce, które zawiodło ich zeszłego lata, teraz piekło niemiłosiernie. Od tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar, nie spadła ani jedna kropla deszczu, a przecież to wszystko działo się na początku czerwca.

Johanna również czuła się wysuszona i spragniona jak przywiedły łąkowy kwiat. Wszelkie soki były z niej wysysane, wyciekały z jej ciała dzień po dniu, teraz nie pozostawało już nic więcej, jak tylko czekać na lepszy czaj:

Nie wiedział, dlaczego miał ten atak, domyślał się, że musiało to się wiązać z widzeniem, z kobietą i upiornym kotem, i z tym jakimś dziwnym śmiechem. Nie znał tej kobiety, ani jeden rys jej twarzy, nic w ogóle nie wyjaśniało, dlaczego stanął przed niską chatą i stukał do starych, zawieszonych na skórzanych zawiasach drzwi. Nie widział jej zresztą od tamtego marcowego dnia, gdy spotkali się przy miejscu do prania. Ledwo pamiętał, jak wygląda, przypominał sobie tylko jej dziwni pytania i to, co mówiła o kocie.

Opowiadała o nim, Johanna była wściekła, kiedy usłyszała, że Ravi rzucił w nią te tak brzemienne w skutki słowa. On sam nie pojmował, dlaczego mówił coś

takiego, rozpoznawał jedynie ból w piersiach i obezwładniający gniew na wszystkich, którzy myślą tak jak ta kobieta. Chciał zobaczyć w jej oczach strach, strach albo szacunek, albo coś, dzięki czemu nie czułby się takim nędznikiem.

Upiorny kot.

Nigdy w całym swoim życiu nie widział kota upiora.

Te koty, które brał na ręce i przytulał, żeby się przy nich ogrzać, miały zawsze przyjazne oczy i cicho, przyjemnie mruczały. Odnosił wrażenie, że mógłby z nimi rozmawiać, że przekazują sobie, on i koty, nawzajem dobre słowa, płynące z serca do serca. Nigdy się go nie bały, nigdy nie próbowały drapać, i nawet obce koty w obcych obejściach witały się, ocierając się o jego kostki.

Kot potrafi wiele powiedzieć na temat ludzi i obejścia, myślał Ravi.

Ale upiorny kot...

Serce kobiety pełne było strachu, wierzyła w te stare historie, wierzyła, że zwierzęta mogą być narzędziem zła.

Ravi musiał się cierpko uśmiechnąć, przytrzymując się niskiego dachu. Z wnętrza domu dochodziły głosy dzieci, które o czymś ze sobą szeptały.

Może są same? Nie warto więc ich straszyć. Matka wyszła pewnie tylko na chwilę, może chciała coś powiedzieć mężowi, który pracował na spalonych słońcem polach gospodarza.

Postanowił czekać, znalazł jakiś kamień na skraju poletka komornika i siedział na nim bez ruchu, chociaż słońce piekło w głowę o krótko ostrzyżonych włosach.

W końcu przyszła, od razu wiedział, że to ona, była jednak szczuplejsza i bardziej wyniszczona, niż pamiętał z tamtego spotkania nad wodą. Może dlatego, że miała na sobie tylko cienką spódnicę i bluzkę bez rękawów, a może dlatego, że dziecko, z którym wtedy chodziła, teraz było już na świecie.

Na jego widok przystanęła gwałtownie, z przerażeniem spostrzegł, że się przeżegnała.

- Dzień dobry, gospodyni, i szczęście Boże!

- Oszczędź sobie szyderstwa - syknęła gniewnie. - Dlaczego ciągle wchodzisz mi w drogę? Wynoś się stąd, przybłędo, ty narzędzie diabła!

Ravi poczuł dawne napięcie w piersiach. Twarz kobiety pod opalenizną była szara.

- Wchodzisz na ziemię należącą do kogoś innego, Knucie Plassen! To nie jest twoje miejsce!

- Nie złość się, kobieto! Nie myślisz tego, co mówisz!

- Ja mówię ze szczerego serca. Poznałam już prawdę, przybłądo, nie zwabisz mnie więcej!

- Nie zwabię? Skrzyżowała ręce, jakby się chciała bronić. Puste piersi były starannie ukryte pod szerokim ubraniem.

- Tak jest, wabisz mnie... zmusiłeś mnie, bym miała złe myśli... powiedziałaś, że masz sposób na upiorne koty...

- To przecież ty wspomniałaś, że cię prześladują - odparł Ravi spokojnie. Już dawniej widywał w spojrzeniach ludzi ten gniewny przestrach i za każdym razem kulił się wtedy niczym przemarznięty szczeniak. Ale teraz... ta kobieta wygląda tak żałośnie. Widział, jaka jest udręczona. - Nie powinnaś myśleć, że przychodzę tu, żeby ci zrobić krzywdę, gospodyni.

- To po co przychodzisz? Zastanawiał się. Dobrze pamiętał wizję, ale chyba nie mógł jej o tym powiedzieć.

- Upiorny kot, gospodyni... teraz go widziałem. Płatał ci się pod nogami... chciałem ci powiedzieć, że powinnaś go przepędzić. Ja myślę, że te upiorne koty to dzieło ludzi, to złe myśli, którym dajemy życie. Może są jedynie świadectwem nienawiści innych ludzi... Ktoś cię nienawidzi, kobieto... Ktoś ci bliski...

- Ale wielu jest takich, którzy nienawidzą ciebie, przybłądo! Jej spojrzenie było zimne, kłujące. Policzki jednak płonęły jakimś gorączkowym żarem, który sprawiał, że cała twarz była jakby rozpalonym odbiciem strachu.

Ravi wpatrywał się w nią, aż oczy zaszczyły mu łzami. Wciąż miał pod powiekami strzępy ostatniej wizji, coś się kłębiło niczym potok lawy. Wiedział, że powinien to zrozumieć, ale prawda igrała sobie z nim, już, już ją chwycił, ale w tym momencie znowu tonęła w płynącej lawie.

- Nie powinnaś żywić do mnie nienawiści - rzekł cicho. - Przecież wcale mnie nie znasz.

- Takich jak ty wszyscy znają jeszcze z Pisma - syknęła i chciała odejść. Musiał użyć całej siły woli, żeby ją zatrzymać. Minęło już bardzo wiele czasu od chwili, kiedy po raz ostatni pozwolił, żeby przenikał go ten dotkliwy ból.

Prawda wpadła do jakiejś luki w jego głowie.

Niemal przerażony spostrzegł, że kobieta jakby zastyga, sztywnieje, widział jej bezradność, kiedy stwierdziła, że nie jest w stanie się ruszyć.

Ravi odczuwał raczej smutek niż triumf. Pamiętał tamto dawne pragnienie,

pamiętał wędrówki z ojcem, gdy to nie raz zmuszał ludzi, by stali bezradnie, nie będąc w stanie chwycić noża czy miecza. W takich chwilach ojciec śmiał się i klepał go po plecach, potem jednak upijał się do nieprzytomności i tłukł syna bezlitośnie za te jego niepojęte siły.

Teraz nikt niczego nie widział.

Ona też nic nie mówiła, poruszała wprawdzie wargami, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

- Wysłuchaj mnie, kobieto - szepnął Ravi zmęczony. Pulsowało mu w skroniach, zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo to wszystko odbiera mu siły. Po co więc to robi, po co traci energię dla jakiejś nieznajomej baby?

Nagle w okamgnieniu objawiła się prawda, pochwycił ją obiema rękami i stał w szoku, starając się jakoś zaakceptować tę nieoczekiwaną pewność.

- Podpaliłaś nasz dom - usłyszał własny głos. Miał wrażenie, jakby odczytywał jakiś ognisty napis, który pojawił się przed nim na niebie.

- Podpaliłaś, bo chciałaś nas zabić, kobieto! Ona wciąż znajdowała się w jego władzy, całkowicie podległa jego woli, teraz roześmiała się ochryple. Natychmiast się jednak opanowała, zauważył, że zaczęła się modlić. Gdyby teraz pozwolił jej odejść, to by myślała, że posiadał władzę demona, a tej satysfakcji nie chciał jej dać.

- W imię Ojca i Syna, przepędź diabła ode mnie, na Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego, wyrwij diabłom serca z piersi, unicestwij ich władzę, wyzwól swoją wierną służbę...

- Zamilcz, babo! Poniechaj tych fałszywych modłów...

- Uwolnij mnie, o Boże Wszchemogący, pomóż mi...

- Mnie proś o wolność, a nie swego podstępного Boga.

- Panie Jezu, uwolnij mnie!

- Ja mam na imię Ravi.

- W takim razie zdejmij ze mnie swoje czary!

- Jeśli mnie poprosisz i obiecasz, że nigdy nie podniesiesz ręki ani na mnie, ani na nikogo z mojej rodziny, że powstrzymasz swój paskudny jęzor i nie zrobisz nam niczego złego.

- Puść mnie! Puść mnie! Musiał się roześmiać, kobieta bowiem szarpała się, wrywała z niewidzialnych więzów, jej zachowanie było tak absurdatne, tak nie przystawało do rzeczywistości, że wzbudzało śmiech. Kobieta jednak miotała się zdesperowana, śmiertelnie wystraszona. Zasłużyła sobie na to, myślał Ravi. Podszedł

do niej krótkimi, ale starannie wymierzonymi krokami. Przerazona patrzyła, jak się zbliża.

- Wiesz, że nie ruszysz się z miejsca bez mojej woli... Nigdy jeszcze nie słyszał, by jego głos brzmiał tak spokojnie i z taką mocą, niemal zdumiony patrzył, że kobieta ocknęła się i stoi spokojnie. To było dawno temu. Od czasu, gdy stał się dorosły, nie bawił się już w tę grę. Teraz wydawała mu się bolesna, ale równocześnie przyjemna.

- Powinnaś się przede mną ugiąć i obiecać, że nie będziesz biegać po okolicy i czynić zła.

- Tak... tak, wszystko, co tylko chcesz, tylko pozwól mi iść... ja mam troje małych dzieci, trzy biedactwa czekają na mnie w domu, nie możesz mnie zabić...

Ravi znowu musiał się roześmiać.

- Zabić cię? Nigdy nie miałem takich zamiarów.

- Jakimi to siłami rozporządzasz, ty, który nazywasz siebie Ravi, a masz na imię Knut? Władasz demonami i trollami, jestem tego pewna!

- W takim razie powinnaś się więcej modlić, nie uważasz? Teraz wargi kobiety drżały, Ravi znajdował się tuż przy niej i miał nad nią pełną władzę. Gdyby chciał, mógłby tę nieszczęśnicę przemienić z wroga w sprzymierzeńca. Już teraz spoglądała na niego, jakby był archaniołem Gabrielem, który zstąpił na ziemię ze swego niebieskiego dworu.

- Nic nie wiem o diabłach - powiedział cicho.

- Przysięgniesz na krzyż?

- Nie mam krzyża - musiał przyznać.

- Wypuść mnie - poprosiła szeptem, oczy jej błyszczały, a wargi miała suche. Pozwolił jej pójść, ona jednak upadła na drogę i siedziała bez ruchu. Z wahaniem wyciągnął do niej rękę.

- Nie proszę cię o wybaczenie, bo... jestem pewna, że to, co zrobiliśmy, było chrześcijańskim obowiązkiem. Nowy proboszcz nie chciał mnie wysłuchać, powiedział, że tutaj jest więcej spraw, którymi trzeba się zająć. Poza tym nie był w stanie uwierzyć, że stary Lund mógł okazać łaskę takiemu diabelstwu.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzekł Ravi obojętnym tonem. Kobieta wyglądała żałośnie w kurzu drogi.

Jeszcze raz podał jej rękę. Wahala się przez chwilę, a potem chwyciła dłoń, trzymała jeszcze, kiedy już stanęła o własnych siłach i wpatrywała się w jego twarz.

- Zostałeś odmieniony - powiedziała cicho. - Wtedy... w zimie miałeś niestrzyżone włosy - zresztą byłeś pijany.

Spuściła oczy, znowu się zarumieniła.

- To, co mówiłam o upiornych kotach... Ja to wszystko wymyśliłam. Skinął głową.

- Ja też. Sam nie wiem, dlaczego dałem się tak podejść...

- Miałam potem dziwne sny - wyznała. - O tobie, i o tych kotach upiorach... myślałam, że zwariuję. Bałam się, że rzuciłeś na mnie czary. Musiałam coś zrobić...

- Nie ukrywałeś swoich lęków, gadałeś o tym z byle kim. Teraz pół wsi się mnie boi, omijają mnie, jakbym był trędowaty.

- Ale ty jesteś niebezpieczny! Sam o tym wiesz. Teraz boję się ciebie jeszcze bardziej niż przedtem, Knut... Ravi?

Ravi wyszarpnął rękę. Kobieta się zachwiała.

- Idź do domu!

- Oskarżysz mnie za pożar? Z wolna pokręcił przecząco głową.

- Tak myślałam. Komuś takiemu jak ty opłaca się pochylić głowę. Sprawa przedstawiona na tingu łatwo może się obrócić przeciwko oskarżycielowi, wiesz o tym. Ja mam świadków...

Ravi słyszał upór w jej głosie, nabrała odwagi. Zmęczony uniósł głowę i spojrzał wprost na nią.

- Znasz mnie teraz trochę lepiej. Wiesz, że nie jest łatwo mnie złamać. Radzę ci, byś w przyszłości dobrze się zastanowiła, zanim znowu zaczniesz gadać o Knucie Plassen.

Tym razem to ona wyciągnęła do niego rękę.

- Pewnie tak. Jesteś zbyt potężnym wrogiem dla biednej komornicy.

- Nie jestem niczym wrogiem, dopóki moim nie stanie się krzywda. Miałas szczęście, kobieto, bo gdybyśmy nie wyszli cało z pożaru, to bym cię w tej chwili zabił gołymi rękami.

Mimo upału kobieta zadrżała. W czarnych oczach swego przeciwnika dostrzegła, że on mówi prawdę.

- Niech Bóg ci pomoże - szepnęła i po raz pierwszy była to szczerza modlitwa. Johanna słuchała historii Ravięgo ze ściśniętym sercem.

- Więc poszedłeś do niej... czy to ta kobieta podpałała nasz dom?

- Na pewno nie była sama, ale przyznała się, że brała w tym udział.

- Dlaczego? Ravi westchnął, oparł głowę o drewnianą ścianę. W blasku ognia płonącego na nowym piecu jego oczy lśniły matowo.

- Wtedy nad rzeką, przy praniu... Nie wiem, czy to wymyśliłem, ale może popatrzyła na mnie inaczej?

Johanna przytaknęła.

- Uznała, że wszelkie czary są takie podniecające?

- Tak, mogło tak być. Jestem w stanie to zrozumieć. Ale wygadywała na mnie różne paskudztwa. To ona podburzała ludzi od śmierci pastora Lunda. Teraz z pewnością będzie milczeć - uśmiechnął się Ravi z przymkniętymi oczyma.

Johanna siedziała przed nowym piecem, ledwo się mieściła na trójnogim stołku.

- Myślisz, że dadzą nam spokój?

- Nie wiem, ale ta kobieta będzie na pewno cicho.

- Są inni.

- Owszem. Pod dostatkiem jest takich, którzy nie powstrzymają się od gadania. Chorzy albo tacy, którzy mają trudności... ja wierzę, że jest różnica między dobrymi i złymi czarami.

Spojrzała na niego spod oka.

- Czy oni do ciebie przychodzą, niektórzy z nich? Widziała, że Ravi kręci wolno głową.

- Przychodzą, ale ja przecież nie mogę im pomóc. Obiecałem ci, Johanno, że będę ostrożny.

- A co z Torkjellem? Dajesz mu coś, co jest zapłatą za wszelką jego pomoc?

- Ty naprawdę chcesz wiedzieć wszystko? Przytaknęła bez słowa.

- Torkjell pyta mnie o radę w wielu sprawach. O własną przyszłość. O to, co się z nim stanie, kiedy pojedzie do Holszteinu. O ślub... i o Birgit.

- I ty mu radzisz? Ravi splunął w ogień. - Tak.

- Czy odpowiedzi na jego wątpliwości czerpiesz ze swoich wizji? Gniew opuszczał ją powoli. Roześmiała się cicho. Z wysiłkiem podniosła się ze stołka i podeszła do Ravięgo. Usiadła mu na kolanach i objęła za szyję. Poszturchiwała go wielkim brzuchem. Gdyby dziecko urodziło się w tej chwili, to wpadłoby mu prosto w objęcia, pomyślała rozbawiona.

- Ale ty to jesteś... wymyślasz to wszystko, prawda? Twoje wizje nie działają w ten sposób.

Ravi uśmiechał się także.

- Torkjell mnie słucha. Bał się, że nie będzie mógł mieć z Birgit dzieci. On, który w całym dystrykcie ma bękarty! Powiedziałem mu tylko, że Birgit będzie rodzić dzieci, że widziałem to w moich wizjach. I to jest prawda, czuję to bardzo wyraźnie.

- I co jeszcze czujesz bardzo wyraźnie? Pocałowała go w nos, potargała jego sterczące, krótko ostrzyżone włosy.

- Że ty jesteś moją słodką, małą kobietką. Skrzywiła się, najpierw sądził, że źle zrozumiwała jego żart, a potem uświadomił sobie, że Johannę coś boli. Ona jednak uspokajała go.

- Wszystko w porządku. Tak mnie coś czasami zaboli w brzuchu... czas się zbliża... i myślę...

Było w tych słowach coś smutnego, nie bardzo rozumiał, co to.

- Może dziecko urodzi się w samą noc świętojańską? Coś takiego pasowałoby mojemu potomkowi - powiedział Ravi cierpko.

- Możliwe, ale teraz nie chcę już słyszeć żadnego gadania o twoich czarach. Nigdy podobne sprawy cię nie zajmowały, Ravi! Przecież chyba nie jesteś z tych, co to w noc świętojańską przemykają po cmentarzach i wykopują zmarłych z grobu?

- Nie - odparł z powagą. - Myślę jednak, że rzeczywiście może być prawdą, iż szpik z kości zmarłych leczy choroby. Słyszałem o wielu, którzy mogliby przysiąc, że tak jest...

Johanna zadrzała, wielokrotnie zwracano się do niej z pytaniami o tego rodzaju lekarstwa. Ludzie żywili niezłomne przekonanie, że najokropniejsze szczątki zmarłych są w stanie uzdrawiać żywych.

- Nie lubię takiego gadania. Ja dużo bardziej wierzę w nowe, naukowe metody, we wszystkie te nowoczesne mieszanki, które wymyślają lekarze na całym świecie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powiem ci, że one będą kiedyś najlepszym środkiem przeciwko czarom. Ravi przytakiwał obojętnie, a potem roześmiał się.

- Ale ja kiedyś włożyłem pod swoje łóżko kamień wydobyty z rzecznej głębiny i wtedy po nocach śniła mi się szalona, ciemnowłosa dziewczyna...

- Wszyscy tak robią - mruknęła Johanna. Musiała się uśmiechnąć, kiedy pomyślała o eksperymentach, jakie przeprowadzała, będąc podlotkiem. Kilka razy w noc świętojańską wychodziła z domu na samotne wędrówki, chociaż rodzice myśleli, że śpi. Zbierała zioła, szukała w lesie kwiatu paproci i innych tajemniczych przedmiotów... Bo to się przydaje, kiedy się później zdobędzie mężczyznę... - On

mógłby się urodzić już dzisiejszej nocy, Ravi. Prawie mam taką nadzieję...

- Powinien chyba poczekać do przyjazdu Amelii - mruknął Ravi. Johanna widziała wyraźnie, że on się boi rozwiązania, bo musiałby odebrać poród sam, bez żadnej pomocy.

- Można przecież sprowadzić Mathildę - odparła beztrąsko. Nie chciał jej mówić, że Mathilda wyruszyła w góry jeszcze przed niedzielą, ani o tym, że gospodarz Olsson wynajął ją jako mleczarkę na pastwiskach w Bergsjö.

- A poza tym pomagałam przyjść na świat już wielu dzieciom, więc chyba potrafię urodzić własne?

Ravi kiwał głową i starał się uśmiechać spokojnie. Widział, że Johanna się boi, to dla niej coś zupełnie nowego i być może częściej myślała o losie Karen, niż Ravi przypuszczał.

- Musisz dać sobie radę - rzekł. Przytaknęła.

- Jestem zdrowa i silna, zawsze taka byłam. Poza tym wszystko układa się tak, jak powinno... prawdopodobnie będzie po wszystkim, zanim ty z Mathilda znajdziesz się w połowie drogi do domu.

Pomyślał, jak daleko są hale, i ponuro pokiwał głową.

- Będę się tobą opiekował, moja kochana. Przytuliła policzek do jego rozgrzanego ciała, przez koszulę wyczuwała sprężyste, silne mięśnie brzucha.

- Tak się cieszę, że mam ciebie, Ravi. Ciepło spłynęło mu do serca. Czuł jakby łaskotanie w żołądku. Może to śmiech, a może po prostu ulga?

- Johanna - oznajmił uroczyście. - Nie ma takiej drugiej jak ty. Każdego ranka Johanna sporządzała klej i mazała nim białe deski. Każdego ranka wysyłała Ravięgo po świeże gałązki, które układała przed progiem.

Obserwowała wschody, szukała jakichś znaków w czerwieniąjącym obliczu słońca, wśluchiwała się, czy nie otrzyma jakiegoś znaku w śpiewie ptaków, porywach wiatru czy delikatnym szumie drzew.

Czy to już ten dzień?

Czy może się tak zdarzyć, że w którymś momencie ujrzy znajome sylwetki na dole pod zagajnikiem, takie kochane, ubrane na jasno postaci idące ku niej?

Widziała je przed sobą za każdym razem, gdy zamykała oczy, wśród czerwonych płatków, kiedy oślepiło ją słońce, parokrotnie zupełnie wyraźnie zobaczyła łagodnie wygięte wargi mamy i wysoką postać ojca.

Czy przyjadą konno?

Prawdopodobnie tak.

Wiele razy w ciągu dnia wychodziła przed dom, a potem wracała, wielokrotnie wydawało jej się, że słyszy stukot końskich kopyt nad rzeką.

Ale to nie Amelia z Bendikiem, to tylko odgłos gorączkowych uderzeń jej własnego serca.

Albo jakiś chłop wracający do domu z wozem pełnym siana lub drewna.

Ravi nie odchodził od domu, pracował i znajdował wiele radości w heblowaniu desek na nowy stół. Obciosowywał je też siekierą, na podłodze leżał spory stos pachnących żywicą wiórów. Torkjell powiedział mu, że drzewo jest zbyt świeże i popęka, meble nie będą nic warte. Ravi jednak uparł się i zrobił dwa stołki, a potem rzucił się do obrabiania drewna, które mu Torkjell przywiózł. Było ono tylko odrobinę bardziej miękkie niż stal. Johanna słyszała, jak Ravi pojękuje boleśnie, kiedy siekiera dzwoniła o stary, sękaty dębowy pień.

Stołki z tego drewna będą służyć przez sto lat.

Truge zaofiarował się, że je pomaluje, już miał nawet przygotowaną farbę. Był to najpiękniejszy zielony kolor, jaki można sobie wyobrazić; tą samą zielenią zamierzał wymalować dom w Villand. Torkjell bowiem już wszystko postanowił: jeśli tylko zdrowy i cały wróci z Holszteinu, zaraz następnej wiosny wybuduje dom.

Johanna wyszła do Ravięgo ze świeżym mlekiem. Mężczyźni chodzili w niedzielę na hale, przynieśli zapas świeżego mleka i serów. Część tego należała się też właścicielom Plassen. Przynieśli również świeżą baraninę, bo trzeba było dobić jedną owcę.

Johanna posoliła mięso, doprawiła je kminkiem, arcydzięglem i innymi ziołami, a następnie zalała wodą. Na polach nad rzeką znalazła kapustę, która zasiała się sama bez pomocy ludzi. Kapusta pójdzie do saganka razem z mięsem, kiedy tak wytęsknieni goście nareszcie się pojawią. Masło przyda się do kaszy, a śmietana do podplomyków. Rodzice są przyzwyczajeni do lepszych rzeczy, ale na pewno i tym nie pogardzą.

Oczyma wyobraźni już widziała twarz matki, pamiętała, jak bardzo ojciec lubi baraninę przyrządzoną w ten właśnie sposób.

Ravi zaklął głośno pod szopą.

Nie robił tego teraz za często, w obecności ciężarnych kobiet mężczyźni bardzo uważają na takie sprawy.

Potem przyszedł do izby, okazało się, że skaleczył się w palec. Ręce miał

jeszcze czerwone, rany po poparzeniach nie do końca się wygoiły, ale liście babki i sok z nagietka sprawiły, że nowa skóra szybko pokrywała chore miejsca - Powinieneś być ostrożniejszy - upomniała go, owijając gałgankiem skaleczenie, które przedtem poląła wódką i obłożyła liśćmi jasnoty białej. Dzięki temu żadne paskudztwo nie dostanie się do krwi.

- Zdolna jesteś w takich sprawach - powiedział. - Mogłabyś pomóc wielu ludziom, tutaj też.

Odwróciła twarz.

- Kiedyś pomagałam za wiele - mruknęła nieoczekiwanie ponuro. Wiedział, że Johanna myśli o Karen, wiedział też, że żal jej książek, które spłonęły, były przecież jej marzeniem, jedyną rzeczą, która podtrzymywała ją na duchu po śmierci pastorowej. Pragnęła nauczyć się jak najwięcej o chorobach. Nie rozumiał wszakże, dlaczego nigdy nie chce wykorzystać całej swojej wiedzy. Zdarzyło się niedawno, że mówiła o nowych roślinach, wśród miejscowych ludzi zbierała różne rady dotyczące leczenia chorób, mówiła, że ma rozmaite pomysły, jak można by wypróbować te wszystkie informacje zawarte w książkach.

- Myślę, że znowu będziesz to robić... Kiedy nasz syn przyjdzie na świat... Z wolna skinęła głową. Myślała: Mama wiedziałaby, co mi poradzić. Może potrafi mi pomóc pozbyć się strachu, tak jak zawsze robiła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Z wędrowki przez góry prawie niczego nie pamiętał, pędził jak szalony przez cały upalny dzień aż do zapadnięcia zmierzchu, który z trudem można było nazwać nocą. Koń, na którym jechał, był zmęczony do ostatnich granic, po drodze wypił jedynie parę łyków wody z górskiego strumienia. Erlend przesiadł się więc na drugie zwierzę, młodą klacz nie przywykłą do ciężaru człowieka. Kiedy mijali pokryte soczystą trawą łąki i górskie rzeczki, Erlend z całych sił wbijał pięty w bok nieszczęsnego zwierzęcia. Mijał z surową miną mleczarnie na pastwiskach i przytulne szałas, chociaż z wielu zabudowań dochodził smakowity zapach świeżego sera.

Erlend miał na sobie chłopski strój, prostą kurtkę z cienkiego, domowej roboty, samodziału i koszulę bez kołnierzyka z niebieskiego lnu. Szeroki skórzany kapelusz zawiązał pod brodą na rzemień, tak jak to czynili żołnierze podczas długiego marszu. Nogawki wsunął w cholewy skórzanych butów, jakie jeźdźcy i handlarze chętnie kupowali od powracających do domu wojskowych.

Przed sobą położył niewielkie juki, worki były wodoszczelne i mocno przywiązane do siodła.

Górskie zbocze schodziło w rozciągającą się przed nim dolinę, jeździec widział głęboką rozpadlinę i słyszał szum wodospadu.

Zbliżał się do pierwszych zabudowań, położonych najwyżej na stokach.

Erlend nie spoczął, dopóki ptaki znowu nie odzyskały nadziei na poranne słońce, wtedy pozwolił koniowi zatrzymać się nad pięknym strumieniem, a sam zasnął umęczony w pobliżu chłodnej wody. Szum wodospadu ukołysał go, ale kiedy się ocknął, poczuł, że ubranie i włosy ma przemoczone od rozpryskujących się na wszystkie strony drobnych kropelek.

Zapytał jakiegoś chłopca idącego z kosą na ramieniu i dowiedział się, że droga do Al zajmie mu nie więcej niż pół dnia, jeśli konia ma dobrego.

Chłop wskazywał na halę, na jakieś miejsce, które nazywał Śledziowe Wzgórze, trzeba przedostać się przez nie, a potem to już blisko. Powinien zjechać w dolinę po tamtej stronie, chyba że wolałby jechać brzegiem rzeki aż do Gol. Stamtąd główny trakt wiedzie prosto do Torpo, Al i Hol.

Erlend nie odpowiedział nic, podziękował tylko i zdecydował się jechać dalej szeroką drogą. Ogier, który przeniósł go na grzbiecie przez góry, zaczynał kuleć, może najlepiej byłoby go wymienić. Ale znał mieszkańców Hallingdal, mieli oni opinię świetnych handlarzy koni, niełatwo ubić z nimi dobry interes. Zatrzymał się na rozstaju dróg, gdzie stało dwóch jeźdźców na niezdarnych wierzchowcach. Byli w drodze w góry, ale najwyraźniej mieli dość czasu, stali bowiem w piekącym słońcu i raczyli się zawartością metalowej bańki.

Obaj niewielkiego wzrostu i krępi, wbili oczy w zatrzymującego się Erlenda.

Do żadnego handlu nie doszło, a kiedy ogier zaczął coraz bardziej szarpać lejce, którymi był przywiązany do klaczy, Erlend rozciął uprząż i zostawił kulawego konia w stajni u innego napotkanego chłopca. Dzięki temu będzie mu łatwiej panować nad Johanna, kiedy w drodze powrotnej posadzi ją przed sobą w siodle.

Dotarł do Al, kiedy sobotni wieczór nastął na dobre. Poszukał sobie zatem noclegu i piwa u karczmarza w Sundre i z zadowoleniem stwierdził, że w gospodzie jest cicho i spokojnie, bo w okolicznych dworach i zagrodach kto żyw zajmował się przygotowaniami, jakie są zawsze niezbędne przed świętym Janem. Dzieci mają być chrzczone, liczne młode pary pójdą do ślubu, a poza tym obyczaj wymagał, by w noc świętojańską pić i tańczyć i tym sposobem zapewnić sobie pomyślność oraz obfite

zniwa.

Zsunął kapelusz na czoło i zaprowadził konia do stajni, gdzie znajdowały się już dwa wałachy gospodarza.

Kościół i plebania to jedyne budynki, które mógł obejrzeć z bliska. W tej okolicy zabudowania rozsiane były wysoko po stokach, wielokrotnie po drodze podziwiał piękne domy. Pod tą stromą górą jednak, pod którą z jakiegoś powodu ludzie zdecydowali się zbudować kościół, znajdowało się tylko parę niewielkich zagród i jakieś chaty komorników. Wszystko jednak wzniesiono z najgrubszych pni, jakie kiedykolwiek widział, niektóre ściany wysokości rosnącego mężczyzny zbudowano zaledwie z pięciu lub sześciu bali.

Erlend wsunął ręce do kieszeni i poszedł na dziedziniec przed domem tingowym, gdzie kilka młodych dziewcząt chichotało z mężczyzną w kamizelce ze srebrnymi guzikami. Mężczyzna nie sprawiał wrażenia trzeźwego, śpiewał, śmiał się i wygłupiał przed dziewczynami. W pierwszej chwili Erlend pomyślał, że tamten się skaleczył a) bo co, bo ręce miał całe w czerwonych plamach. On jednak chwycił flet i grał na nim wesoło, palce zręcznie przykrywały kolejne otwory. Dziewczyny ujęły się za ręce i tańczyły w kółeczku. Erlend stał i patrzył, oparł się o pień dużej brzozy, znalazł kawałek żywicy i włożył do ust.

- Graj jeszcze, Truge, chcemy tańczyć, żeby nabrać wprawy!

- Ach, smarkule z was, ledwo co byłyście u konfirmacji, wracajcie do domu i nie wciągajcie dorosłego chłopca w dziewczynskie zabawy!

Dziewczynki piszczały, kiedy grajek ruszył, starając się klepnąć którąś w pupę. Drażniły się z nim i przekomarzały, śmiały się uwodzicielsko.

- Pewno chciałbyś mnie kiedyś namalować, skoro jesteś taki zdolny, by przedstawić Ewę w Raju?

Malarz wyszczerzył zęby w uśmiechu i odpowiedział tak, że dziewczyna pokraśniała:

- Nie tak łatwo zdobyć jabłko, Elsedatter! Czym więc będziesz mnie kusić? Ten facet umie przygadać, pomyślał Erlend. Wypił dość wódki, żeby być uprzejmy, i zdaje się ma poczucie humoru, jakiego nie spotkałem u nikogo podczas całej mojej górskiej podróży. Nawet głowę unosi jakby z większą lekkością, niż chłopci, których spotykałem po drodze. Ma na imię Truge i poplamione ręce, pewnie jest garbarzem lub farbiarzem, a może malarzem kościelnym, takim jakich gościliśmy w naszej parafii, kiedy trzeba było sprawić nowy obraz do kościoła.

Tacy włóczędzy zwykle wiedzą sporo o różnych sprawach. Jeżdżą po okolicy i zbierają nowiny. On z pewnością zna Annę i Knuta Plassen, może nawet zna ich bardzo dobrze, chyba powinienem się mieć na baczności.

- Dobry wieczór, grajku. Znakomicie sobie radzisz z fletem!

- Dobry wieczór, przybyszu. Chciałbyś może, żebym ci zagrał jakąś piosenkę?

- Nie, nie mam ochoty na tańce. W każdym razie teraz, kiedy panienki uciekły.

- Ech, to smarkule, kurczaki jeszcze, które tylko stroszą piórka. Erlend roześmiał się. Mężczyzna z fletem miał błyszczące oczy.

- Może postawisz kieliszeczek wędrowcowi? A ja w zamian proponuję fajkę. Wsadzana srebrem fajka z rogu została wyjęta z kieszeni kamizelki.

Mężczyzna o poplamionych na czerwono palcach zerkał na nią z zainteresowaniem. Erlend zakrył dłonią srebrną płytkę, na której znajdował się jego monogram.

- Dziękuję za zaproszenie... ale nie ma tu już ani łyka. Erlend usiadł na trawie obok grajka. Z uschłych ostów uniósł się obłok pyłu. Mężczyźni przedstawili się sobie, Erlend wymienił nazwisko swego kuzyna, bardzo pospolite, wszędzie można było spotkać kogoś, kto się jakoś podobnie nazywa.

- Susza u was w tym roku - powiedział, kiedy fajka została już zapalona. - Znosi się pewnie na kolejną ciężką zimę.

Truge kiwał w zamyśleniu głową, ale na jego czole nie pojawiły się głębokie zmarszczki, jakie niewątpliwie powinien mieć w takiej sytuacji zatroskany chłop.

- Ty sobie mimo wszystko jakoś radzisz?

- Truge malarz daje sobie radę, dopóki ci, którzy się nim opiekują, mają co nieco w komorze - mruknął tamten. - Czym handlujesz, przybyszu? A może jesteś jednym z tych żołnierzy, którzy przenoszą się z miejsca na miejsce i wynajmują na dniówki?

- Niczego nie sprzedaję - odparł Erlend ostrożnie. - Jestem w drodze... przez dolinę, wybieram się dalej na wschód. Ale może kupię konia. Nie znasz przypadkiem kogoś, kto ma ich w nadmiarze?

Truge potrząsnął głową.

- Przez trzy lata pod rząd stodoły zapełniały się w połowie i wszystkie konie, które nie zarabiają na żarcie, dawno zostały sprzedane albo zrzucone ze skały. Mamy tu takie urwisko w Skaleń, tylko w tym roku zrzuciono parę tuzinów zwierząt.

- A więc jest tak, jak myślałem... Siedział i palił fajkę, po chwili wyciągnął

jedną nogę, uniósł nieco nad ziemią i jęknął boleśnie. Truge spojrział nań spod oka.

- Mam taki ból - powiedział Erlend cicho. - Otarcie od siodła, dręczyło mnie przez całą drogę, chyba nie będę mógł jechać dalej...

Truge roześmiał się szeroko.

Głos obcego był niski, brzmiał odpowiednio żałośnie.

- Może jest tutaj ktoś, kto się zna na maściach i leczeniu? Truge nadal się uśmiechał, szeroko i trochę szyderczo nad wstydliwą chorobą obcego.

- Owszem, owszem. Zdaje mi się, że znam kogoś, kto potrafi sobie radzić z takimi dolegliwościami. Ale ona musi zostać sownie wynagrodzona, chyba masz czym zapłacić, przybyszu?

- No pewnie - odparł Erlend i poczuł, że serce bije mu pełne nadziei. - Dostanie tyle, na ile zasłuży, musisz mi tylko powiedzieć, jak się nazywa.

- Jej nazwisko brzmi Anna Plassen, to dumna i piękna mała dama, która zna i pastorów, i lensmanów, a mimo to nie zadziera nosa i przyjmuje biednego malarzynę. Ludzie jej nie rozumieją, jest tutaj obca, ale znam ją na tyle, by wiedzieć, że poradziłaby sobie z poważniejszymi chorobami niż otarcia od konnej jazdy.

Erlend miał ochotę krzyknąć uradowany, ale jęknął raz jeszcze i ostrożnie dotknął spodni w miejscu rzekomej rany.

- Więc powiadasz, że gospodyni z Plassen mi pomoże?

- Oczywiście, chociaż teraz sama ze sobą ma dość kłopotów. Widzisz, oczekuje swego pierworodnego już niedługo. Ale nie powinieneś tam chodzić, ona nie lubi nieproszonych gości. Ja sam przyniosę ci maść, jeżeli wiesz, jak się odwdziżyć za taką przysługę...

Erlend kiwał głową, ale myślami był gdzie indziej.

- Dobrze, spotkajmy się jutro o tej samej porze. Jeśli będziesz miał maść, dostaniesz woreczek tytoniu.

- I parę talarów dla znachorki? Erlend zgodził się z irytacją. Malarz zerwał się na równe nogi, oczy mu lśniły.

- Muszę lecieć! Tyłu czeka na moje granie! I wrony, i koty... To jakiś wariat, pomyślał Erlend zmęczony. I z takimi zadaje się Johanna, ona zawsze miała idiotyczne skłonności, jeśli chodzi o ludzi. Przypominał sobie, jak pomagała przy żniwach niczym służąca albo jak osobiście podawała wódkę robotnikom. Johanna nigdy nie zrozumiała, jak należy traktować ludzi innego stanu i urodzenia. To tylko jedna z tych rzeczy, jakich będzie musiała się nauczyć teraz, kiedy zabawa dobiegła

końca.

Widział wyboistą drogę, która przecinała plac ringowy i wiodła dalej skrajem doliny, wymijając zabudowania. Kawałek stąd, na niewysokim wzniesieniu, gdzie świerki rosną gęsto... gdzieś tam powinna stać nieduża chata, komornicza chałupa z malowanymi na niebiesko okiennicami. Powinien ją znaleźć bez trudu, w liście wszystko zostało bardzo dokładnie opisane. A malarz oddalił jedyną wątpliwość, jaka niepokoiła przybysza, czy mianowicie Johanna w jakiś niepojęty sposób nie domyśliła się jego obecności i nie uciekła gdzie indziej.

Nie, najwidoczniej czuła się tu bezpiecznie, pod tą wysoką górą, pośród ludzi, którzy nigdy nie słyszeli ani o Storlendet, ani o Vildegard, ani o ludziach z Karlsgard.

Erlend zawrócił i powlókł się drogą w stronę gospody. Kościół wznosił się niczym mroczny cień na tle rozjaśnionego jeszcze wieczorną zorzą firmamentu, w oddali złociła się woda, w której odbijało się niebo z ostatnimi błyskami słonecznego światła. Widział zagrody również na tamtym brzegu rzeki, wielkie domostwa na tle brunatnych, smutnych pól.

Erlend złapał się na tym, że tęskni do domu, do rodzinnych osad nad fiordem, gdzie trawa rośnie zielona i soczysta, a zimy nigdy nie bywają takie mroźne jak tutaj. Oni tam mają jezioro, zieloną wodę, która, choć zimą zamarza, zawsze jednak daje utrzymanie nawet najbiedniejszym komornikom.

Nigdy nie przestanie go zadziwiać fakt, że Johanna mogła porzucić to wszystko, że odeszła dobrowolnie w cierpienie i ubóstwo, żeby tylko przestać na niego patrzeć. Musiała go naprawdę nienawidzić. Musiała płonąć nienawiścią do własnego męża, i była to nienawiść tak straszna, że Johanna z własnej woli stała się morderczynią, byleby tylko odzyskać wolność.

Erlend zachichotał złośliwie.

Teraz jej nienawiść znajdzie wreszcie ujście.

Będzie ją zmuszał, by płonęła, iskrzyła się, jarzyła i krzyczała.

A potem on będzie się przyglądał, jak niewierna się załamuje, jak pada na kolana i chyli głowę w pokorze, jakiej nigdy przedtem nie okazywała. Gniew bowiem nie da jej siły, przeciwnie, odda ją całkowicie w jego władzę. Mocno zamykał oczy i wyciągał się na sienniku, który stanowił jego posłanie w gospodzie. Teraz mógł znowu widzieć żonę tak, jak tego pragnął, wyobrażał ją sobie nagą, walczącą, ale on skuje jej ręce i nogi ciężkimi kajdanami.

Czuł rozkoszne pulsowanie wzdłuż kręgosłupa. Trzymał się kurczowo tego

wyobrażenia, upajał się nim.

Powiezie ją do domu niczym wojenny łup, na podobieństwo dawnych królów, którzy brali w niewolę dziewice należące do pokonanych wrogów. Johanna jest jego własnością, zabierze ją z powrotem do domu w triumfie, a tam nauczy, jak powinna żyć na jego chwałę. I tym razem nie da się zwieść. Nie pozwoli jej tknąć nie tylko noża, ale nawet igły.

Da jej pod dostatkiem strojów i kosztownych ozdób, nikt nie powie, że Erlend Storlendet nie potrafi dbać o swoją żonę.

Ale nie zrobi ona ani jednego swobodnego kroku. Wciąż będzie pod kontrolą, ani jeden mężczyzna nie będzie mógł na nią spojrzeć w taki sposób, jak to tylko on może czynić.

Kobieta musi zostać oczyszczona, oczyszczona tak, jak na to zasługują nierządnicę i kobiety upadłe. Nawet gdyby musiał zedrzeć z niej skórę, to każda najmniejsza plama zostanie wypalona do żywego mięsa.

Ta kobieta należy do niego.

Zawsze należała.

Czuł w piersi silny ból, mieszał się on z podnieceniem, jakie wywoływała wizja Johanny zakutej w kajdany, sprawiał, że Erlend miotał się w dzikim pożądaniu. O mało go nie rozsadził jakiś straszny niepokój, którego nie był w stanie opanować i który łagodziły jedynie szybkie ruchy. Nie mógł zasnąć na lepkim, wilgotnym, wypełnionym słomą worku, który ułożono dla niego pod tym obcym dachem. Z zewnątrz dochodziły jakieś odgłosy, znowu pojawił się w pobliżu flecista, ludzie śmiali się, żartowali z czegoś. Sobotnia noc.

Trzeszczenie drabiny, kiedy ktoś wchodził na strych, gniewni bracia i ojcowie, broniący swoich skarbów twardymi pięściami, nie znający litości.

Erlend z trudem łapał powietrze, ów mały pokoik za izbą karczmą nie był najwidoczniej przeznaczony dla ludzi trawionych gniewem. On jednak nie wstał z niewygodnego posłania, leżał udręczony i starał się opanować ból serca. Johanna musi zapłacić za każdą noc pełną rozpacz jak ta dzisiaj, za każde szydercze słowo, jakie skierowano pod jego adresem, od kiedy go opuściła.

Będzie musiała zapłacić, będzie płacić całym swoim życiem. Długo się obawiał, że nic nie wróci mu spokoju, długo sądził, że jedyne, czego pragnie, to zabić ją, wbić w nią nóż, żeby w ten sposób została ukarana za okropną zdradę.

Ale nie tak Johanna powinna odpłacić za to, co zrobiła.

Przecież wtedy, kiedy wyczytywano ich nazwiska z ambony, ona obiecała mu oddać całe swoje życie i właśnie tego życia zamierzał od niej zażądać, choć teraz odda mu je w zupełnie inny sposób.

Miał wrażenie, że ściany zaciskają się wokół niego, blask letniej nocy wpadał przez małe okienko pod sufitem, rozpraszając mrok.

Słyszał ujadanie psów gdzieś we wsi i stukanie garnkami w kuchni. Wkrótce nadejdzie ranek. Dziwnie jest wiedzieć, że ten dzień odda mu niewierną żonę. Ze zanim słońce znowu zajdzie, on zażąda spłaty pierwszej raty długu. Uśmiechał się blade w półmroku, teraz gdzieś w obejściu obudził się także kogut.

Erlend tej nocy nie zmrużył oka, ale rzadko czuł się taki przytomny i silny.

Stał na niewielkim wzniesieniu ponad kościołem, widział w dole ludzi idących z pochylonymi głowami. W tej parafii odbywał się dzisiaj pogrzeb, przed niedzielnym nabożeństwem miano złożyć do grobu jakiegoś starca. Erlend nie lubił pogrzebów, widok poszarzałych twarzy i czarnych ubrań wywoływał w nim trudny do wytłumaczenia gniew. Widział trumnę zbitą z nierówno heblowanych desek, widocznie umarł jakiś komornik lub starzec na dożywociu. Erlend ciężko przełknął ślinę, przesunął wzrok ponad wieżę kościoła i popatrzył na hale położone po zachodniej stronie wsi. Ten widok jednak też nie wydał mu się szczególnie przyjemny, roślinność była bowiem mdła, trawa już teraz zaczynała schnąć, a zieleń drzew przyszarzała. Jeśli wkrótce nie spadnie deszcz, to stodoły jeszcze raz będą na pół puste przed zimą.

Dzwony kościelne milczały. Nie każdego stać na takie luksusy w drodze do nieba. Na widok żałobnego orszaku Erlend zawsze myślał o własnej śmierci, instynktownie wyczuwał, że właśnie to tak mu psuje nastrój, gdy stoi w swoim obserwacyjnym punkcie dobrze ukryty przed wzrokiem zmierzających do kościoła.

Pod parkanem cmentarza szło też parę koni. Prowadzono je do pobliskiej stajni, gdzie miały czekać pod opieką, kiedy chłopcy w kapeluszach na głowach spotkają się przed bramą świątyni, żeby porozmawiać przed nabożeństwem. Kobiety zbierały się w małych gromadkach, plotkowały widocznie, bo raz po raz wybuchały głośnym śmiechem. Miały na sobie kolorowe staniki i lśniące białą spódnice. Wiele nosiło też mieniące się srebrne broszki, te kobiety wypinały piersi niczym śpiewające ptaki.

Erlend uważnie śledził drogę. Przed placem ringowym trakt się poszerzał, na tym odcinku aż do kościoła mogły się wyminąć dwa wozy.

Jeśli Johanna w ogóle przyjdzie, to z pewnością na piechotę. Zauważył już wiele kobiet dźwigających do kościoła swoje nie narodzone dzieci, taki tu widocznie panował obyczaj, że mimo błogosławionego stanu kobieta uczestniczy w niedzielnym nabożeństwie. Nosiły one wielkie chustki na ramionach lub szerokie suknie i tylko wprawne oko, które wypatrywało brzemiennych, mogło to zauważyć.

Johanna się nie pojawiła.

Teraz dzwony zaczęły bić, bo chyba czyjaś ręka sprawiła, że srebro zadźwięczało w kościelnej kasie. Może przed nabożeństwem w dzień świętego Jana ktoś chciał ochrzcić dziecko?

Erlend zagryzł wargi, odwrócił wzrok od otwartego grobu. Trumna zazgrzytała po kamieniach, kiedy zsuwano ją do dołu.

Przybysz szybkim krokiem poszedł w odwrotną stronę niż wszyscy.

Teraz powinien odszukać dom, dom z pomalowanymi na niebiesko okiennicami, położony za prawie nowym płotem, dom, pod którego ścianami rosną kwiaty.

Szedł drogą, aż dostrzegł węższą znacznie ścieżkę skręcającą ku świerkowemu zagajnikowi. Wóz by tędy nie przejechał, była to po prostu dość szeroka polna dróżka. Wygląda, że prowadzi ona do dwóch zagród położonych na zboczu, na krańcach urodzajnych pól.

W oddali na sporym wzniesieniu widział jaskrawożółtą chatę. Otaczał ją nowy płot zbity ze sztachet. Dom miał pomalowane na niebiesko okiennice, ale został dopiero niedawno postawiony. Dlaczego Johanna nie wspomniała o tym w liście? Do takiego nowego domu cała wieś wskazałaby drogę. Zboczył i schował się między drzewami. Pachniało mocno igliwem i żywicą, kiedy dotknął ręką jakiegoś pnia, poczuł, że kora jest lepka.

Taksował wzrokiem zabudowania na górze.

Całkiem nowy dom.

Obok jeszcze jeden budynek i nieduży chlewik, czy raczej obórka, w której mogło się pomieścić kilka owiec. Ponad obejściem porośnięte zieloną trawą zbocze, kończące się ostro stromym osypiskiem. Pod ścianami żółte i niebieskie kwiaty.

Erlend drgnął, kiedy na górze drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, które słychać było aż tutaj. Nowe zawiasy, jeszcze niewyrobione.

Mężczyzna na kamieniu przed progiem przeciągnął się z głośnym westchnieniem. Nie miał na sobie koszuli, tylko jakieś obciste spodnie i coś w rodzaju

kamizelki. Czarne włosy mieniły się w porannym słońcu niczym skrzydła kruka.

Erlend poczuł, że serce bije mu w oczekiwaniu.

To Ravi, syn mordercy.

Trafił więc we właściwe miejsce.

Mimo woli wstrzymał oddech, kiedy mężczyzna odsunął się na bok i mówił do kogoś, kto znajdował się w domu.

- Chodź, Hanno, przejdziemy się trochę.

I oto ona sama wyszła przed dom, przekroczyła wysoki próg, mrużąc oczy przed słońcem, ujęła ramię mężczyzny.

Miała na sobie zieloną spódnicę, a na ramionach szeroki szal. Szara bluzka była bez rękawów.

Erlend poczuł, że krew zaczyna się w nim gotować.

Uśmiechała się do mężczyzny, Erlend wiedział, że akurat w tej chwili on patrzy głęboko w jej niezwykle oczy. Oczy czarownicy. Żaden inny człowiek na świecie nie ma takich oczu.

Mężczyzna pomógł jej zejść na podwórze, Erlend ledwie był w stanie ustać w miejscu. Jeśli pójda drogą w dół, to będą musieli przejść obok niego na wyciągnięcie ręki, może zauważą postać, ukrywającą się w zaroślach.

Oni jednak poszli w górę, do sąsiednich zabudowań. Słyszał, że rozmawiają ze sobą spokojnie. Kobieta przystanąła, wskazywała ręką w stronę drogi, mężczyzna podskoczył w tamtym kierunku, kamienie i kępki uschłej trawy posypały się w dół, wyrwał jakąś roślinę i otrząsał korzenie z ziemi. Z daleka widać było, że to naparstnica.

Kobieta oberwała kwiaty, a łodygę i korzenie wyrzuciła. Wyjęła spod szala woreczek, do którego schowała płatki. Mężczyzna szedł u jej boku, kołyszący się chód Johanny wydał się Erlendowi obcy. Teraz, kiedy widział ją z włosami ukrytymi pod czepkiem, nie bardzo dowierzał, że to mimo wszystko ona. Serce jednak tłukło mu się w piersi na jej widok, błyskawice przebiegające przez głowę świadczyły, że się nie myli.

Kobieta idąca tam w górę i pozwalająca się obejmować innemu mężczyźnie z pewnością jest jego żoną. Jego podstępna, zdradziecka, niewierna małżonka.

Mógł teraz rzucić się na nich i wbić nóż w serca obojga. Wszystko w nim krzyczało z pragnienia zemsty, ale za wszelką cenę starał się opanować, sam siebie przekonywał, jak wiele by stracił, gdyby uległ pragnieniu, gdyby pobiegł za nimi i

posłuchał tego piekącego bólu, który rozpalał w nim widok Johanny.

Upadł na leśne poszycie, oparł się o pień drzewa, poczuł, że kurtka lepi się od żywicy. Pozwolił, by ręka wydobyła przypięty do pasa nóż, stal była lśniąca, świeżo wyostrzona, ale przecież on sam zdążył się zaznajomić z tym narzędziem, poznał osobliwą ostrość cudzoziemskiej stali, z której zostało wykonane. Rękojeść zrobił mu pewien kowal z Gudbrandsdalen, wytwórca noży, który chyba z większą zręcznością potrafił pięknie obrabiać kość, niż formować stal.

Rękojeść została ozdobiona wypalonym ornamentem oraz srebrną intarsją. Róg był tak wypolerowany, że kiedy Erlend unosił nóż do twarzy, widział w nim odbicie własnych oczu.

Stal cięła żdzbla trawy, gdy opuścił nóż na ziemię.

Erlend wydał wargi w szyderczym grymasie.

Nie chciał widzieć, że Johanna krwawi. Ale prędzej czy później sprawi sama, że będzie musiał to zrobić.

Tylko jeszcze nie teraz, nie dzisiaj. I chyba nie jutro ani nawet pojutrze.

Najpierw muszą wrócić do domu.

Johanna nie będzie wątpić, że on gotów jest użyć noża przeciwko białej skórze, będzie mu towarzyszyć bez oporu. Poza tym z pewnością będzie się bała o dziecko.

Dziecko musi być jego. Wygląda na to, że Johanna urodzi lada dzień. To by się zgadzało z terminem, kiedy ją po raz ostatni zmusił do uległości. Jeden Bóg wie, czy uprawiała nierząd z tym włóczęgą, jeszcze zanim z nim uciekła, ale nietrudno będzie się przekonać, czy rzeczywiście tak było. Erlend nie miał wątpliwości, że w tym samym momencie, kiedy matka wyda maleństwo na świat, on rozpozna, czy dziecko jest z jego krwi.

I jeśli się okaże, że nie jest jego...

Spojrzał na nóż z uśmiechem.

Ona na pewno będzie robić wszystko, by ochronić swego bękarta. To by była znakomita broń przeciwko niej, gdyby tylko on był w stanie tolerować takiego odmieńca w swoim domu. Johanna nie powinna żyć ani dnia dłużej bez świadomości, że jej los został przypieczętowany. Powinna zostać rozdarta na strzępy, obita, oczyszczona niczym grube konopie, które trzeba długo tłuc, by zmiękły, nabrały blasku i nadawały się na liny.

Taki właśnie jest obowiązek mężczyzny w małżeństwie, tyle pojmował.

Erlend wyrzucał sobie, że nie od razu to zrozumiał i pozwalał na początku, żeby Johanna robiła, co chce, by biegała jak suka...

Teraz widział ją w górze niczym zieloną plamę, zieloną, poruszającą się plamę z tym ubranym na czarno złodziejem u boku.

Erlend wepchnął nóż do pochwy, poczuł na udzie znajomy ciężar.

Raviego zamorduje z radością. Jeśli dziecko okaże się jego własne, będzie potrzebował innych metod obchodzenia się z Johanna. Latała tak bezwstydnie za tym obcym przybłądą. Może się zdarzyć, że zechce ofiarować własne życie, by uniknąć kary, ale życie dziecka będzie z pewnością cenić wyżej.

W porządku, trzeba zobaczyć, jak się sprawy mają, i postępować zgodnie z tym.

Może ona zechce wrócić całkiem dobrowolnie, może dość ma wodnistej zupy i szorstkiej bielizny z samodziałowego płótna? Może nawet dla takiej suki jak ona cena okazała się zbyt wysoka?

Erlend cieszył się po wariacku na moment, kiedy spojrzy jej w oczy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poduszka, na której leżał, była bardziej miękka niż puch, ale skóra, którą muskał wargami, wydawała się mocniej rozpalona niż kamienie w nowym piecu. Jej piersi były napięte, a zarazem niezmiernie delikatne pod jego policzkiem, niemal z lękiem dotykał brodawek. Zrobiły się teraz większe, ciemniejsze i przez to jeszcze bardziej kuszące. Jęknęła, kiedy przywarł do jednej wargami, on zaś poczuł na języku słodki smak.

Johanna obie dłonie splotła na jego karku, łaskotała go leciutko u nasady włosów, drapała paznokciem za uchem, czuła, że piersi rozsadza jej dawna, szalona radość.

Dzisiejszego wieczoru najwyraźniej się nie bał. Od bardzo dawna Ravi poprzestawał na delikatnych pieszczotach, a dłonie drżały mu raczej ze strachu niż z pożądania. Często przeżywali takie magiczne chwile, ale on przytulał się tylko do Johanny, nie miał odwagi pojąć ciała, które teraz należało nie tylko do niej.

Dzisiaj jednak, gdy do rozwiązania pozostało już bardzo niewiele dni, a potem ona znowu odzyska władzę nad swoim ciałem, wyglądało na to, że Ravi odrzucił wszelką rezerwę i pragnął zbliżyć się do niej możliwie najbardziej.

Całował białą skórę pod pępkiem, roześmiany dotykał językiem wżgórka

sterczącego na brzuchu.

- Czy to możliwe, by dziecko miało taki wielki nos? - śmiał się i łaskotał ją delikatnie.

Johanna przyjęła go z czułością, którą gromadziła od bardzo dawna.

Tym razem nie musiała ujmować jego ręki i przesuwać jej po swoim ciele, tym razem on sam znajdował drogę do najświętszego miejsca, zupełnie bez jej pomocy. Ona przymknęła powieki i rozkoszowała się dotykiem jego warg na piersi, chciała poprosić, by ssał mocniej, chciała wiedzieć, jak to będzie, kiedy dziecko już przyjdzie na świat. Ravi jednak całował ją bardzo delikatnie, przesuwał wilgotne wargi po całym jej ciele. Słyszała, jak cichutko mlaszcze, słyszała jego oddech i czuła chłód na wilgotnej skórze.

Potem ucisk na piersi zelżał, Ravi zsunął głowę niżej, ona wyciągała ręce, wciąż złożone na jego karku, uniosła się lekko, objęła jego gorące ciało, które przywierało do niej.

Nowe, przytwierdzone do ściany łóżko trzeszczało cichutko. Było bardzo podobne do starego, ale dużo szersze, a nad wezglowiem Truge wymalował najpiękniejszy czerwony wzór.

Łóżko było niskie tak, że ani wstawanie, ani kładzenie się nie sprawiało kłopotu. Teraz Ravi zsunął się z pościania i klęczał przy nim, wciąż gładząc ciało Johanny drżącymi rękami i przesuując je delikatnie na bok.

- Leż tak, moja najdroższa, chcę na ciebie patrzeć... muszę zapamiętać cię właśnie tak...

Oczy Johanny się zaszklily, wpatrywała się w niego uważnie.

- Cudownie, kiedy mnie tak dotykasz... twoje dłonie są dobre... żywe... Twarz Raviego płonęła w tę ciepłą noc. Johanna przymknęła oczy. Czuła, że ją też palą policzki.

Jego spojrzenie wywoływało w niej słodkie oczekiwanie.

Nadal ją pieścił, za palcami przesuwały się wargi, w końcu ona nie była już w stanie leżeć spokojnie. Jęknął z rozkoszą, kiedy przytuliła się do niego i całym ciężarem pociągnęła go do siebie, na pościanie.

Powstrzymywał się, nie chciał przygnieść dziecka, ale uległ jej natychmiast, gdy tylko uświadomił sobie, że ona chce go mieć bez żadnych ograniczeń. Tyle razy powtarzała mu szeptem, że to nic groźnego, że dziecko jest teraz bezpieczniejsze, niż będzie w jakimkolwiek miejscu po urodzeniu. On jednak nie miał odwagi do końca

jej uwierzyć, dopiero teraz.

Teraz zresztą i tak nie byłby w stanie się opanować, miał wrażenie, że Johanna go wsysa, jakby on również miał przeniknąć do jej brzucha i prowadzić tam jakieś tajemnicze życie.

Delikatniej niż kiedykolwiek, ciepłej, nigdy nie czuł aż tak wyraźnie pulsującej krwi.

Podparł się jedną ręką, drugą położył na jej policzku, ona odwróciła głowę i pocałowała jego dłoń, znowu zamykając oczy.

Przeczuwał, że za chwilę straci panowanie, starał się jeszcze uspokoić ciało, pochylił się, żeby pocałować ją w usta.

Czule, delikatnie, wstrzymując oddech, przywarli do siebie wargami i pozwolili, by gwałtowne bicie dwojga serc połączyło się w jedno, pociągnęło ich za sobą w otchłań.

Nigdy nie widział jej takiej, nie miał odwagi spojrzeć w oczy Johanny w tej najważniejszej chwili, ale jej twarz była taka otwarta i promieniejąca, że nie mógł oderwać od niej wzroku.

Połączyli się, szum w uszach przypominał ów wiecznie towarzyszący mu łoskot, teraz jednak było tak, że czarne stawało się białym, a mrok przemienił się w promienną jasność.

To mnie uleczy, pomyślał i opadł na nią z ciężarem, na który świadomie nigdy by sobie nie pozwolił.

Wszystkie bolesne rany zostaną uleczone, zabliznione dzięki temu.

Ona chyba odczuwała to samo, bo zobaczył w jej oczach łązy radości i coś, co odbierał jako wdzięczność.

Cieszył się, że nie oczekiwała teraz żadnych słów, był rad, że Hanna zawsze ceniła świętość milczenia i że pozwalała mu trwać w poczuciu spokoju, nie zmuszała go, by natychmiast wracał do rzeczywistości. Powoli przedzierał się przez zasłonę mgły, a kiedy odezwała się szeptem, był już na najlepszej drodze, by pogrążyć się we śnie.

- Powinieneś tak spać, we mnie - powiedziała, przyciskając go mocno do siebie ramionami i nogami, układając się równocześnie wygodniej na boku.

Westchnął zadowolony i poczuł, że silne kobiece mięśnie obejmują go bardzo mocno.

Zaczęła cichutko śpiewać, słowa pieśni już kiedyś słyszał, było w nich

wspomnienie dzieciństwa, melodia, którą ona również wielokrotnie słyszała przed nocą. Teraz to on zasnął przy dźwięku niskich tonów a już niedługo Johanna będzie śpiewać kołysanki innej istocie.

Leżała teraz, nie śpiąc, a kiedy skończyła śpiewać, usłyszała, że dalekie odgłosy nocy wdzierają się do chaty.

Ravi wciąż dotykał wargami jej piersi, zasnął w tej pozycji, ciepły oddech wciąż łaskotał skórę, ciemna brodawka kuliła się pod jego pieszczotą.

Leżała spokojnie, kiedy poczuła pierwsze, słabe oznaki zbliżającego się rozwiązania, jakby spazm rozkoszy, który dopiero co przenikał jej ciało, nigdy nie miał się skończyć. Odbierała te drżenia niczym wypowiedane szeptem obietnice, wciąż jeszcze znajdowała się w rozkosznym uniesieniu. Wiedziała, że wkrótce charakter skurczów się odmieni, wiedziała, że będzie się wic w bólach i przeklinać je, ale tymczasem były jeszcze niczym delikatny plusk fali o brzeg, jeszcze mogła drzemać, wiedząc, że dzień, który nadejdzie, będzie pierwszym dniem reszty jej życia.

Nie był całkiem pewien, czy noc jest jego sprzymierzeńcem. W tym szaroniebieskim świetle każdy mógł zobaczyć mężczyznę idącego brzegiem jaru. Z zagród w dolinie dochodziły głosy ludzi, chociaż noc weszła już w swoją najciemniejszą fazę. Młodzi znajdowali się we władaniu gorączki świętojańskiej nocy, Erlend bardziej to wyczuwał, niż wiedział. Młodzieńcy przemykali po kryjomu po leśnych zaroślach i łąkach z jedną tylko myślą: dostać się na jakiś paniński strych, znaleźć się w jakimś ciemnym alkierzu.

Ten i ów był pewnie umówiony z dziewczyną, wystarczyło krótkie spojrzenie, nieśmiały rumieniec i skinięcie głową, kiedy wymienił miejsce spotkania gdzieś z dala od innych ludzi.

Erlend prowadził ze sobą oba konie, irytował go stukot kopyt, kiedy prowadził je po wąskiej, kamienistej drodze.

Karczmarz uśmiechał się porozumiewawczo, kiedy gość zapłacił za gościnę, oświadczając, że zabierze tylko krewniaka mieszkającego w okolicy, a potem pojedzie dalej. Dnie były teraz za gorące na jazdę, postanowili więc, że będą podróżować nocą. Zanim nastanie ranek, znajdą się w każdym razie wysoko w górach, gdzie powietrze jest chłodniejsze.

Karczmarz otarł umazane tłuszczem ręce o spodnie i powiedział:

- Życzę dobrej drogi. A jeśli znajdziesz się znowu w tej okolicy, to wiesz, gdzie szukać postania i dobrego piwa.

Erlend podziękował skinieniem głowy i zarzucił siodło na drugiego konia. Było męskie, zupełnie nowe, zrobione z bardzo dobrej skóry, a miękki skórzany fartuch, okrywający koński grzbiet i przed, i za jeźdźcem ozdobiono czerwonymi rzemieniami.

Karczmarz ziewnął.

Erlend czekał za płotem, dopóki nie usłyszał trzaśnięcia kuchennych drzwi i ciężkich kroków gospodarza po schodach na górę.

Wtedy napięcie trochę go opuściło, kilkakrotnie zaciągnął się mocno ciepłym nocnym powietrzem, a potem skierował konie w stronę placu tingowego.

Malarz przyniósł mu maść, ale najważniejsze były informacje o niej. Teraz był już absolutnie pewien, że znachorka, która sporządziła maść, to Johanna. Zresztą widział ją na własne oczy. Nie miał powodu dłużej czekać, szczerze mówiąc, nie powinien był tutaj czekać, a bolesne uczucie w piersiach też go nie opuści, dopóki jej nie dopadnie.

Ostatni kawałek drogi do Plassen Erlend pokonał sam. Drobnym krokiem przebył pełen cieni las, przemykał parowem, słyszał parskanie koni, które przywiązał do drzewa u podnóża wzniesienia. Miały tam stać i czekać, zresztą były do tego przyzwyczajone, nakarmił je, więc z pewnością będą się zachowywać spokojnie, dopóki pan nie wróci. On zaś nie potrzebował zbyt wiele czasu.

Jedną ręką Erlend trzymał rękojeść broni ukrytej pod kurtką na szerokim pasku. Przedmiot w skórzanym futerale wydawał się delikatny, ale był to przecież ciężki, zimny pistolet z rodzaju tych, którymi wojskowi wyższej rangi zabijali się nawzajem i podczas wojny, i w osobistych starciach. On też został rażony tą bronią, choć obyło się bez przelewu krwi. Po prostu handlarz sprzedał mu pistolet za podwójną cenę, ponieważ Erlend był pijany i dał się zwieść cienkiej warstwie srebra nad spustem i złoconym inicjałom, które odpowiadałyby jego własnym, gdyby używał nie tylko swego imienia, lecz także imienia ojca.

To jest moja broń, została przeznaczona dla mnie na długo przedtem, zanim się urodziłem, myślał następnego ranka, kiedy oszołomiony szukał po kieszeniach reszty pieniędzy i pojął, że ubił interes, który pochłonął wszystko.

Ale to nie miało znaczenia.

Broń dawała mu siłę i przywracała jasność spojrzenia.

Przez ostatnie trzy noce spał niewiele, czasem zmęczenie zwałało się na niego niczym fala powodzi. Teraz jednak z napiętymi do ostateczności zmysłami i z dłonią

zaciśniętą na pistolecie...

Erlend czuł, że jakaś straszna siła rozsadza mu piersi. Dzisiejszej nocy nie ustąpiłby pola żadnemu mężczyźnie. Dzisiejszej nocy wszystko musi się stać wedle jego woli.

A Ravi... ten włóczęga to może z trudem by się obronił przed wyrostkiem nacierającym na niego ze zwyczajnym kijem.

Dom stał pogrążony w ciszy.

Jakieś ptaki śpiewały w lesie, nie przerywały swego nocnego świergotu, chociaż ludzie kręcili się w miejscach ich gniazdowania.

Erlend wiedział, że dom ma okna z trzech stron. Wiedział, że gospodarze prawdopodobnie śpią przy szczytowej ścianie, której letnie słońce nie ogrzewało zbyt długo, w związku z czym w tej części domu panował zawsze przyjemny chłód.

W izdebce z tamtej strony znajdował się mały otwór okienny.

Długo się nad tym zastanawiał: Czy powinien tamtędy wślizgnąć się do środka? A może lepiej sforsować drzwi?

A może tylko narobić hałasu na zewnątrz, to mieszkańcy domu z własnej woli wyjdą na dwór, żeby zobaczyć, co się dzieje?

W końcu znalazł rozwiązanie. Wołał nie robić hałasu, nie wywoływać zamieszania. Kobięcy krzyk w taką noc na pewno ściągnąłby tu ludzi natychmiast. Dom już się kiedyś palił, ludzie by przybiegli na każde wołanie ze strony Plassen.

Nie, powinien ich obudzić i sprawić, by sami odsunęli skobel..

Stał przez chwilę na popękany kamieniu przed drzwiami i nasłuchiwał.

Cisza, cisza.

Uniósł ręce, zacisnął pięści, kostki były twarde i białe. Pistolet zaczął go palić pod kurtką. Na jednym udzie dyndał nóż. Drugi nóż nosił ukryty w cholewie. Oddech Erlenda zmienił się teraz w krótkie, urywane pojękiwanie. W głowie miał myśli jasne niczym krystaliczne szkło, wspominał wszystkie swoje upokorzenia, cały gniew, i koncentrował się na kobiecie o ciemnych włosach.

W końcu zapukał, zaczął mówić wysokim głosem, akurat odpowiednim do wiadomości, którą chciał przekazać.

- Obudźcie się! Anno Plassen, otwórz! Musisz pomóc nieszczęsnemu, konającemu człowiekowi!

Zastukał cztery czy pięć razy, przyłożył usta do szpary w drzwiach i wołał półgłosem. Potem czekał, wiele razy wciągnął i wypuścił powietrze, nasłuchiwał

długo, aż znowu zaczął bębnić.

- Musicie się obudzić, och, ludzie, ratujcie moją nieszczęsną żonę i dziecko...
W ten sposób pewnie wielu ludzi stało tu nocą i stukało, odkąd w chacie zamieszkała Johanna. Przypominał sobie takie irytujące wizyty nocami na początku swego małżeństwa, pamiętał, jak całowała go i znikwała, przerywając najczulsze pieszczoty, przeproszała tylko, że musi iść, bo to jej chrześcijański obowiązek.

Na koniec w izbie zaszurały czyjeś kroki, słyszał przyciszoną rozmowę.

Zaskrzybiało drewno, kiedy odsuwano nowy skobel.

Cofnął się o krok, chciał mieć lepszy widok.

Pistolet mignął teraz pod rozpiętą kurtką.

Oczy Raviiego były lśniąco czarne, niczym naoliwiony metal.

- Stój spokojnie - syknął Erlend. - Jeden krzyk i zrobię koniec z wami obojgiem.

Starał się dostrzec wewnątrz izby ponad ramieniem mężczyzny, Ravi jednak był tego samego wzrostu co on, a za jego plecami, w ciepłej izbie, nie ukazała się jak dotychczas kobieca postać.

Gwałtownie przystawił broń do piersi Raviiego.

- Do środka! Potem z rozmachem zatrzaskał drzwi i wtedy zobaczył przerażoną twarz Johanny. Światło z otworu nadawało jej dziwnie obcy wygląd, wyraz jej oczu był zupełnie inny, niż się spodziewał. Erlend poczuł, że gniew skręca mu wnętrzości, a kiedy jej obce wargi skrzywiły się w uśmiechu, o mało nie wybuchnął.

Ale pistolet pewnie spoczywał w ręce Erlenda. Erlend powiedział:

- Przyszedłem, żeby się z tobą porachować, żono! Ravi spał tak mocno, że Johanna musiała go szturchać wiele razy, zanim oszołomiony usłyszał stukanie do drzwi i zaczął wciągać spodnie.

Ona również narzuciła jakieś ubranie, ramiona okryła szalem, szorstka tkanina drapała ciepłą od snu skórę.

- O co chodzi? - zapytał Ravi zirytowany.

- Ktoś wzywa pomocy - wyjaśniła Johanna szeptem.

- Przecież nie możesz teraz wyjść z domu - zaprotestował ze złością.

- Nie... - zgodziła się Johanna. Czuła, jakby jakaś wielka dłoń zaciskała się wokół dziecka w jej brzuchu.

- Idź, wytłumacz im... Powiedz, że najpóźniej jutro czeka mnie ciężka praca...

Nie zrozumiał, o co jej chodzi, ale spokojnie skinął głową.

Nie rozpoznał Erlenda, dopóki nie poczuł na piersi chłodu metalu.

A wtedy nie był w stanie wydać z siebie ani jednego dźwięku, ani słowa ostrzeżenia dla kobiety w izbie za nim.

Johanna i Ravi stali niemi, dziwiąc się, że przybyły nic nie mówi. Nagle ona usłyszała ciężki oddech i zdrętwiała.

Ktoś chciał zrobić im krzywdę.

Strach ją sparaliżował, nie była w stanie się ruszyć, nawet kiedy Ravi wolno cofnął się w głąb izby, a tamten posuwał się za nim.

Najpierw chciała do niego krzyczeć, wołać, by wziął wszystko, co mają, ale ich oszczędził ze względu na dziecko. Ale wtedy jej oczy dostrzegły znajome rysy, chociaż serce nie chciało przyjąć tego do wiadomości.

Poczuła, że kręci jej się w głowie.

Przerażenie działało tak silnie i obezwładniająco, jak napój z szaleju.

Nie była w stanie nad sobą panować, przez głowę przelatywały błyskawice:

On wrócił, przyszedł z królestwa zmarłych, by żądać zapłaty za życie, które mu odebrała.

Wtedy jednak zobaczyła, że tak dobrze znajome wargi się poruszają, potem dostrzegła owłosione dłonie. Słyszała skrzypienie butów, słyszała jego zdyszany oddech. I zapach, dalekie echo jego zapachu.

To nie upiór, nie żaden duch z nieba ani diabeł z piekła.

To Erlend z krwi i kości.

Johanna stała sparaliżowana i wpatrywała się w przybyłego, lodowaty strumień przepływał przez jej ciało, obmywał, płukał. Poczuła, że wargi układają się w uśmiech.

Dzięki ci, dobry Boże, że mimo wszystko nie jestem morderczynią!

Wtedy to jego słowa spadły na nią niczym cios:

- Przyszedłem, żeby się z tobą porachować, żono!

- Erlend - wyszeptła. Ravi zwrócił się do niej bardzo wolno. Nie bój się, moja Hanno, zdawały się mówić jego oczy. Skrzyżowała ręce na piersiach. Przez chwilę chłonęła spokój emanujący od Ravięgo, potem znowu spojrzała w twarz Erlenda.

- Przychodzisz nocą, Erlendzie, jak przestępca. Zachichotał.

- Myślałaś, że nie żyję, prawda? Nie odpowiedziała. Dostrzegła broń w jego ręce, wiedziała, że nosi w sobie dość nienawiści, by zabić ich wszystkich troje.

- Nie było dnia, bym nie błagała Boga o wybaczenie tego, o czym myślałam, że jest moim najcięższym przestępstwem. Tak, byłam przekonana, że cię zabiłam...

- A zatem to bardzo dobrze, że cię odszukałem - odparł lodowato, ale najwyraźniej bardzo zadowolony.

Johanna drgnęła, jakby płynący od Erlenda chłód już zaczął mrozić jej serce. W brzuchu czuła lekkie skurcze i nagle skrzywiła się z bólu. Teraz odezwał się Ravi:

- Johanna jest chora. Chyba widzisz, że ona nie może teraz podejmować żadnych rozrachunków!

Erlend, cofając się, podszedł do stołu, pistoletem strącił świecznik z płonąca świecą, jakby chciał podpalić małą chatę. W izbie zapanował zupełnie inny nastrój.

- Siadajcie! - rozkazał krótko. - Tam, na łóżku! I tam, w kącie na podłodze! Ravi myślał: Jeśli teraz się na niego rzucę, on zabije mnie natychmiast jednym strzałem. Ale czy wtedy zdążę pociągnąć go za sobą? Czy zdążę wbić w niego nóż, zanim podpali izbę?

Instynkt podpowiadał mu, że to zbyt ryzykowne przedsięwzięcie. A była tylko jedna sytuacja gorsza od tej, w jakiej się znajdowali, ta mianowicie, że Johanna zostanie sama z napastnikiem.

On mnie zabije, prędzej czy później. Na razie jest jeszcze spokojny i jeśli będę grał na zwłokę, to może wymyślę jakiś podstęp, uznał Ravi.

Usiadł więc bez protestów. Erlend popędzał go kopniakami, zmusił, by wpełzł do kąta. W przeciwległej części izby Johanna została popchnięta na łóżko.

Sam Erlend ulokował się między nimi dwojgiem na stołku. Wciąż mierzył z pistoletu w wielki brzuch Johannny.

Ravi czuł, że pot spływa mu z czoła strumieniami, czuł, że w jego głowie grzmi wzburzona rzeka i że dalekie światy go wołają. Wbijał paznokcie w sękatą deskę, jakby chciał za wszelką cenę zostać w tej izbie.

Udało mu się to, nie pozwolił, by burza się w nim rozpętała, słyszał tylko w głowie jej głucho, dalekie echo.

W pełni świadom tego, co się dzieje, trwał i słuchał, jak tamci dwoje wymieniają jakieś krótkie, skąpe zdania. Ale coraz bardziej zaczynały go opanowywać wizje z innej, odległej rzeczywistości. Przelatywały przez jego głowę niczym ostrza noży, zardzewiałe i tępe, mimo to wciąż jeszcze mordercze.

Mężczyzna, który odmówił pomocy chłopcu i jego ojcu w śnieżnej zamieci. Chłopiec życzył mu nagłej śmierci i złamania karku, pragnął tego tak intensywnie, że

wszystko dokładnie zobaczył. Był jeszcze dzieckiem, a przecież wkrótce znalazł ciało tamtego na osypisku. Jeszcze pamiętał okrutny uśmiech ojca i jego twarde ręce.

A kobieta z Fortun...

Taka zła i bezlitosna.

Widział również ją, jak cierpiała z powodu swej nieżyczliwości.

Było jeszcze wielu, wielu innych.

Ludzie, którzy mieli to, czego on nie posiadał.

I ludzie, którzy potraktowali go jak psa.

Może również ojciec. Może spadające na niego plagi były odzwierciedleniem złych myśli chłopca.

Wiedział o tym, w jakimś miejscu w głębi duszy tkwiła pewność, że tam, gdzie znajdowało się źródło nienawiści, tkwiła również zimna siła. Wiedział, że może usuwać choroby i leczyć je, ale też ma moc ich wywoływania.

Przewidywał przyszłość ludzi, bywało, że ich myśli przenikały do jego umysłu.

Teraz mógłby odgadnąć przyszłość Erlenda.

Zamiast tego skoncentrował się jednak na nogach intruza, chciał, żeby stały się ciężkie jak z ołowiu.

- Musiałaś się czuć bezpieczna, Johanno... Tak daleko ode mnie? Powinnaś jednak wiedzieć, że to zaledwie parę dni drogi. Jesteś głupsza, niż myślałem!

- Zamilcz, Erlendzie! Powiedz lepiej, dlaczego przyjechałeś? Roześmiał się krótko, ostro.

- Ty jesteś naprawdę głupia, kobieto! Czy myślisz, że Erlend Storlendet pozwoli komukolwiek odejść z czymś, co należy do niego?

- Nigdy nie byłem twoją własnością, Erlendzie. Wiesz o tym. A wyjeżdżając, nie zabrałam też niczego, co by należało do ciebie.

Teraz mężczyzna pochylił się ku niej, mówił tak cicho, że ledwo było go słychać.

- Posiadałem cię, Johanno, od chwili, kiedy przyszłaś na świat. Od tamtej chwili! Nasi rodzice zawarli umowę już w czasie, kiedy my oboje wrzucaliśmy kamyczki do wody fiordu. I później. - Jesteś moja i cały świat przyzna mi rację!

- Nie wrócę z tobą. W kąciakach jego ust zbierała się piana. Pistolet dygotał złowieszczo.

- Powinnaś się teraz mieć na baczności, Johanno. Jeśli jest tak, że twój

kochanek posiada nadprzyrodzoną moc, żeby cię zatrzymać, to będę zmuszony zabić go jak psa, którym w istocie jest. Tu i teraz...

Instyktownie jednak Erlend wyczuwał, że jeśli choć na chwilę odwróci pistolet od Johanny, sam znajdzie się w niebezpieczeństwie. Bo ów pies natychmiast spadnie mu na kark.

- Nieprawdaż, synu mordercy? Siedzisz tam i zastanawiasz się, co zrobić, żeby uratować swoją dziwkę, co?

Johanna dziwiła się, dlaczego Ravi nie odpowiada, dlaczego tak siedzi w tym kącie z opuszczoną głową i żałośnie skrzyżowanymi nogami.

Co się z nim dzieje?

Ostatnie, czego by pragnęła, to to, by Ravi rzucił się na Erlenda, bo gdyby ci dwaj nawzajem się pozabijali, to już nigdy by nie było żadnego wybaczenia. Gdyby bowiem przyszło co do czego, nikt by nie uwierzył, że Ravi zabił Erlenda w obronie własnej. Erlend przecież nie był żadnym złoczyńcą, miał pełne prawo tu być jako jej ślubny małżonek i jeszcze zdobyłby sobie współczucie ludzi, gdyby to on zabił Ravięgo.

- To tchórz, ten twój byczek. Zresztą zawsze o tym wiedziałem. Tyle czasu żył tu, trzymając się twojej spódnicy, a teraz, jak sama widzisz, wcale się nie rwie, żeby nadstawiać głowę w twojej obronie, Johanno!

Na twarzy Erlenda dostrzegła głębokie bruzdy. Widocznie nienawiść wyłobowała zmarszczki na czole i policzkach młodego przecież jeszcze mężczyzny.

Zobaczyła, że podnosi się z miejsca, izba wydawała jej się rozległa niczym morze, oczy Erlenda mieniły się złowieszczą, pistolet nawet nie drgnął w jego ręce.

- Patrz na mnie, Ravi, synu mordercy! Już przegrałeś! Johanna poczuła zimny metal na skroni.

Całe ciało przeniknął strach. Ale wargi Erlenda, wilgotne i niemal tak samo zimne jak metal, sprawiły, że przerażenie dodało jej sił, zapomniała o pistolecie. Erlend trzymał ją mocno za włosy, szarpał, jakby chciał je oderwać od czaszki. Chciała krzyknąć, wzywając pomocy, zamiast tego jednak zacisnęła zęby i jęknęła:

- Ravi, nic nie rób, bo on cię zabije... Biały krzyż nad plecami Erlenda był jedynie błyskiem pośrodku rozpalonego do czerwoności gniewu i dzikiego oszołomienia i to właśnie ów błysk pozwolił się Raviemu opanować.

Słyszał, że huk wewnętrznego wodospadu narasta, nie wiedział, do jakiego stopnia może go uwolnić, nie wiedział, gdzie jest granica między siłą a bezradnością,

zawsze bowiem przedtem zanurzał się w rzece gwałtownie, gdy tylko pojął, że nie opłaca się stać już dłużej na brzegu.

Teraz znajdował się na pograniczu, na pograniczu, z którym od wielu lat nie miał do czynienia. Słyszał każde słowo, widział każde zdarzenie, widział, jak Johanna walczy z rękami, które szarpią na niej ubranie, a zarazem nie widział tego.

Rzekę należało skierować w stronę mężczyzny z bronią. To jemu powinna podciąć nogi.

Jak w zamroczeniu siedział skamieniały i zmuszał się, by nie spuszczać oka z tego, co się dzieje, gdy tymczasem świetlisty krzyż błyskał na ciele Erlenda. Ravi wiedział, że w izbie znalazła się śmierć.

Bez zdziwienia przyglądał się, jak Erlend pada, gwałtownie, jakby ręce Johanny, bezradnie wymachujące w powietrzu, wymierzyły mu bardzo silny cios.

Słyszał tasiemcowe przekleństwo, wyczuwał w głosie tamtego strach. Widział drzenie napastnika, widział we wzroku Johanny nieme zrozumienie. Mrużyła oczy, a kiedy Erlend cofał się chwiejnie, skuliła się, obejmując rękami swój brzuch i znajdujące się w nim dziecko.

Jej myśli dotarły do Ravięgo poprzez izbę i raziły niczym błyskawica:

- Nie zabijaj go, nie zabijaj! Wiedział jednak, że wygnanie i tak już trwało za długo i że ona nigdy nie będzie mogła żyć spokojnie, jeśli rachunki nie zostaną wyrównane.

Erlend stał teraz pośrodku izby wyprostowany, Ravi przymknął oczy.

Troje ludzi oddychało ciężko, każde w innym rytmie.

Ravi słyszał, że Johanna chwyta powietrze ze świstem jak tonący i że on sam zachłystuje się jakby w wielkim podnieceniu.

Erlend wydobył nóż.

- Przeklęty synu mordercy... Ravi uniósł głowę i wpatrywał się weń z triumfem. Erlend zaczynał coś pojmować. Twarz wykrzywiła mu się w bólu. Pojawił się na niej strach. I nienawiść. Usiadł i próbował odzyskać panowanie nad sobą, rozbiegany wzrokiem spoglądał to na jedno, to na drugie.

- Skończysz na szubienicy, Erlend. - Głos Johanny brzmiał niepokornie. - Nie odważysz się nic nam zrobić! Nas tu wszyscy znają. Wszystko wyjdzie na jaw, gdy tylko przyjadą moi rodzice!

Zachichotał, zwracając twarz w jej stronę. Johanna zaś mówiła dalej, nagle wstąpiła w nią jakaś desperacka siła:

- Mama i ojciec przyjadą, Erlendzie! Oni o wszystkim wiedzą, i o Ravim, i o twoim okrutnym zachowaniu wobec mnie, wiedzą, że żyję tutaj tylko dlatego, bo myślałam, że cię zabiłam. Oni przyjadą, Erlendzie, może jeszcze dzisiejszej nocy! A wtedy nie unikniesz odpowiedzialności, jeśli zabijesz Ravięgo... albo mnie.

Uśmiech Erlenda znieruchomiał, ale nie tak bardzo, jak oczekiwała. Wprost przeciwnie, było w nim teraz więcej pewności.

- Więc myślisz, moja kochana, że możesz się schować za spódnicą mamusi? Światło zgasło, może knot był za krótki, a może to Erlend gwałtownymi ruchami zdmuchnął świecę.

Roześmiał się teraz głośno i szarpnął jej suknię na piersiach. W izbie było tak ciemno, że Johanna już go nie widziała.

- Rusz się tylko, synu mordercy, a zobaczysz, co ci zrobię! Poprzestrelam ci kolana i ręce też! Będziesz leżał i tonał we własnej krwi, a ja ci pokażę, czyją żoną ona naprawdę jest.

Johanna czuła, że rozpacz dławi ją w gardle, jakby utkwił w nim korek, słowa, które chciała wypowiedzieć, nie miały się jak wydostać. Była gotowa błagać go o litość, prosić o życie na kolanach, gdyby było trzeba.

Robiła to już przedtem, korzyła się u jego stóp, czołgała się po ziemi, zdzierając sobie skórę z dłoni. Nigdy nie przypuszczała, że jeszcze raz będzie musiała to przeżyć, ale w tej chwili wiedziała, że może ją spotkać gorszy los.

Przycisnęła jedną rękę do gardła i wtedy nagle pojawiły się słowa, nabrzmiałe przerażeniem:

- Erlend, nie... nie wolno ci... zrobię wszystko, co zechcesz... nie czyni nam krzywdy...

Mężczyzna z bronią puścił ją i ryknął gromkim śmiechem.

Zauważyła, że zrobił się szczuplejszy. Mimo gniewu poczuła coś w rodzaju dawnego współczucia, przecież to ten sam mężczyzna, o którym w latach wczesnej młodości marzyła w jasne letnie noce, to z nim stawała przed ołtarzem Pana, on jednak okazał się inny, niż myślała.

Czy powinien odpowiedzieć za swoje zło?

Czy może raczej należałoby się nad nim użalać?

Jego życie nie było łatwiejsze niż jej. Wiedziała poza tym, że on nie ma żadnej przyszłości. Erlend nigdy nie odzyska spokoju.

- Aha, miękniemy? - prychnął szyderczo. - Boisz się o swojego bękarta,

Johanno? Widzę to w twoich oczach, pewnie myślisz, że chcę go z ciebie wycisnąć?

Johanna drżała. Ravi poruszył się ostrożnie w kącie. Erlend rozglądał się rozbieranym wzrokiem, w pewnej chwili puścił suknię Johanny i spojrzał pospiesznie w stronę Ravięgo. Wolno przesunął się wraz ze stołkiem bliżej środka izby.

- Nie zabiję twojego dziecka, Johanno, dopóki go nie zobaczę. A wtedy będziemy już w domu, za bezpiecznymi drzwiami! Nawet twoja matka się niczego nie domyśli, obiecuję ci to, jeśli tylko dziecko okaże się prawnym dziedzicem Storlandet.

- Skąd wiesz, że dziecko może być twoje? Teraz mężczyzna z bronią roześmiał się szeroko. Jedną rękę wsunął pod kamizelkę. Wyjął stamtąd coś niewielkiego, jakiś przedmiot zawinięty w materiał. Johanna jęknęła, kiedy zrozumiała, co to. Woreczek z listem. Serce tukało się w piersi, złość wybuchła w niej ze straszną siłą.

- Ten przeklęty Judasz, handlarz... ja mu przecież zapłaciłam... Erlend znowu się roześmiał.

- Nie polegaj na ludziach, Johanno. Taka dorosła kobieta jak ty powinna była zrozumieć to już dawno temu!

Wykorzystała szansę, by podnieść się z łóżka. Pistolet wciąż był w nią wymierzony, musiała się jednak poruszyć, bo skurcze w dole brzucha stawały się zbyt trudne do zniesienia, bolesne.

- Żal mi cię, Erlendzie, skoro doświadczyłeś jedynie zdrady. Mogę zrozumieć, że tak patrzysz na ludzi, wiem, że doszło do tego nie bez mojej winy. Ale jeśli sam nie zdobędziesz się na to, by okazać trochę zaufania, to ty też nigdy go nie doświadczysz.

- Głupie gadanie - przerwał jej nerwowo. Nie lubił dumnej sylwetki Johanny, teraz, kiedy siedział, ona górowała nad nim. Pistolet trzymał jednak pewnie. - Zostań tam - rozkazał krótko.

Opadła na posłanie, chwyciła się boku łóżka i jęknęła, garbiąc plecy. Ravi poruszył się w kącie.

- Siedź spokojnie - warknął Erlend. - Co to znowu za sztuczki? Nie próbuj mi wmawiać, że ty nagle... nie, to by było zbyt piękne, żeby miało być prawdziwe.

- Mama nie przyjedzie - usłyszeli szept Johanny, która wtulała twarz w swoje nagie ramię. Włosy miała zaplecione w ścisły warkocz i upięte dokoła głowy, ale nieposłuszne kosmyki sterczały na wszystkie strony. Przesłaniały jej twarz, głos docierał skądś jakby z wnętrza Johanny.

Erlend oblizwał wargi, zrobił to jakoś niepewnie, ale głos odbił się od ścian:

- Nie wyobrażaj sobie, że mnie zwiedzisz, kobieto! Nie myśl, że dam się nabrać na twoje sztuczki więcej niż jeden raz!

Próbował wstać, ale nie mógł.

Nie bardzo rozumiejąc, dlaczego to robi, wymierzył pistolet w stronę Ravięgo.

Ciemne oczy tamtego jarzyły się w mroku niczym oczy głodnego dzikiego zwierzęcia.

Erlend czuł, że to spojrzenie go paraliżuje, miał wrażenie, jakby stopy wrosły mu w lód. Zimno pełzło w górę po udach i jeszcze wyżej.

W panice wpatrywał się w Ravięgo.

- Co to jest? - warknął niemal niesłyszalnie. - Zabiję cię, ty diabelski pomociu, jeśli nie...

Twarz Ravięgo wykrzywiła się w grymasie, który mógł przypominać maskary w kościelnym portalu. Erlend wysyczał:

- Zabiję cię! Teraz! Wtedy poczuł, że stopy wyrwały się z lodu, oczy Ravięgo były teraz zamknięte.

Johanna stała, trzymając się kurczowo łóżka.

- Erlend, nie rób tego nam i sobie samemu... odejdz w spokoju... wszystko, co moje, należy do ciebie... zapiszę ci wszystko, jeśli tylko...

- Wszystko, co twoje, i tak należy do mnie, Johanno. Bo ty jesteś moja! Puściła oparcie łóżka i zataczając się, ruszyła ku niemu. Podeszła bardzo blisko.

- Na Boga, Erlendzie, nie rób tego! Ściągniesz wielkie nieszczęście na wielu ludzi. Przede wszystkim na siebie. Nie wierzysz chyba, że będziesz po tym wszystkim ze mną szczęśliwy?

- Szczęśliwy? Babskie głupoty! Ja chcę odzyskać honor, Johanno, i tylko ty jedna możesz mi go zwrócić! Czy wiesz, jak mnie teraz ludzie we wsi nazywają? Na wiosennym tingu nawet mnie nie dopuszczono do głosu, chrząkali za moimi plecami, chichotali, a gospodarz ze Svartesjonn roześmiał mi się prosto w twarz. Nikt nie zechce złożyć w moje ręce poważnej sprawy, skoro nawet własnej baby nie umiałem upilnować.

Patrzyła na niego i widziała, że te cierpkie słowa są prawdziwe, że rozpacz z powodu szyderstw, jakie na niego spadły, czyniła go bardziej ludzkim. Wyprostowała się, skurcze znowu dawały o sobie znać.

- Kiedy zobaczą, jak się prowadziłam, na pewno okażą ci wyrozumiałość,

Erlendzie. Kto chciałby trzymać w domu taką żonę?

- Kto chciałby mieć najpiękniejszego nawet konia czystej krwi, jeśli on zrzuca jeźdźca i nie okazuje mu żadnego posłuszeństwa? - odparł Erlend szyderczo. -

Przegonię cię przez całą wieś, Johanno. Wtedy wszyscy zobaczą... że na koniec okiełznałem tę, która nie chciała chodzić w cuglach... będą mieli inny temat do rozmów. I wtedy niech się strzeże każdy, kto chciałby szydzić z Erlenda Storlendet.

Johanna powoli kiwała głową.

- Wyruszymy dziś wieczór, moja droga. I wiesz, czego teraz od ciebie oczekuję, jeśli chcesz uratować swojego kochanka...

Rozumiała wszystko, nie musiał nic mówić. Ale jeśli wypowie to głośno, nie będzie już żadnego wyboru.

Musiała za wszelką cenę wyprawić Ravięgo z domu. Odesłać go, to jedyne, na co Erlend przystanie. Jeśli nie zdoła przekonać Ravięgo, że taka jest właśnie jej wola, czeka go śmierć. Erlend go zabije, co do tego Johanna nie miała najmniejszych wątpliwości.

Starła się jakoś to urządzić, próbowała znaleźć sposób, by osiągnąć cel, ale od początku wiedziała, że to niemożliwe. Nie była w stanie spojrzeć Raviemu w oczy i prosić go, by sobie poszedł. Wiedziała, że on ją za dobrze zna, że dostrzeże strach w jej spojrzeniu.

- Nie mogę - szepnęła gorączkowo. Pochyliła głowę. Poczła w krzyżu pałący ból. Potem się wyprostowała.

- Nie mogę powiedzieć niczego, co jest jawnym kłamstwem, Erlendzie. Nie mogę ukrywać, jaka jest moja wola, to przecież oczywiste dla wszystkich. Ten pistolet w twoich rękach... tylko nim możesz mnie przymusić. I nawet z jego pomocą nie dostaniesz mnie naprawdę.

- Nie pozwolę, żeby on ciebie dostał - warknął Erlend. - Zabiję i jego, i bękartą, jeśli się okaże, że to z nim jesteś brzemienna!

Johanna bez słowa skłoniła głowę.

- Oczywiście... możesz go zamordować. Ale wtedy ja się postaram, żebyś ani jednego dnia nie przetrwał bez lęku o własne życie. Bo w takiej sytuacji nie będę miała już nic do stracenia! Nie będziesz miał mnie czym straszyć!

Erlend nie odpowiedział, ale ona widziała, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim ta prawda.

- Chodź - nakazał krótko. - Ruszamy. Zaraz. Konie czekają. Johanna patrzyła

na mężczyznę z bronią, jakby kazał jej rozwinąć skrzydła, wznieść się w powietrze i przelecieć ponad górą.

- Erlend, to niemożliwe, nie dzisiaj, przecież chyba widzisz... Umilkła, zarumieniła się, nie chciała z nim rozmawiać o tej tak bardzo osobistej sprawie. On stał, mrużąc oczy, i nie ustępował.

- Dziecko, Erlendzie... ono się urodzi jutro, może jeszcze dzisiejszej nocy... Nie mogę podróżować w tym stanie...

Erlend roześmiał się ochryple.

- Poniechaj sztuczek, moja kochana. Już więcej mnie nie nabierzesz!

- Ale to prawda!

- No to urodzisz bachora w rowie - odparł krótko nieprzejednany. Widziała, że nie wierzy, iż poród rzeczywiście może się zacząć w każdej chwili. - Tutaj! Zwiąż go, ręce na plecach, mocno!

Wymachiwał pistoletem, podawał jej sznur, cienki, ale mocny, dobrze skręcony.

Czuła puls Ravięgo pod swoją dłonią, kiedy wbrew swojej woli zaczęła wiązać jego ręce.

- Mocniej! Erlend złapał drugi koniec sznurka i pociągnął z taką siłą, że Ravi syknął z bólu.

- Nie możesz go tak skrępować, ręce mu zdrętwieją, wda się gangrena, może je stracić...

- Będzie mógł się poruszać - burknął Erlend. Znowu szarpnął koniec sznurka.

- No to weź swojego psa - powiedział do Johanny, podając jej sznurek. - I spiesz się, idziemy - ponaglał.

Przed oczyma nieszczęsnej kobiety latały białe płatki, nie mogła się ich pozbyć, wciskały się pod powieki i coraz głębiej w jej ciało. Jak sen, jak zły, paskudny sen.

Ale skurcze i ból w krzyżu były rzeczywiste, oczy Ravięgo były bardziej niż rzeczywiste, a najbardziej rzeczywisty ze wszystkiego był pistolet Erlenda.

Nie pomógł jej dosiąść konia, stał i nie przestawał w nią celować, tylko że teraz pistolet ukrył pod kurtką.

Dopiero kiedy już siedziała w siodle, wziął sznur, którym był związany Ravi, i przytroczył go do swojego konia.

Ravi miał biec za nim jak niewolnik albo przestępca prowadzony na miejsce

kaźni. Johanna była bliska płaczu, miała ochotę krzyczeć i protestować głośno przeciwko tej sytuacji jak z domu wariatów, ale ledwo była w stanie utrzymać się na koniu, kiedy ten ruszył przed siebie nierównym krokiem.

Słyszała za sobą złowieszczy chichot Erlenda.

Niebo na wschodzie poróżwiało.

Pulsujący ból w piersiach, nieco łagodniejsze bóle w brzuchu. Dziecko leżało w niej przerażająco spokojne.

Pewnie się wkrótce obudzi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jechał za nią, czuła na plecach jego wzrok równie mocno jak cały czas w nią wycelowany pistolet. Gdyby ich ktoś zobaczył, musiałby zauważyć, że mężczyzna podążający obok jeźdźców idzie tak blisko konia, że to aż dziwne. Sznura chyba jednak nikt by nie zauważył ani tego, że człowiek ma ręce związane na plecach pod szeroką kurtką. I być może ludzie dziwiliby się temu orszakowi, kobieta na koniu w środku nocy i dwóch mężczyzn tuż za nią.

Nikt by się jednak o nic nie pytał, przynajmniej do chwili, kiedy rozejdzie się pogłoska, że Anna i Knut Plassen zniknęli ze swojego nowego domu. Zresztą chyba by ludzie nie starali się ich odnaleźć. Może nawet by się ucieszyli, pomyśleliby, że pożar albo coś innego ich wypłoszyło. Może by sądzili...

To nie ma żadnego znaczenia.

Johanna spoglądała przed siebie. Do świtu było już niedaleko, ale trzeba będzie jechać parę godzin, zanim słońce wzejdzie.

Mimo to niebo nad wzgórzami stawało się coraz czerwiejsze.

Jak skurcze w jej ciele.

Muszę go zabić, nie mam wyjścia. Ojczy, z pewnością mnie rozumiesz. Muszę go zabić. Pomóżcie mi więc, wszystkie demony, które nawiedzacie moją duszę! Pomóżcie mi, niech straszna rzeka we mnie się wzburzy!

Przez ułamek sekundy uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu błaga, by mu pozwolono znowu wstąpić do tamtego przeklętego świata.

Czuł jednak tylko sznur boleśnie ocierający mu nadgarstki, czuł woń końskiego potu, zwłaszcza gdy się zatoczył i znalazł zbyt blisko zadu zwierzęcia.

Słyszał świszczący oddech Erlenda, widział, jak pierś tamtego podnosi się pospiesznie i opada. Instynktownie Ravi wyczuwał, że tamten się boi, boi się tak

bardzo, że na pewno skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji, by zamordować swego niewolnika.

Ravi wyciągnął szyję, widział przed sobą okryte peleryną plecy Johanny. Siedziała teraz wyprostowana. Wiedział, że cierpi. Niemal fizycznie odczuwał ból przenikający jej ciało przy każdym stąpieniu wierzchowca. Z każdą chwilą porodowe skurcze musiały się nasilać.

Wyczuwał jej rozpacz i strach, ale niezwykle wyraźnie czuł też płynącą od niej siłę. Siłę zawierającą ostrzeżenie.

Potykając się, szedł dalej.

Próbował przewidzieć, co się znajduje za następnym zakrętem.

Wokół panował mrok, mrok był też w jego głowie, spowijał mózg niczym brudna, mokra wełna.

W lesie ptaki zaczynały swoją powitalną pieśń na cześć dnia.

Noc świętojańska.

Ravi został boleśnie potrącony i upadł, gdy koń nagle przystanął, w ułamku sekundy dostrzegł, że Johanna zawraca, Erlend zaklął paskudnie. Ravi zerwał się na równe nogi, chciał biec do Johanny, ale sznur go zatrzymał. Nie krzyczała, jęczała tylko żałośnie, to przerażało go równie mocno jak spływający po jej twarzy pot.

- Dziecko się rodzi... Erlend, tak nie można! Mężczyzna z pistoletem zbladł, ponownie próbował zwilżyć zeschnięte wargi, mocno ściągnął lejce i zatrzymał swego konia a równocześnie, najwyraźniej ogarnięty paniką, próbował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

- Do diabła, przeklęta babo, jeśli łziesz... to ja ci... Pomógł jej jednak zejść z siodła, a potem przywiązał Ravięgo do drzewa.

Od jakiegoś czasu jechali brzegiem rzeki, bo w Torpo, koło kościoła, droga przechodziła przez środek zabudowań. Tutaj w dole można było poruszać się po ścieżkach wydeptanych przez zwierzęta, wąskich wprawdzie, ale dostępnych. W wielu miejscach Erlend prowadził ich przez łąki i pola, gdyby jakiś chłop zobaczył, że depczą w taki sposób bujną trawę na brzegu rzeki, na pewno potraktowałby ich bez litości.

Przesłaniały ich jednak zarośla jarzębiny, wierzby i brzozowe zagajniki, z wyżej położonych domostw nic nie było widać.

Johanna osunęła się na ziemię, obejmując rękami brzuch.

Dyszała niczym pies w upalny dzień.

Ravi szarpał sznur.

- Musisz pozwolić, bym jej pomógł. Musisz... w przeciwnym razie narażasz życie i jej, i dziecka!

Krew całkowicie odpłynęła z twarzy Erlenda. Pojęcia nie miał, jak się zachowywać przy rodzącej kobiecie. Była to dla niego najzupełniej obca sytuacja, Ravi wiedział, że tamten ma mdłości.

- Może się okazać, że dziecko jest twoje, Erlend. A jeśli oboje umrą, wszystko, co zrobiłeś, okaże się daremne. Tam na wsi będą się z ciebie śmiać, że żona ci umarła, zamiast podporządkować się twojej woli...

- Stul pysk, synu mordercy... Erlend syknął raz i drugi, ale wyraźnie się wahał.

Johanna jęczała cicho, skulona siedziała na trawie. Jej wykrzywiona bólem twarz przerażała Erlenda bardziej niż słowa Ravięgo.

- A może chcesz sam odebrać dziecko? - spytał Ravi cicho. Nic nie mogło być Erlendowi bardziej obce niż odbieranie porodu. Wahał się, ale kiedy z ust Johanny wydarł się przeciągły krzyk, podszedł do drzewa i uwolnił Ravięgo.

- Rób, co powinienes. Ale nie zapominaj, że przez cały czas tylko sekundy dzielą cię od śmierci!

Wyjął pistolet spod kurtki, ujął go gołą ręką i wciąż celował w Johannę i Ravięgo.

- I macie milczeć! Jedno słowo, a będę strzelał!

- Boże drogi, Erlend, sam widzisz, że tak nie można! Nie możemy stąd wyjeżdżać w takiej sytuacji! Nie możemy podróżować z noworodkiem... Wyjedź, Erlend! Zostaw nas! Jakoś damy sobie radę, nikomu ani słowem nie wspomnę, że ty...

- Nie! Milcz i wypchnij z siebie jak najprędzej bachora! Nie igrzaj sobie z moją cierpliwością, kobieto!

Johanna poczuła, że Ravi podłożył jej rękę pod kark. Jego dotknięcie sprawiło jej odrobinę radości w tym szaleństwie, nie chciała widzieć mężczyzny, który siedział zaledwie parę łokci stąd i wciąż w nich celował, chciała widzieć tylko te czarne oczy ponad sobą i tę twarz.

- Poradzimy sobie z tym, kochanie... Uśmiechnęła się, nie dopuszczała do siebie złowieszczych ostrzeżeń Erlenda.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła w odpowiedzi.

- Stul pysk! - wrzasnął Erlend. Dziecko urodziło się w chwilę po tym, jak słońce wyjrzało zza wzgórz. W środku rozżarzonego bólu mały chłopczyk został

oślepiiony blaskiem dnia i wydał z siebie piskliwy krzyk, gdy tylko znalazł się w silnych męskich rękach.

Ravi otulił malca w halki Johanny i zmrużył oczy na widok pępowiny.

Był przynajmniej tak samo spocony jak rodząca i sto razy bardziej przerażony. Ale uśmiechał się do niej, jękając.

- To... chłopczyk... jest żywy... W trawie obok nich z głośnym plaśnięciem wylądował nóż. Nawet Erlend wiedział, że ten gruby, siny wąż, nadal łączący syna z ciałem matki, trzeba przeciąć. Ravi zrobił to, zdumiony, że aż tyle krwi wypłynęło z dziecinnego ciała.

Instynktownie zacisnął koniec pępowiny w palcach i zawiązał na supeł. Strasznie dużo krwi i śluzu oblepiało noworodka. Nigdy przedtem Ravi tak się nie bał.

Johanna wyciągnęła ręce do dziecka, chciała je przytulić do siebie, ochraniać. Wzięła przeczące się ciało w ramiona, wystarczyło, że na nie spojrzała.

Ciemne włosy, nie takie lśniące czarne jak włosy Ravięgo, raczej wpadające w brąz, jak jej włosy, kiedy jeszcze była dzieckiem.

Ale ten prosty nosek... te głęboko osadzone oczy... dolna warga wąska i zaciśnięta, w niczym nie przypominająca dużych, wygiętych ust Erlenda. Dziecko nie miało też jego szerokich dłoni, w ogóle nie dostrzegła żadnych cech rodziny Storlendet.

Czarne oczy... nabrzmiałe żyły.

Sine plamy na całym drobnym ciele.

Czerwone znamiona na szyi, początkowo miała nadzieję, że to się zmyje.

Na moment serce Johanny przestało bić.

Matka opowiadała jej o czymś takim.

O chorobie, która pojawiała się w ich rodzinie od wielu pokoleń.

Przekleństwo ciężące nad rodem, które ujawniało się w nieregularnych odstępach czasu. Choroba, na którą cierpiał już syn Liv Andreasdatter, Joril. On żył dość długo, kiedy umarł, od dawna nie był już dzieckiem. Inni jednak umierali zaraz po urodzeniu, jak braciszek babci Maryjki. Johanna niewiele wiedziała o tym, co się w późniejszych latach działo w rodzinie Sunnivy. Te dwie linie nie utrzymywały ze sobą kontaktów. Nic dziwnego, jedna pochodziła od pastora Mogensa Skanke, druga natomiast od Randara Meisterplass.

- Przekleństwo - wyszeptła i lży przesłoniły jej wzrok. Ravi patrzył na nią w

szoku.

- Och, nie, tylko nie to...

Wargi Ravięgo poruszały się, ale żaden dźwięk się przez nie nie przecisnął. Za nimi rozległ się głos Erlenda:

- To najpaskudniejszy bachor, jakiego kiedykolwiek widziałem. Wygląda, jakby go ktoś wychłostał! A te włosy, jak u podmieńca...

Johanna spojrzała w oczy Ravięgo, zamruęła pospiesznie, przycisnęła synka do piersi. Erlend nigdy go nie dostanie. Nagle szum rzeki wydał się bardzo bliski.

W ogóle nie myślał. Żadna konkretna myśl nie przychodziła mu do głowy. Ale w ułamku sekundy Ravi stwierdził z przerażającą jasnością, że Erlend zaraz zrobi krok naprzód i wyrwie Johannie dziecko. Zerwał się na równe nogi, eksplozja gniewu dała mu niebywałą siłę, pochylił głowę i z rozmachem grzmotnął czołem Erlenda w pierś. W tej samej chwili rozległ się strzał. Obaj upadli, Ravi miał Erlenda pod sobą, starał się złapać ręce, które próbowały w niego celować, usłyszał, że pistolet znowu trzasnął, tym razem był to stuk metalu, bo broń upadła na kamień.

Johanna krzyczała. Ravi czuł zaciskające się na szyi dłonie Erlenda, mimo to wciąż miał w sobie jakieś niewyczerpane źródło siły, zdołał się uwolnić, ale tylko na krótką chwilę.

Usłyszał, że Erlend ryczy:

- Teraz będzie z tobą koniec!

Szum rzeki był niczym grzmot.

Właśnie w tym momencie poczerwieniało Raviemu w oczach, wizje wypełniły jego głowę i nie był w stanie oddychać, bo Erlend chwycił go znowu i teraz to on znajdował się na górze. Wiedział jednak, że wciąż może walczyć. Teraz już nie przegra, musi tylko walczyć tak długo, by rzeka pochłoneęła Erlenda. Był w stanie zabić, wiedział o tym, dzikie zwierzę w jego brzuchu urwało się z uwięzi.

Usłyszał, że Erlend znowu ryknął, tym razem z bólu, i gdyby ręce tamtego wciąż tak mocno nie zaciskały się na jego gardle, to by się Ravi uśmiechnął.

Ledwie był w stanie zachować przytomność, ale poczuł, że ciało Erlenda sztywnieje, a ruchy stają się powolniejsze. W końcu puścił gardło Ravięgo. Ten wyrwał się, chciał się uwolnić od tamtego ciała, ale Erlend wciąż przyciskał go do mokrej trawy. Ravi słyszał, że Erlend ryczy jak raniony byk, docierał do niego głos zwierzęcia, który mieszał się z dzikim krzykiem Johanny. Nie był pewien, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy też to tylko jej przerażenie przenika do jego głowy.

Ciężkie ciało napastnika dało się odepchnąć na bok. Ravi głośno wciągał powietrze, gardło wciąż miał zaciśnięte, chociaż ręce Erlenda opadły już na trawę.

Spojrzał w górę, słońce go oślepiło. Szukał Hanny, co się z nią stało?

Czołgał się po trawie, jak najdalej od leżącego na ziemi ciała, czerwona krew brudziła mu ręce, nie mógł pojąć, skąd się tu wzięła.

I wtedy ją zobaczył. Klęczała na trawie, tyłem do słońca, włosy sterczały jej na wszystkie strony. Półnaga, z zakrwawionymi udami, suknia w pasie podarta.

Nadal trzymała nóż.

Ravi patrzył i patrzył.

Johanna rzuciła się do leżącego na trawie ciała i raz po raz wbijała w nie nóż. Wydawała przy tym jakieś krótkie, syczące odgłosy, a oczy miała wielkie, szeroko otwarte.

Dopiero kiedy plecy tamtego były posiekane jak kotlet, opadła na piersi Ravięgo i wybuchnęła histerycznym szlochem.

Nie zdołali się opanować, dopóki żałosne kwilenie dziecka nie przywróciło matce rozsądku. Ravi poczołgał się do miejsca, w którym Johanna położyła synka, i wziął w ramiona małe zawiniątko. Na buzi malca wciąż była krew, Ravi poślinił palec i starał się zmasać plamy.

- Mój syn - powiedział. Johanna spojrzała na niego.

- Czy też to widzisz? Wierzysz?

- Przekleństwo - wyszeptał. - Powiedziałaś to natychmiast, gdy tylko na niego spojrzałaś, Hanno, powiedziałaś, że....

Spoglądała na niego bez wyrazu. Drżała, więc pomyślał, że marznie.

- To moje przekleństwo - rzekła stanowczo. - To choroba... mojej rodziny.

Wiem o tym... ale nie pomyślałam, że mogłaby dać o sobie znać... mama kiedyś mi o niej opowiadała. - ona uważa, że to dlatego nie urodziła więcej dzieci... umierały, zanim zdążyły dojrzeć w łonie matki.

Ravi kiwał głową, najwyraźniej przestraszony.

- Czy on umrze? Johanna zamknęła oczy.

- Jeśli jest tak, jak myślę... to długo nie pożyje. Ale wiem też, że dzieci takie jak on dawały sobie jakoś radę długo... może nawet będziemy mogli patrzeć, jak dorasta, Ravi, nigdy jednak całkiem nie wyzdrowieje...

Ravi ukrył twarz w dłoniach. Johanna powiedziała:

- Teraz musimy jechać do domu. Musimy do domu, Ravi... sami nie damy

sobie z tym rady.

Powoli docierało do Ravięgo, że koszmar jeszcze się nie skończył.

Siedzą oto na tej spokojnej łące nad rzeką. Nieco wyżej ponad nimi mieszkańcy Torpo rozpoczynają właśnie nowy, pracowity dzień.

A tutaj wszędzie tyle krwi. W trawie martwy mężczyzna, w ramionach matki noworodek.

Johanna starała się opanować drżenie. Udało jej się to, ale kiedy się odezwała, słychać było szczekanie zębów.

- Musisz pójść do Torkjella, Ravi. On musi ci pomóc... pomóc nam... z Erlendem... zdołasz go do tego nakłonić?

Ravi ponuro skinął głową.

- Tylko że przecież nie mogę zostawić cię samej tutaj...

- Musisz iść. Przez chwilę dam sobie jakoś radę... teraz już się nie boję. Ravi znowu skinął głową.

- Pójdę. Opowiem mu całą historię, a potem niech będzie, co ma być. Johanna próbowała się uśmiechnąć, ale na jej umęczonej twarzy pojawił się tylko bolesny grymas. Sztywnymi palcami Ravi odwiązał resztki sznurka, który Erlend zostawił na jego rękach.

Maleństwo kwiliło cichutko, ale przytulone do matki uspokoiło się zaraz pod wpływem ciepła jej ciała.

Ravi nie spuszczał z nich oczu. Miał wrażenie, że to wciąż jakiś sen.

Oto Johanna siedzi na trawie z dzieckiem w ramionach. Z jego dzieckiem.

Wciąż czuł, że ta jego wewnętrzna rzeka szumi mu w głowie, nadal nie był w stanie myśleć jasno.

Pospiesznie ściągnął z siebie kurtkę i otulił nią Johanne oraz dziecko, chociaż słońce zaczynało przygrzewać na dobre.

- Za chwilę będę z powrotem - wyszeptał, pomagając Johannie usiąść wygodniej i tyłem do martwego Erlenda. - Nie bój się... nie bój się...

Uśmiechnęła się z jego niepokoju.

- Tak cię kocham, Ravi - powiedziała. Pobiegł przed siebie niczym renifer ścigany przez watahę wilków.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Siedziała i obserwowała, jak dziecko walczy o powietrze, trzymała synka

ostrożnie, ale mocno, bo instynkt macierzyński podpowiadał jej, że maleństwo musi czuć się bezpieczne. W jego ciemnych, głęboko osadzonych oczach dostrzegła jakieś niebieskie refleksy, chociaż może to niebo się w nich odbijało? Był przecież letni poranek.

Malec miał takie długie i cienkie paluszki. Jedna rączka była obrzmiała i sina.

Poczuła, że budzi się w niej radość, która jednak miesza się ze wciąż obecnym lękiem. Czy powinna pozwolić sobie na tę odrobinę szczęścia? Johanna wiedziała przecież, że synek może skonać już przy kolejnym oddechu.

Z wolna jednak policzki malca zaczynały różowieć. Prawie niezauważalnie oddech stawał się równiejszy, nie był już taki świszczący. Wzrok też zdawał się czystszy, chociaż w czasie porodu popękały jakieś naczynka krwionośne wokół oczu, otoczonych teraz czerwoną obwódka, co wyglądało dość przerażająco.

Delikatnie przesunęła palcami po wargach dziecka. Były wąskie i sine, ale z każdym oddechem zyskiwały nową barwę.

Spojrzała w dół, palcami wyczuła, że z pępowiny nadal sączy się krew.

Tak, to niestety ta straszna choroba, pomyślała, próbując przypomnieć sobie więcej z tego, co matka jej opowiadała.

Chorzy krwawią i krwawią, nie mogą przestać. Każda maleńka ranka może krwawić całymi dniami. Najgorsze jednak są głębokie skaleczenia, bo wtedy krew spływa do wnętrza ciała i rana za nic nie chce się zagoić.

Nic na to nie pomaga, ani modlitwy, ani ziołowe napary. Mama mówiła, że nawet aptekarze nie mają na to żadnej rady. Nawet gdyby się udać do uniwersytetów lub wspaniałych instytutów, nie znajdzie się pomocy... a poza tym to bardzo daleko od tego brzegu rzeczki w pobliżu Torpo, pomyślała z goryczą.

Chłopczyk się poruszył.

Próbowała wsunąć mu do buzi brodawkę piersi, ale nie chciał jej przyjąć.

Siedząc kołysała się w tył i w przód, nagle poczuła kolejne bóle, najpierw nie pojęła, o co chodzi, ale potem przypomniała sobie, że właściwie poród jeszcze się nie zakończył. To przecież oczywista sprawa, nigdy by przy łóżku położnicy nie zapomniała o łożysku.

Wiedziała, co powinna teraz zrobić, wiedziała też, że łożysko należy spalić. Wiele złego można ściągnąć i na matkę, i na dziecko, jeśli nie dopełni się wszystkich rytuałów.

Ale była taka strasznie zmęczona. Sama też musiała się bardzo wykrwawić.

Johanna zrobiła znak krzyża nad łożyskiem i prosząc Boga o opiekę, oparła się ciężko o zbocze.

Wtedy dziecko zaczęło ssać.

Z oczu młodej matki popłynęły łzy.

On nie może umrzeć.

Nic innego jej nie martwiło, choć zdawała sobie sprawę, w jakim koszmarnym położeniu się znalazła, przecież dopiero co zabiła człowieka.

Ale też dała życie.

Los nie może go jej odebrać. W tym momencie odczuła niezłomną pewność, że dziecko przeżyje. Ze będzie żyło w jakimś miejscu na świecie. Choćby miała sprzedać wszystko, co ma, zastawić Karlsgard, to znajdzie lekarstwo lub doktora, który wie więcej niż ona i który może potrafi leczyć tę przeklętą chorobę.

Muszą wrócić do domu.

Cokolwiek by się stało.

Nawet gdyby tam przyszła jako morderczyni, bez nadziei na łaskę. Teraz nie ma już wyboru. Zresztą mama z pewnością zajmie się tym nieszczęsnym maleństwem tak, jakby było jej własnym dzieckiem.

Ravi...

On też zaopiekuje się synkiem.

Ta myśl przyniosła jej pociechę, Johanna przestała stawiać opór.

Tylko jedna sprawa utrzymywała ją przy życiu, tylko jedno pragnienie: złożyć mianowicie głowę na piersi matki i płakać, dopóki starczy jej łez. A potem odpoczywać, odpoczywać, nabierać sił.

By znowu walczyć. O siebie i o to maleństwo.

Johannę ogarnęło obezwładniające zmęczenie, ciało robiło się ciężkie. Straciła przytomność, osunęła się w nicość, a kiedy silne męskie ręce wyjęły dziecko z jej objęć, nawet tego nie zauważyła. Podniesiono ją z ziemi, położono na miękkich skórach na dnie wozu. Może wyczuwała kołyszący ją ruch fury, może słyszała chrzęst żwiru pod kołami, ale ani na moment nie uniosła powiek i nie spojrzała w zmartwione oczy Ravięgo.

To cud, że Torkjell był jeszcze w domu. Dopiero kiedy Ravi zobaczył, że konie czekają zaprzężone i niecierpliwą się, że powóz gotowy jest do drogi, zrozumiał, jak mało brakowało, a gospodarz byłby wyjechał. Torkjell miał na sobie wspaniałe mundur, medale i złote odznaki mieniły się oślepiająco, mundur był świeżo

wyprasowany, a brązowe guziki wypucowane.

Na podwórzu jakiś obcy mężczyzna mówił głośno w niezrozumiałym dialekcie.

Ravi wszedł na uginających się nogach i zawołał na Torkjella.

Irytacja we wzroku wielkiego pana nie przstraszyła go.

- Torkjellu Villandzie, potrzebuję twojej pomocy w niecierpiącej zwłoki sprawie... proszę cię... musisz mnie wysłuchać...

Gospodarz ściągnął wprawdzie swoje gęste brwi, ale kazał swoim ludziom odejść.

- O co chodzi? Właśnie wyjeżdżam...

- Znalazłem się w strasznym położeniu... Johanna również... boję się jednak, że opowiadanie wszystkiego zajmie zbyt wiele czasu, to bardzo długa historia...

Torkjell wykrzywił wargi w szyderczym uśmiechu i powiedział cicho:

- Mam wrażenie, że nareszcie dowiem się prawdy o Knucie i Annie Plassen, co? Czy mi się zdaje, czy nazwałeś ją Johanna...?

Ravi patrzył mu prosto w oczy.

- Tu chodzi o życie - rzekł. Twarz Torkjella pozostała nieodgadniona.

- Ach, tak? W takim razie muszę chyba poprosić mój orszak, by czekał, co?

Ironia tego człowieka przeraziła Ravięgo, było oczywiste, że złości go to opóźnienie.

- Pomóż nam, Torkjellu! To ostatnie, o co cię proszę...

- No a twoja żona? Co ona na to, że przychodzisz prosić o pomoc tego okropnego i nieznośnego Torkjella Villanda?

Ravi przełknął ślinę.

- To ona kazała mi tu przyjść... W krótkim śmiechu Torkjella brzmiała irytacja i zdziwienie.

- Naprawdę? W takim razie muszę się dowiedzieć, o co chodzi. Jeśli Anna Plassen tak się boi, że gotowa jest przełknąć własną złość i własną dumę...

- Ona właśnie urodziła dziecko - wtrącił Ravi pospiesznie. - Leżą teraz oboje nad rzeką...

Torkjell otworzył usta.

- Nie żyją? Nie, o Boże, to niemożliwe...!

- Nie, nie oni... ale Erlend nie żyje, ja... my... zamordowaliśmy go, to jej mąż... chciał odebrać dziecko, on chciał ją zmusić...

Torkjell zacisnął rękę na ramieniu Ravięgo.

- Do diabła, w jakież to bagno się wpakowaliście? Ravi oddychał z trudem.

- Ona... Johanna Bendiksdatter Karlsgard, dobra jak sam Bóg... w Lyster ma majątki większe od twoich, Torkjellu. Johanna wyszła za Erlenda, ale potem... potem...

- Potem zjawiłeś się ty?

- On ją bił! Zamykał ją, dręczył i straszył. W końcu uciekła... ze mną. Myślała, że go zabiła... i nagle on zjawił się tutaj, chciał ją zmusić, by wróciła z nim..

Torkjell potrząsał głową, historia brzmiała zbyt niewiarygodnie.

- Zmuszać do drogi kobietę na ostatnich nogach? Ten człowiek musiał być szalony, z zazdrości rozum mu się pomieszał.

- Dziecko... Ono nie jest całkiem zdrowe... Torkjellu, musisz nam pomóc, przynajmniej żebyśmy uniknęli oskarżenia o morderstwo! Dam ci za to, co tylko zechcesz, do końca życia będę twoim komornikiem, bez szemrania zrobię wszystko, co mi każesz...

- Zamilcz nareszcie, Knut... pozwól mi pomyśleć. Skąd przyszedł ten cały Erlend, powiadasz?

- Z Sogn, zza gór... byliśmy już w drodze powrotnej razem z nim. Torkjell stał bez ruchu, piękną dłonią gładził starannie ufryzowane włosy.

- Wezmę ze dwóch ludzi i pojedę z tobą nad rzekę... Ravi uklonił się i chciał ująć jego rękę.

Ten jednak popatrzył na niego zmrużonymi oczyma.

- Robię to przede wszystkim dla Anny, powinieneś wiedzieć. Ona jest... wyjątkową kobietą.

Błyszczące oczy Torkjella mówiły Raviemu wyraźnie, co ów pan chce przez to powiedzieć, teraz jednak nie czas na głupią dumę ani na okazywanie zazdrości.

Wskazał dłonią, gdzie mniej więcej nad rzeką zostawił Johannę z dzieckiem, a Torkjell gromkim głosem wezwał parobków.

Ukryli zwłoki pod stosem gałęzi i ułożyli Johannę na wozie. Dziecko złożono w ramionach Raviego, który siedział obok kobiety na furze osłoniętej płachtą. Trzeba było ukryć podróżujących przed oczyma ciekawskich i Torkjell zarzucił na tył wozu dodatkową derkę. Ravi siedział spokojnie, czując, że malutkie paluszki synka zdążyły się na zawsze zacisnąć wokół jego serca.

Nie przejmował się tym, co ludzie pomyślą lub powiedzą o dziwnym orszaku. Wkrótce znajdą się w domu, a Torkjell już wezwał dwie komornice, które więcej niż

chętnie porzuciły robotę przy sianokosach, by zająć się położnicą.

- Doprawdy ściągnęliście sobie niezły pasztet na głowę - westchnął Torkjell, zdejmując podróżny kapelusz. - Nie mogę wyruszyć, zanim wam nie pomogę. Szkoda by było, gdyby ludzie zaczęli gadać, że Torkjell Villand zostawił człowieka w potrzebie.

- Są chyba gorsze zdrady niż odmówienie pomocy morderczyni - mruknęła Johanna.

Torkjell przyglądał się jej uważnie.

- Nie bardzo ci się podoba ta sytuacja, prawda? Dumna Anna Plassen... Teraz chyba możesz mi powiedzieć, jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko?

Johanna mocno zacisnęła powieki, po chwili znowu je otworzyła, długo walczyła ze zmęczeniem, w końcu udało jej się opanować drżenie głosu:

- Jestem Johanna Bendiksdatter Karlsgård, panie Villand.

- Bardzo mi przyjemnie - zachichotał Torkjell i skinął sztywno głową. - A ów zmarły był twoim mężem? Przed Knutem?

- Tak, Erlend był moim mężem - potwierdziła.

- Ale nigdy takim jak Ravi. Czy też Knut, jak go nazywasz. Torkjell roześmiał się szeroko i pochylił naprzód. Poczula ostry zapach wody, jaką się skrapiał, kiedy chciał być elegancki.

- Uwielbiam takie misteria, Johanno. Bardzo lubię sekrety, i swoje, i cudze. Bo przecież nigdy nie wiadomo... no nic, postaram się, by ta tajemnica nigdy nie wyszła na jaw. Możecie polegać na Torkjellu Villandzie...

Zniknął natychmiast, gdy tylko znaleźli się we wsi, to Ravi z parobkami przenieśli owiniętą derką Johannę do domu. Gdyby kto ich zobaczył, mógłby pomyśleć, że u zamożnych teraz Plassenów wnoszą jakieś nowe meble.

Malutki chłopczyk piszcząc i płakał, przez dwie doby Johanna starała się go nakłonić do ssania. Na jej czole pojawiły się głębokie bruzdy, a zmarszczki koło ust świadczyły o wyczerpaniu i zmartwieniu.

- Musisz jeść, mój mały... bo inaczej się nie uchronisz... Ravi siedział przy piecu i strugał zabawkę. Łzy dławiły Johannę. Jak on tak może? Dlaczego siedzi taki obojętny?

- Tu przecież chodzi o życie, Ravi. Jak możesz tak trwać bez słowa... Głos jej się załamał. Z trudem przetykała ślinę, drapała ją w gardle. Ravi spojrzał na nią.

- On wyżyje. Wiem to na pewno. Widziałem. Widziałem, że twoja matka

trzyma go na rękach, Johanno.

Przymknęła oczy.

- Och, żebyśmy mogli jak najprędzej wyjechać... Może oni przyjadą już dzisiaj wieczorem?

- Torkjell obiecał, że wyśle ludzi z wiadomością. Tym razem na pewno dotrą na miejsce. Jak tylko uwiną się z tamtym...

Johanna opadła ciężko na poduszki, wciąż jednak mocno przytulała synka do nagiej piersi.

Ledwo wyczuwała jego leciuteńki oddech, jak dotyk ptasiego puchu na wilgotnej skórze.

- Tak się boję - wyszeptwała. Ravi wstał, odłożył nóż na bok. Podszedł do Johanny, bo wiedział, że ona pragnie, by ją objął, mocno, z całej siły. Odważył się jednak tylko pogłaskać ją po policzku.

- Wszystko będzie dobrze. Znajdą Erlenda w wodach fiordu i na pewno nikt się nie domyśli, że rozstał się z życiem aż tutaj.

- Ale przecież ktoś może ich zobaczyć... Ktoś może się dowiedzieć, że ludzie Torkjella przewieźli trupa przez góry!

- Wiedzą, co robią. Ja uważam, że to było bardzo dobre rozwiązanie. Muszę powiedzieć, że adwokat obmyślił to wyjątkowo sprytnie.

Johanna zgadzała się z nim. Owszem, Torkjell to chytry lis. Tym razem działał na jej korzyść, ale kiedy przypomniła sobie spojrzenie jego przebiegłych oczu, zdjął ją dreszcz na myśl, że ten człowiek mógłby być jej wrogiem.

- Dowiedzą się, czyje to zwłoki, i pomyślą, że się utopił. Albo że wdał się w bójkę w Lasrdal, wiesz, tam kręci się tylu ludzi...

Mrugała z wysiłkiem, przed oczyma wciąż migały jej czerwone płatki.

- O Boże, jak ja bym chciała, żeby nastały jakieś lepsze dni - szepnęła. - Chciałabym odpocząć bez zmartwień, chociaż parę godzin, och, Ravi, czy myślisz, że oni jutro przyjadą?

Nie mógł jej obiecać, że tak będzie. Wiedział, że trzy dni to bardzo mało czasu.

Johannie jednak te dni musiały się wydawać wiecznością, czekała tak rozpaczliwie, tęskniła za ojcem i matką, za dawnym życiem.

Sam Ravi czuł, że coś w nim topnieje, że z każdym uderzeniem serca powracają ostatnie wspomnienia. Chwile spędzone z Johanna przesuwają się przed

jego oczyma jak piasek w klepsydrze. Ona zaś leżała i opowiadała o życiu w Lyster, o tym, jakie wszystko będzie piękne.

Widocznie zapomniała o przekleństwie.

O przekleństwie, które on musi dźwigać.

A przecież wiedział, że od niego nie ucieknie. Próbował przez całe życie, ale na nic się to nie zdało.

- Ravi, Ravi, spójrz! Jej oczy znowu były ożywione, rozgorączkowane.

- Spójrz, on ssie! O, mój Boże, może on jednak przeżyje...? Ravi spojrzał.

Malec najzupełniej sam z siebie odnalazł pierś matki akurat w momencie, kiedy Johanna zaczęła zasypiać. Teraz cichutko mlaskał. Kiedy puścił pierś, wyciekło z niej kilka kropel białozółtej cieczy.

Johanna nie miała odwagi się poruszyć, czekała tylko z bijącym sercem, aż dziecko samo zadecyduje, co dalej.

- Och, jakiś ty mądry i zdolny - szepnęła ze łzami w oczach. - Na pewno dasz sobie jakoś radę, mój mały Ravi, teraz już w to nie wątpię.

Ravi głośno wciągnął powietrze. Uśmiech Johanny mienił się bardziej niż łzy na jej powiekach.

- Nie powinnaś go tak nazywać. To imię przynosi nieszczęście. Spojrzała na niego sennie.

- Co ty mówisz? To jak go ochrzczimy? Ravi wzruszył ramionami. Odwrócił się.

- Może jakoś na cześć twojego taty. Bendik... albo Bjarne, albo coś w tym rodzaju.

Wolno potrząsnęła głową.

- Nie, to dziecko nie będzie nosić pospolitego imienia. Ja znajdę coś odpowiedniego... jakieś śliczne i godne imię, które przyniesie nam wszystkim szczęście.

- Śpij teraz, Johanno. Odpoczywaj - rzekł Ravi zmęczony. Spokojnie opadła na poduszki, kołysana przez odgłosy letniej nocy. Teraz, kiedy głębokie bruzdy na twarzy się wygładziły, przypominała małą dziewczynkę układającą się do snu w jasny wieczór. Poczwała, że Ravi zabrał od niej uśpione dziecko, uśmiechnęła się lekko, bo wiedziała, że w jego ramionach biedne maleństwo będzie bezpieczne.

Johanna westchnęła, a potem oddychała już spokojnie i miarowo, pogrążona we śnie.

Ravi wpatrywał się w buzię dziecka, jakby chciał, żeby rysy malca na zawsze wryły mu się w pamięć. Patrzył na prosty nosek, na niezwykle gęste brwi... było w tym noworodku coś dziwnie dorosłego. Ravi głaskał delikatne policzki, stwierdził, że sińce, które początkowo były takie sinoczarne, mają teraz żółtawy odcień. Pochylił się z czułością i wciągnął w płuca słodki zapach noworodka, wargami dotknął skóry maleństwa. Drgnął, kiedy zobaczył, że chłopczyk otworzył oczy. Były czarne, głęboko osadzone, jak te, które w tamten mroczny dzień spoglądały na niego z przereźbli.

Może to nie było za mądre, może powinien inaczej patrzeć na to wszystko, może ta chwila powinna mu sprawiać ból zamiast radości?

Nic jednak nie mógł zrobić, musiał siedzieć w tej cichej izbie i czuć, że ciepło płynące od dziecka topi w nim wszelkie złe i bolesne uczucia.

- Żebym tylko mógł zawsze za tobą podążać - wyszeptał niemal bezgłośnie. Dziecko poruszyło powiekami, ale nie przestawało się wpatrywać w pochyloną nad sobą twarz.

- Synku maleńki, żebym tak mógł całe życie być z tobą!